PO CO PUTIN STRASZY WOJNĄ Z UKRAINĄ

EKOLOGICZNY TRZASKOWSKI TONIE W ŚMIECIACH

ŚWIĄTEK I HURKACZ – NOWA FALA POLSKIEGO TENISA

GAZETAPOLSKA.PL

Strefa Wolnego Słowa

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO POLAKA #W KAŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU

WOJNY SZCZEPIONKOWE

CO ŁĄCZY ATAKI NA SZCZEPIONKĘ ASTRAZENECA I ROSYJSKIE FARMY TROLLI? TO WALKA O WŁADZĘ NAD EUROPĄ

CENA 5,99 PLN (w tym 8% VAT) www.gazetapolska.pl indeks 320919 #15 (1444) 14/04/2021

ISSN 1230-4581

9 771230 458107 15

UWAGA!

OSTATNIA **SZANSA**
ZAKUPU **PRENUMERATY** PAPIEROWEJ GP
W NIŻSZEJ CENIE

TYLKO
180 zł
ROCZNA

TYLKO
15 zł
MIESIĘCZNA

GAZETA POLSKA

PROMOCJA TRWA **DO 15 KWIETNIA** 2021 R.

prenumerata.swsmedia.pl

Wejście na stronę www przez kod QR. Zeskanuj kod aplikacją do odczytu kodów QR w telefonie.

Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl | tel. 605 900 002, 501 678 819
Konto prenumeraty: **82 1240 5963 1111 0010 3867 3017**
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.,
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FELIETON { WRÓG LUDU }

Tomasz
Sakiewicz
albicla.com/TomaszSakiewicz

TO BYŁO MORDERSTWO NA OCZACH ŚWIATA

Chyba już nikt rozumny nie może mieć wątpliwości, że prezydent Rzeczypospolitej, jego żona i cała towarzysząca mu delegacja do Smoleńska 10 kwietnia 2010 roku została po prostu zamordowana. Zabito ich w wyniku terrorystycznego zamachu, najprawdopodobniej zorganizowanego przez rosyjskie państwo. Liczba wykonanych badań i potwierdzeń śladów materiałów wybuchowych przez różne polskie i międzynarodowe instytucje, ilość śladów po wybuchu, realnie ustalony przebieg lotu i zniszczenia samolotu wykluczają jakąkolwiek inną wersję wydarzeń.

Trzeba koniecznie obejrzeć film z raportu końcowego i pokazać go wszystkim, którzy mają wątpliwości. To mocny, niemożliwy do podważenia dowód.

Badania trwały bardzo długo, ale po tak ogromnej fali fałszerstw i dezinformacji nie mogło być inaczej. Brakowało kluczowych dowodów, które przetrzymują Rosjanie. Z Moskwy przyszły sfałszowane zapisy rejestratorów lotu, zniszczono istotne ślady pozostałe na wraku, a ciała ofiar sprofanowano.

Ta sprawa jest istotna nie tylko dla Polski, lecz także dla całego NATO.

Najgorsza była jednak propaganda trwająca od 10 kwietnia 2010 roku, a właściwie wojna informacyjna zaprojektowana w Moskwie. Do tych działań dołączyły setki polskich dziennikarzy i polityków. Niepokornych wyrzucano z pracy albo zastraszano. Milionom ludzi zrobiono wodę z mózgu i żyją oni w przekonaniu, że wręcz nie wolno zastanawiać się nad zamachem. Strach przed taką myślą został tak silnie wpojony, że wielu naszych rodaków przestało przyjmować jakiekolwiek argumenty. Odkręcenie tego nie będzie łatwe, jeżeli w ogóle jest możliwe. Ta sprawa jest istotna nie tylko dla Polski, lecz także dla całego NATO. Musi to być poważne ostrzeżenie. Można było zaatakować przywództwo jakiegoś państwa i ten fakt całkowicie ukryć. Nie pomogą czołgi i samoloty, kiedy udaje się tak dalece obezwładnić umysły ludzi.

Opowiedzenie o tym, co naprawdę stało się w Smoleńsku, jest więc nie tylko kwestią honoru, lecz także naszego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa całego Paktu Północnoatlantyckiego. **GP**

Rafał **Zawistowski**

W numerze

TEMAT NUMERU
6 Wojny szczepionkowe
Piotr Grochmalski

KRAJ
10 Pamiętamy i będziemy pamiętać
Jacek Liziniewicz
16 Trzaskowski utonie w śmieciach?
Jacek Liziniewicz
18 Rzeszowska układanka, czyli zmiana kontra kontynuacja
Hubert Kowalski
22 Jak przejąć „Starkę", nie płacąc ani grosza
Piotr Nisztor
26 Pekin może sparaliżować polską energetykę
Grzegorz Wierzchołowski

PUBLICYSTYKA
32 Qui bono?
Andrzej Kowalski
36 Kto tu kocha Putina?
Dawid Wildstein
38 Otwarty Dialog z burakiem w tle
Witold Gadowski

ŚWIAT
46 Outsider, który stał się symbolem brytyjskości
Maciej Kożuszek

GOSPODARKA
58 Przyspieszenie już w tym roku
Maciej Pawlak

KULTURA
66 Polski Elvis Presley? Nie. Boży Elvis Presley!
Sylwia Krasnodębska
70 „Ecce Homo" Caravaggia odnaleziony?
Tomasz Łysiak

HISTORIA
74 Henryk Pobożny – obrońca chrześcijaństwa
Tomasz Łysiak
78 Fiatem, „Batorym" czy Lux-torpedą?
Agnieszka Kowalczyk

ŚRODOWISKO
88 Nad Biebrzę wróciło życie
Jacek Liziniewicz

Głupszej polityki niż ocieplenie z Putinem nie było w polskiej historii
Piotr Lisiewicz

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz
4 ZYZIU NA KONIU HYZIU
21 Krzysztof Karnkowski
21 Jacek Liziniewicz
30 W INTERNETACH
35 Joanna Lichocka
40 Jerzy Targalski
40 Dawid Wildstein
41 Tomasz P. Terlikowski
41 Jan Pospieszalski
44 PLAGI AKADEMICKIE
45 Tadeusz Płużański
55 Ryszard Czarnecki
62 KLUBY „GP"
64 KRYMINALNI
92 PODRÓŻE
96 MOTO
98 PLASTUSIOWY KOMENTARZ BARBARY PIELI
100 OBURZAJĄCA KRZYŻÓWKA LISIEWICZA
103 Marcin Wolski
103 Tomasz Łysiak
104 Katarzyna Gójska
105 Michał Rachoń

Krzysztof Krawczyk. Świat, który odszedł z piosenką
Krzysztof Wołodźko

Jadą czołgi na zachód
Antoni Rybczyński

Zbrodnia to niesłychana!
Łukasz Czarnecki

www.prenumerata.swsmedia.pl

ORLEN
ORLEN
WRAP
ZA 5 ZŁ
GDY TANKUJESZ
ZA MIN. 100 ZŁ*
* Promocja trwa 1-30 kwietnia 2021 r. i dotyczy zarejestrowanych użytkowników karty VITAY i aplikacji ORLEN VITAY oraz osób płacących ORLEN PAY, kartą flotową lub e-kartą flotową. Oferta promocyjna dotyczy tylko wybranych stacji. Regulamin i lista stacji, na których można zrealizować kupon promocyjny dostępne są na stacjach oraz na www.stopcafe.pl.

Szczepan
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

Polski mąż stanu Borys Budka, jak przystało na rasowego polityka, postanowił zniszczyć konkurencję we własnym obozie. Dlatego ogłosił w „GW": „My wciąż na naszych uniwersytetach mamy kierunki, które – mówiąc delikatnie – odbiegają od oczekiwań nowoczesnego państwa. No, nie bójmy się powiedzieć, że państwo finansuje naukę ludzi, którzy po tych studiach nie będą mieli zatrudnienia". Dopytywany wyjaśnił, że chodzi o „chociażby wydziały teologiczne. Czy historyczne". W ten w sposób okrutny Budka wykończył historyków Komorowskiego, Tuska i Sienkiewicza! A czemu wymienił też teologię? Wszystko jasne, chodziło mu o zniszczenie dwukrotnie trafiającego do nowicjatu Szymona Hołowni. Bezwzględna, zimna kalkulacja.

To oczywisty dowód, że mąż stanu Budka zgodnie z zaleceniami Machiavellego potrafi być w politycznej walce lisem i lwem. A nawet Tomaszem Lisem i Lwem Rywinem! Tylko nie wiadomo, czy to dobrze czy źle.

Po śmierci księcia Filipa TVN24 postanowiła przepytać o jego osobę innego księcia. Wiadomo, o księciu gadamy z księciem, nikt poniżej księcia się nie kwalifikuje. Ale czy da się znaleźć księcia, który nie brzydziłby się rozmowy z TVN? Jak nie, jak tak! Księciem takowym okazał się dobrze w Poznaniu znany książę Jasio Lubomirski-Lanckoroński, niegdyś współwłaściciel baru „Sandwich Express". Liczący się w poznańskim establishmencie, odkąd prezydent Ryszard Grobelny na pokładzie samolotu udzielił mu ślubu z Dominiką Kulczyk. Co nie było pomysłem ani Dominiki, ani Jasia, tylko doktora Jana, mistrza autokreacji, biznesmena z bolszewickiego nadania, co zapragnął zrzucić z siebie ów balast i zostać rodziną arystokraty. Dominika zadanie wykonała, choć potem drogi małżeństwa się rozeszły. Ale to nie oznacza, że książę Sandwich rozszedł się z postsowieckim establishmentem, i TVN24 może z niego korzystać nadal.

Książę Jasio oświadczył w rozmowie: „Te wszystkie tak zwane spotkania to nie jest

„Na naszych uniwersytetach mamy kierunki, które – mówiąc delikatnie – odbiegają od oczekiwań nowoczesnego państwa... chociażby wydziały teologiczne. Czy historyczne"

Borys Budka, „Gazeta Wyborcza"

Merytoryczny, rzeczowy, mówiący jedynie o udokumentowanych faktach Antoni Macierewicz. I snujący spiskowe teorie oraz niedopowiedziane insynuacje Donald Tusk. Tak wyglądało starcie 10 kwietnia 2021.

tylko chodzenie i popijanie drinków, a bardzo ważny, wyreżyserowany spektakl na potrzeby danego momentu… Życie królewskie wydaje nam się bajkowym, bez trosk, ale tak nie jest". Oj, to prawda… Szczególnie gdy zamiast Kulczyk Holding jest Sandwich Express!

Jak każdy odpowiedzialny ojciec wychowuję syna na kibola oraz świadomego patriotę. A on swój system wartości dumnie prezentuje kolegom z przedszkola. No i ostatnio zgłosił mi, że w owej poznańskiej placówce wychowawczej lepiej jest z kibolstwem niż ze świadomym patriotyzmem. Gdyż jego kolega z przedszkola „wie, co to jest spalony, ale nie wie, co to jest husaria".

Merytoryczny, rzeczowy, mówiący jedynie o udokumentowanych faktach Antoni Macierewicz. I snujący spiskowe teorie oraz niedopowiedziane insynuacje Donald Tusk. Tak wyglądało starcie 10 kwietnia 2021. Tusk znów zrobił dokładnie to, czego powinien unikać jak ognia. Zachował się, jakby nadal miał medialny monopol, kontrolując TVP, TVN i Polsat. Jak wtedy, gdy mógł liczyć, że każda insynuacja przejdzie. I ludzie uwierzą, że 11 lat po śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego przypomniał sobie rozmowę z nim, o której dotąd nie wspominał. No i akurat przypadkiem jest to rozmowa, która uprawdopodobnia, że to Lech Kaczyński kazał lądować pilotom w Smoleńsku. A Tusk jej dotąd nie ujawniał po prostu dlatego, że jest szlachetny, dobrze wychowany i delikatny. Insynuując winę prezydenta, Tusk wydał z siebie wypowiedź, której poziom, gdy chodzi o logikę i wiarygodność, zbliżona jest do największych hitów Lecha Wałęsy. I nie może mi za to stwierdzenie wytoczyć procesu. Bo powinien być dumny z porównania do noblisty i bohatera, na którego wielokrotnie się powoływał. Nieprawdaż?

Wywiad z Tuskiem ukazał się w przeddzień 10 kwietnia w TVN. Po zaangażowanym materiale niezastąpionego, od 11 lat, w tuszowaniu zbrodni Jakuba Sobieniowskiego. Jarosław Marek Rymkiewicz opisał tę pracę tak: „Ojczyzna jest w potrzebie – to znaczy: łajdacy. Znów wzięli się do swojej odwiecznej tu pracy".

YouTube zamieścił przy raporcie podkomisji smoleńskiej zastrzeżenie: „Film może być nieodpowiedni dla niektórych użytkowników". I to prawda. Ale dlaczego nie wskazano z nazwiska, że chodzi o Tuska, Komorowskiego i Sikorskiego?

Tuska postanowił przebić Leszek Miller, który ogłosił: „Ludzie w samolocie do Smoleńska dzielili się na tych, którzy mogli wszystko i którzy nie mogli niczego. Iza, Jola, Jerzy nie mogli nic zrobić. Ale inni mogli spowodować, że samolot nie lądowałby. Jedni zgotowali drugim ten tragiczny los". No więc nie, bolszewicka szumowino z Biura Politycznego KC PZPR, finansowana z sowieckiej kasy. Tragiczny los zgotował im twój kumpel Władimir Putin, wróg Polski, na którego zaproszenia jeździsz na spotkania Klubu Wałdajskiego.

Młoda Lewica wydała bardzo ciekawe oświadczenie: „Już dzisiaj na stronie my.Politics.pl, rzecznik prasowy Młodej Lewicy Wojciech Vincent Sawoniewicz skonfrontuje Leszka B. – Mengelego polskiej gospodarki odpowiedzialnego za hekatombę 1990 roku! Nie może was to ominąć". We wpisie na Facebooku pokazała też zdjęcie Leszka Balcerowicza z oczami zasłoniętymi czarnym paskiem. Po czym przeprosiła i usunęła ten wpis. Swoją drogą to ciekawe z uwagi na fakt, że Balcerowicz doradzał Robertowi Biedroniowi, gdy ten był prezydentem Słupska. Mengele doradcą Biedronia? Całkiem ciekawa polityczna konfiguracja.

Dodajmy, że Wojciech Vincent Sawoniewicz (co oni mają z tym Vincentami, następny po Rostowskim?) to do niedawna asystent lewicowej poślicy Moniki Pawłowskiej, która uciekła z lewicy do Gowina. Z pozoru była to cokolwiek zaskakująca zmiana, ale jeśli poślica uciekła ze strachu przed koniecznością współpracy z Mengele, to jest usprawiedliwiona. Od Mengele to nawet Gowin wydaje się lepszy. Choć tyko nieznacznie.

Przy okazji zgodnie z prawem prasowym chciałbym zadać Młodej Lewicy pytanie, czy Balcerowicz nie jest nowym wcieleniem Rudolfa Hessa? Bo różnie o tym mówią. No i pytanie drugie, czy wykluczacie wspólne rządy z Mengele? Ok, nie będę was męczył, bo odpowiedź znam. Nie tylko nie wykluczacie, lecz zakładacie, że to jedyny możliwy wariant przejęcia władzy. **GP**

Mirosław **Andrzejewski**
{ RODZINA WACIAKÓW }

FOT. FILIP BLAZEJOWSKI/GAZETA POLSKA (2), ALEKSIEJ WITWICKI/GAZETA POLSKA

WOJNY SZCZEPIONKOWE

STAWKĄ JEST GEOPOLITYCZNY KSZTAŁT ŚWIATA PO PANDEMII

Piotr
Grochmalski

Świat wkracza w decydujące miesiące walki z pandemią. Według raportu analitycznej firmy Airfinity, dotychczas wyprodukowano miliard dawek szczepionek przeciw COVID-19, a do końca roku ma to być 9,4 mld. Trwa wyścig państw o skuteczny dostęp do preparatów. Narasta fala społecznych frustracji w wielu krajach. W cieniu globalnej hekatomby, gdy liczba zachorowań przekroczyła 135 mln, a zgony zbliżają się do 3 mln osób, Rosja gromadzi swoje wojska przy granicy z Ukrainą, a Putin straszy NATO bronią hipersoniczną. Wcześniej Rosja próbowała zamordować lidera demokratycznej opozycji Aleksieja Nawalnego, a teraz przetrzymuje go w obozie na Syberii. Kreml dał też hasło do brutalnych pogromów demokratycznych protestów w Rosji.

Pandemię wykorzystują też chińskie władze do zabicia demokracji w Hongkongu, do brutalnej prowokacji na granicy z Indiami, nękania i zastraszania Tajwanu, ścigania i uwięzienia niezależnych dziennikarzy chińskich, którzy przesyłali informacje o początkach pandemii w Chinach. Ale równolegle toczy się bezwzględna wojna wywiadów, jakiej świat nie widział od zakończenia zimnej wojny. Julian E. Barnes i Michael Venutolo-Mantovani na łamach „New York Times" już we wrześniu 2020 roku donosili, że chińscy i rosyjscy szpiedzy próbują wykraść w Wielkiej Brytanii i USA

Jedna z fabryk rosyjskich trolli prowadziła operację nazwaną „Front News". Ta grupa nazywająca siebie „bojownikami w wojnie informacyjnej", kierowana z Krymu przez Konstantina Krynika, jest finansowana przez FSB. Grupa, poprzez rozprzestrzenianie nieprawdziwych informacji o zachodnich szczepionkach, miała podważyć zaufanie do nich. W dziwny sposób interesy Berlina i Moskwy uzupełniły się w tworzeniu atmosfery niepewności wokół szczepionki AstraZeneca. Pandemia, w globalnej grze geopolitycznej, stworzyła Niemcom szanse na przyspieszoną kumulację ich władzy nad Europą.

FOT. ADOBE STOCK

informacje dotyczące badań nad szczepionkami. Podkreślali, że „Waszyngton (…) ruszył, by chronić uniwersytety i korporacje wykonujące najbardziej zaawansowane prace. Wywiad NATO, zwykle zajmujący się przemieszczaniem rosyjskich czołgów i komórek terrorystycznych, rozszerzył się, obserwując wysiłki Kremla, aby ukraść również badania nad szczepionkami". Stawką w tej szczepionkowej wojnie jest geopolityczny kształt świata po pandemii.

Wojna nowego typu

Jeremy Levin, który stoi na czele globalnej organizacji Biotechnology Innovation Organization, twierdzi, iż Rosja wykorzystuje pandemię i rywalizację o szczepionki do rozbicia Zachodu i radykalnej przebudowy geopolitycznej przestrzeni. Główny ciężar tych działań wymierzony jest w Europę Środkową. Jego zdaniem wyniki tej nowej formy wojny „mogą mieć znaczące konsekwencje dla krajów zachodnich i ich przemysłu farmaceutycznego przez dziesięciolecia". Istotnym elementem konfliktu jest prowadzona przez Rosję kampania dezinformacyjna, koordynowana przez rosyjskie służby. Jego zdaniem: „Manipulując danymi, rosyjskie agencje wywiadowcze zagrażają globalnej bitwie przeciwko COVID. (...) Długofalowa polityka zagraniczna Rosji polega na fragmentaryzacji Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego (NATO) i UE". Moskwa w przeszłości próbowała rozbić UE poprzez politykę naftową i gazową. „Teraz używa szczepionek jako klina między krajami" – twierdzi Jeremy Levin. Jego zdaniem realizowany wyrafinowany program dezinformacyjny uderzający w skuteczność zachodnich szczepionek, a jednocześnie kuszenie własnym produktem, szczepionką Sputnik V, ma wzmocnić wewnętrzne spory i napięcia. Rosja jest dobrze przygotowana do prowadzenia nowej formy wojny, stymulując wzrost napięć społecznych, jakie wywołuje covid i rywalizacja państw o dostęp do szczepionek. Już rok temu estońska służba wywiadu zagranicznego ostrzegała, że Kreml uznał, iż pandemia zmusi państwa UE do skupienia się na ich sprawach wewnętrznych, co wywoła falę napięć i ujawni skalę narodowych interesów. Raport estońskiej agencji z 16 marca 2021 roku podkreśla, że FR uznaje pandemię COVID-19 jako jeden z głównych obszarów do osłabienia jedności Zachodu. „Będzie to obejmowało próby zdyskredytowania zachodnich szczepionek przeciwko COVID-19, jak ma to miejsce w przypadku szczepionki Oxford-AstraZeneca, którą rosyjska propaganda określiła jako szczepionkę dla małp, a następnie próby rozpowszechnienia tych informacji w zachodnich mediach" – twierdzą estońscy analitycy.

Europejska niemoc

Zasadnicza strategia działania wobec pandemii była zbliżona w większości państw – wyhamowywać falę narastania pandemii na tyle, aby wytrzymał system ochrony zdrowia w danym kraju do momentu, aż pojawią się skuteczne preparaty i rozpoczną się szczepienia na masową skalę. Unia Europejska uzgodniła wspólne zakupy, aby nie doszło do wojny szczepionkowej. Gdy jednak druga fala pandemii uderzyła w kraje UE i zaczęły narastać niepokoje społeczne, Niemcy pierwsze złamały solidarność i zaczęły prowadzić negocjacje dwustronne o dodatkowym zakupie preparatu. Rzutem

na taśmę UE i Wielka Brytania pod koniec 2020 roku osiągnęły końcowe porozumienie dotyczące brexitu. Szybko okazało się, że Londyn, w nowej rzeczywistości i bez biurokratycznych ograniczeń Brukseli, daje sobie zdecydowanie lepiej radę niż UE w walce z pandemią. Wielka Brytania, jako pierwsza na świecie, już 12 grudnia 2020 roku zatwierdziła u siebie szczepionkę Pfizer i zamówiła 40 mln dawek preparatu. Rozpoczęła też szczepienia na masową skalę. Jako pierwsza dopuściła również preparat koncernu AstraZeneca – tańszy od konkurencji i łatwiejszy w dystrybucji – i zamówiła 100 mln jego dawek. Te działania spowodowały, że już w połowie marca 2021 roku ponad 25 mln Brytyjczyków, a więc blisko połowa dorosłej populacji, przeszło pierwsze szczepienia. Od apogeum na początku stycznia, gdy dziennie notowano 60 tys. zachorowań, gwałtownie krzywa zaczęła spadać aż do poziomu poniżej 3 tys. przypadków na dobę. Ale angielsko-szwedzki koncern AstraZeneca, gwarantując szybkie dostawy do Wielkiej Brytanii, zaczął nie wywiązywać się z kontraktów wobec UE. Pozwoliła na to umowa błędnie skonstruowana przez brukselskich biurokratów. Konflikt narastał. Punkt krytyczny nastąpił, gdy Rzym zablokował 26 lutego 2020 roku transport szczepionki z włoskiego Lacjum (AstraZeneca ma tu jeden z punktów fiolkowania preparatu) do Australii. Komisja Europejska wsparła tę decyzję. Bruksela była o krok od rozpoczęcia regularnej wojny handlowej z Londynem. Ostatecznie zwyciężył po obu stronach rozsądek. W tle całej awantury nietrudno było dostrzec wpływ Berlina. W Niemczech praktycznie od początku tworzono atmosferę podważającą bezpieczeństwo używania szczepionki AstraZeneca.

W co gra Berlin

Pierwszy sygnał w Europie wywołało zalecenie niemieckiej komisji ds. szczepionek Instytutu im. Roberta Kocha w Berlinie, by preparat AstraZeneca podawano tylko osobom do 65. roku życia. W mediach niemieckich zaczęły się pojawiać materiały wywołujące zaniepokojenie u ludzi wobec brytyjsko-szwedzkiego produktu. Szeroko zaczęto opisywać doniesienia o kilku przypadkach zakrzepicy żył mózgowych jako możliwym ubocznym efekcie działania preparatu. W konsekwencji kilkanaście państw, w tym Niemcy, Dania, Holandia, Austria, Francja i Włochy, wstrzymały szczenienia AstraZeneką. W tym czasie Europejska Agencja Leków poinformowała, że nie ma dowodów na to, iż stany zakrzepowo-zatorowe są wywołane preparatem firmy AstraZeneca. Podobną opinię przedstawiła Światowa Organizacja Zdrowia. Sam koncern, po przeanalizowaniu 17 mln przypadków zaszczepienia preparatem, stwierdził, iż odnotowane przypadki działań ubocznych są w swojej skali podobne do tych, które wywołują inne, dopuszczone do użycia preparaty. Doktor Adam Darowski, polski lekarz w szpitalu uniwersyteckim w Oxfordzie, w którym badano skuteczność szczepionki AstraZeneca, w rozmowie z PAP uznał podważanie przez UE wartości preparatu za efekt frustracji „władz Unii Europejskiej, że brexit się udaje, a Wielka Brytania po wyjściu z niej robi coś lepiej. Dla nich to jest podważanie całego raison d'être, bo w ich mniemaniu Wielka Brytania powinna teraz tonąć. Nigdy nie byłem za brexitem, ale to, że Wielkiej Brytanii się udaje ze szczepieniami, jest w dużej mierze spowodowane brexitem" – podkreślił. „W Europie uznali, że rozwiązaniem każdego problemu jest więcej Europy, zatem to Unia będzie kontrolować wszystkie negocjacje w sprawie zakupu szczepionek, rozdzielanie, żeby było sprawiedliwie, a wszystkie kraje miały równy dostęp do nich. Na papierze to się wydaje sensowne, ale w praktyce wyszło inaczej" – ocenia. W efekcie arogancji brukselskich urzędników i całej lawiny błędów w negocjacjach zakupiono szczepionek zbyt mało i zbyt późno, co wywołało rosnącą frustrację państw, gdy okazało się, że teraz UE jest na szarym końcu w kolejce dostaw. W rozpaczliwej sytuacji wiele europejskich stolic zaczęło poszukiwać własnych rozwiązań. Rosja tylko na to czekała.

Niemcy chcą wykorzystać covid

Według Luca Steinmanna, analityka magazynu „Limes" i wykładowcy Rome Business School, pandemia, w globalnej grze geopolitycznej, stworzyła Niemcom szanse na przyspieszoną kumulację ich władzy nad Europą. Doskonale uwidacznia to konflikt wokół AstraZeneki. Po kolejnych zawirowaniach w rozładowaniu zatorów w dostawach dla państw UE nagle pojawiła się inicjatywa Berlina, aby niemiecka szczepionka CureVac koncernu chemicznego Wacker wypełniła lukę. Szef korporacji Christian Hartel twierdzi, iż Europejska Agencja Leków (EMA) przyspieszyła prace nad preparatem i może udzielić pozytywnej opinii szczepionce już w maju, a produkcja ruszyłaby już w lipcu. Dramatyczny konflikt z Londynem doskonale ukazał, że nieustannie będzie rosła przepaść między Wielką Brytanią a coraz bardziej niemiecką Europą. Z jednej strony Berlin podważał zaufanie do szczepionki AstraZeneca, z drugiej chciał zablokować jej eksport, by preparat został wykorzystany w Europie. Po tym, jak prezydent USA John Biden nazwał 17 marca Władimira Putina mordercą, kanclerz Niemiec Angela Merkel i prezydent Francji Emmanuel Macron odbyli 31 marca z gospodarzem Kremla przyjacielską telekonferencję. Dotyczyła ona m.in. możliwości współpracy UE z Rosją nad produkcją rosyjskiej szczepionki. Gdy zaczęły napływać dramatyczne doniesienia o kumulacji armii rosyjskiej wokół granic Ukrainy, co postawiło w stan gotowości siły NATO, Niemcy ogłosiły, że rozpoczynają rozmowy dwustronne z Rosją na temat COVID-19 i szczepionki Sputnik V. Dokładnie wówczas Ihor Żółkiew, doradca prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, podkreślił, że rosyjska szczepionka Sputnik V jest wykorzystywana przez Putina do prowadzenia wojny hybrydowej na obszarze wschodniej Ukrainy.

Rosyjscy trolle i wojna ze szczepionkami

Gdy niemieckie media grillowały szczepionkę AstraZeneca i podkręcały szczepionkowy konflikt z Londynem, USA wystosowały 8 marca otwartą groźbę do tych niemieckich mediów, które od miesięcy prowadziły kampanię „dezinformacji" na temat zachodnich szczepionek na COVID-19. Szymon Szuster na łamach „Time" ujawnił mechanizmy tej ogromnej operacji, za którą stały rosyjskie służby. Jedna z fabryk rosyjskich trolli prowadziła operację nazwaną „Front News". Ta grupa nazywająca siebie „bojownikami w wojnie informacyjnej", kierowana z Krymu przez Konstantina Krynika, jest finansowana przez FSB. Grupa, poprzez rozprzestrzenianie nieprawdziwych informacji

FOT. ALEKSIEJ WITWICKI | GAZETA POLSKA

Jeszcze niedawno Angela Merkel apelowała do Europy o wspólną walkę z pandemią. Ale gdy covidowa trzecia fala uderzyła w Niemczech, nawoływała już tylko swoich rodaków, aby zachowali spokój.

o zachodnich szczepionkach, miała podważyć zaufanie do nich. W dziwny sposób interesy Berlina i Moskwy uzupełniły się w tworzeniu atmosfery niepewności wokół szczepionki AstraZeneca. W tym samym czasie, gdy eksplodował konflikt między UE a Wielką Brytanią dotyczący eksportu szczepionek, Włochy poinformowały, że zamierzają produkować u siebie rosyjski preparat. Także Austria zaczęła rozważać opcję rosyjską. A Słowacja, na krawędzi załamania systemu opieki zdrowotnej i wobec krachu europejskiej solidarności szczepionkowej, zdecydowała się ostatecznie kupić 2 mln dawki Sputnika V – opierając tę decyzję na własnym prawie i bez oczekiwania na dopuszczenie przez Europejską Agencję Leków. Transport dotarł wojskowym samolotem na Słowację i okazał się początkiem końca premiera Igora Matovica. Spór o rosyjską szczepionkę rozbił koalicję i doprowadził do upadku rządu. Wywołał też kryzys w relacjach z Ukrainą. Gdy okazało się, że produkt nie odpowiada danym, które zostały opublikowane w naukowym piśmie „Lancet", wybuchł skandal. Gdy oszustwo wyszło na jaw, Rosjanie kategorycznie zażądali zwrotu produktu.

Polska – gra o wszystko

Po tym, jak Niemcy złamały solidarność szczepionkową w Europie i omal nie doprowadziły do gospodarczej wojny z Wielką Brytanią, widać wyraźnie jak nigdy wcześniej, jaki scenariusz realizuje Berlin wobec europejskiej wspólnoty. Jak to wyraził śp. Lech Kaczyński na krótko przed swoją tragiczną śmiercią: „Nasza rozgrywka w Unii to w pewnym stopniu gra o suwerenność wobec polityki niemieckiej". Dziś to coś więcej – to gra o wszystko, bowiem batalia dotyczy już dosłownie życia Polaków. Jeszcze niedawno Angela Merkel apelowała do Europy o wspólną walkę z pandemią. Ale gdy covidowa trzecia fala uderzyła w Niemczech, nawoływała już tylko swoich rodaków, aby wobec tej próby, „jakiej Niemcy nie przeżywali od czasów II wojny światowej", zachowali spokój. Tych polityków, którzy podkręcali społeczne emocje, określiła jako ludzi niebezpiecznych i nieodpowiedzialnych. W tym czasie Berlin coraz bardziej zdecydowanie i ostentacyjnie wspierał to wszystko, co osłabiało suwerenność RP, a niemieckie media wydawane w Polsce świadomie zachęcały ludzi do protestów ulicznych. Widać śmierć Polaka to nie to samo co śmierć Niemca. Prezydent Lech Kaczyński mówił, że „Niemcy nie mają żadnego historycznego ani moralnego tytułu, aby uważać Polskę za swój własny kraj przyboczny". To zbyt trudna lekcja do zrozumienia dla grupy tych polityków Platformy Obywatelskiej, którzy czują się spadkobiercami tak radykalnie proniemieckich polityków jak Donald Tusk. Posłanka Agnieszka Pomaska z PO uroczyście ślubowała, że będzie „strzec suwerenności i interesów państwa, czynić wszystko dla pomyślności Ojczyzny i dobra obywateli". Istnieje małe prawdopodobieństwo, aby nie dostrzegła, że owo przyrzeczenie dotyczyło Rzeczypospolitej, a nie Bundesrepublik Deutschland. Składała je dotąd czterokrotnie. Ale postanowiła wyrazić swoje oburzenie, że rząd szczepi Polaków preparatami, które nie są – jej zdaniem – własnością RP. Uważa, że to „największe i najbogatsze państwa UE podzieliły się z takimi krajami jak Polska dostępem do szczepionki". Posłanka zauważa przy tym, z nieukrywaną frustracją, że ten kryzys pandemiczny, z którym obecnie zmaga się Berlin, byłby mniejszy, gdyby Niemcy nie dali nam swoich szczepionek Jak podkreśla: „To dlatego w Niemczech szczepienie nie idzie tak dobrze, jak by mogło". Innymi słowy, przez nas umierają Niemcy, a powinni Polacy. Nie wydaje się możliwe, aby niemiecki poseł w Bundestagu był w stanie zrozumieć polską posłankę, że można osiągnąć taki stan anihilacji tożsamości narodowej, by przepraszać Niemców za to, że Polacy są szczepieni. Owi politycy spod sztampy Tuska nie są w stanie pojąć, że w tej chwili Polska toczy bodaj najważniejszą swoją batalię od dziesięcioleci. Jest to czas, w którym racją stanu jest jak najszybsze przezwyciężenie pandemii.

Zamiast zakończenia

Ostatnio opublikowany Raport Narodowej Rady Wywiadu USA „Global Trends 2040" określa batalię z COVID-19 jako największe pojedyncze globalne zagrożenie dla świata od czasu II wojny światowej", którego konsekwencje będą trwały jeszcze długo we wszystkich wymiarach. Analitycy przewidują, że COVID-19 ujawni i pogłębi przepaść między tym, czego społeczności żądają od swoich rządów, a tym, co mogą one im zapewnić. Czekają nas więc fale wybuchów niepokojów społecznych na ogromną skalę. Pogłębi to też napięcia i konflikty międzynarodowe i rywalizację między narodami i państwami. Gwałtownie przyspieszy rywalizacja między Chinami a USA. Ta batalia będzie wymierzona w rozbicie Zachodu jako kluczowego elementu systemu międzynarodowego. Polska już w tym konflikcie uczestniczy, jesteśmy jego częścią. Jego zapowiedzią jest tocząca się wojna szczepionkowa. **GP**

Jacek
Liziniewicz
albicla.com/JacekLiziniewic

PAMIĘTAMY I BĘDZIEMY PAMIĘTAĆ

POŚRÓD APELI O JEDNOŚĆ

Za nami 11. rocznica katastrofy smoleńskiej. Choć z powodu pandemii obchody były skromniejsze, to Polska znowu pokazała, że pamięta o ofiarach z 10 kwietnia 2010 roku. Centralne uroczystości z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy, premiera Mateusza Morawieckiego i wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego odbyły się w Warszawie.

Pandemia koronawirusa sprawiła, że wszystkie uroczystości odbyły się w restrykcjach obostrzeń sanitarnych. To już druga taka rocznica, bez masowego udziału osób z całej Polski. Obowiązywały ograniczenia liczby wiernych w czasie mszy świętych w intencji ofiar. Jak co miesiąc rano odbyła się msza św. w kościele seminaryjnym tuż obok Pałacu Prezydenckiego. Wziął w niej udział m.in. premier Jarosław Kaczyński. Następnie oficjalne delegacje złożyły kwiaty przed pomnikami ofiar katastrofy smoleńskiej i pomnikiem prezydenta Lecha Kaczyńskiego na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego. To właśnie tam na budynku Garnizonu Warszawa znalazły się wizerunki wszystkich 96 ofiar katastrofy. Wśród oficjalnych gości znaleźli się również przedstawiciele redakcji „Gazety Polskiej" i klubów „GP" – redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz i szef warszawskich struktur klubowych Adam Borowski.

Pamięć o wszystkich ofiarach

Plac Piłsudskiego nie był jedynym miejscem, w którym uczczono ofiary tragedii. Delegacje złożyły również kwiaty na grobach wszystkich osób, które zginęły

RANA NARODOWA

„To, co się wydarzyło przed 11 laty pod Smoleńskiem, stało się wielką raną, nie tylko dla najbliższych, rodzin i przyjaciół, stało się wielką raną dla nas wszystkich" – mówił w kazaniu bp Michał Janocha.

Na budynku Garnizonu Warszawa znalazły się wizerunki wszystkich 96 ofiar katastrofy.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

10 kwietnia 2010 roku. Prezydent Andrzej Duda, jak co roku, pojawił się na Wawelu, gdzie pochowani są prezydent Lech Kaczyński i jego małżonka Maria. „Jestem tutaj tradycyjnie razem z moimi przyjaciółmi po to, żeby oddać hołd i uczcić pamięć prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego i jego małżonki Marii, i wszystkich tych wielkich Polaków, którzy 11 lat temu zginęli w katastrofie pod Smoleńskiem" – powiedział Andrzej Duda po wyjściu z katedry na Wawelu. Prezydent RP, który 11 lat temu pracował w Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, pozwolił sobie również na osobiste wspomnienie. „To byli ludzie, którzy na co dzień dyskutowali, debatowali nieraz bardzo żarliwie w politycznych sporach. Ale w tej sprawie byli jednym, w tej sprawie byli razem, w tej sprawie udali się razem do Katynia przez Smoleńsk, po to właśnie, żeby pokazać jedność nas jako społeczeństwa, nas jako narodu. Jedność naszej pamięci, jedność rzeczy ważnych" – mówił Andrzej Duda. Prezydent poświęcił sporo miejsca kwestii jedności narodowej, z którą mieliśmy do czynienia również w okresie żałoby po katastrofie. „Niech to poczucie wspólnoty będzie takie jak wtedy. Dzisiaj, jestem przekonany, bardzo nam tego potrzeba. I jestem też przekonany, że oni, kiedy patrzą na nas gdzieś tam z niebios, wszyscy by tego chcieli, aby w większej części różnych naszych polskich spraw była wspólnota, był wzajemny szacunek" – wskazał Andrzej Duda.

Jedność przede wszystkim

O jedności dużo było również podczas homilii bp. Michała Janochy, który przewodniczył wieczornej mszy św. w Archikatedrze Warszawskiej. „To, co się wydarzyło przed 11 laty pod Smoleńskiem, stało się wielką raną, nie tylko dla najbliższych, rodzin i przyjaciół, stało się wielką raną dla nas wszystkich, dla całego narodu, i pozostaje nią po dziś dzień. Można rozdrapywać, jątrzyć, wtedy bardziej krwawi, można ją zasłonić, udawać, że jej nie ma, ale przecież zasłaniana pozostaje. Można przyjąć postawę człowieka niegodną, można ją wyśmiewać, można z niej szydzić. Wszystko można, ale czy się godzi?" – mówił bp Janocha. Jak podkreślił duchowny, po 11 latach stajemy się coraz bardziej podzielonym narodem. W tym kontekście odniósł się do słów kardynała Stefana Wyszyńskiego, mówiącego w kazaniu o postaci Łazarza umierającego z głodu, którego rany lizały psy, wskazywał, że szlachetnym zadaniem jest „lizać rany człowieka pobitego, leczyć naród, leczyć ludzi". Biskup Janocha podkreślał, że apostołowie rozpoznali zmartwychwstałego Chrystusa po ranach; przekonywał, że podobnie należy czytać naszą historię osobistą, społeczną, narodową – historię zwycięstw i klęsk, powstań, ale także niepodległej Polski, Solidarności.

Polacy pamiętają

Ponieważ 10 kwietnia obowiązywały obostrzenia pandemiczne, politycy i osoby publiczne najczęściej wspominały ofiary w internecie. Wpis na Facebooku umieścił m.in. premier Mateusz Morawiecki. „Katastrofa smoleńska, ta największa narodowa tragedia w powojennej historii Polski, zraniła wiele rodzin, odebrała im wspaniałe Matki, Ojców, Córki i Synów. Ale także zraniła naszą Ojczyznę, bo odebrała Jej ludzi najwybitniejszych i najbardziej Jej potrzebnych. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego i Jego Małżonkę Marię, prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego, ministrów, parlamentarzystów, generałów, szefów najważniejszych instytucji i wielu świetnych urzędników. Próba zastąpienia ludzi o takim etosie i tak wielkim doświadczeniu to zadanie prawie niewykonalne, ale jest oczywiste, że Ich pragnieniem byłoby kontynuowanie dzieła, jakiego się podjęli. Każdego dnia staramy się sprostać temu wielkiemu zadaniu – to nasz najważniejszy obowiązek. Zawsze będziemy o Nich pamiętać" – napisał premier Mateusz Morawiecki. Oczywiście o ofiarach katastrofy pamiętali również klubowicze „Gazety Polskiej", którzy w swoich lokalnych społecznościach uczcili pamięć ofiar. **GP**

Członkostwo Rosji w NATO „mogłoby przynieść stabilność i bezpieczeństwo regionom, gdzie dotychczas nie było ani jednego, ani drugiego" **Radosław Sikorski** jako szef polskiej dyplomacji

„Choć mamy swoje poglądy na sytuację w Rosji, chcemy dialogu z Rosją, taką, jaką ona jest" świeżo upieczony premier **Donald Tusk** w sejmowym exposé

„Niedobra posucha w relacjach polsko-rosyjskich dobiegła końca" prezydent **Bronisław Komorowski** w czasie wizyty Miedwiediewa w grudniu 2010 roku

GŁUPSZEJ POLITYKI NIŻ OCIEPLENIE Z PUTINEM NIE BYŁO W POLSKIEJ HISTORII

Nawet ci, którzy nie wierzą w siłę rosyjskiej agentury w Polsce i nie lubią PiS, muszą przyznać, że polityka polsko-rosyjskiego ocieplenia z lat 2007–2014 skończyła się widowiskową katastrofą. Tusk, Sikorski i Komorowski, publicyści i celebryci zapowiadali, że Polska buduje zbliżenie Rosji z Zachodem. Zachęca też Moskwę, by zmierzała ku demokratyzacji. A w ten sposób także nasze znaczenie w Europie rośnie. W 2014 roku Rosja faktycznie zbliżyła się do UE poprzez... zajęcie części Ukrainy. Nawiązała też wyjątkowo bliskie relacje z demokratami, głównie za pomocą serwowanej im trucizny. I nikt nie miał wcześniej żadnych logicznych podstaw, by myśleć, że stanie się inaczej.

JAK OBROŃCY DEMOKRACJI KREML POKOCHALI

Piotr
Lisiewicz
Z-CA RED. NACZELNEGO
albicla.com/PiotrLisiewicz

Nie ma sprawy bardziej wstydliwej dla obozu „obrońców demokracji". Bo polityka z lat 2007–2014, którą można udokumentować wydarzenie po wydarzeniu, cytat po cytacie, pokazuje, jak rządy PO-PSL opowiedziały się w praktyce po stronie zamordyzmu i imperializmu Putina, a przeciw aspiracjom niepodległościowym i wolnościowym państw regionu. O Smoleńsku pisałem tydzień temu, dziś na ten temat ani słowa – skupmy się na pozostałych działaniach ówczesnej władzy, gdy chodzi o politykę wschodnią.

Lis do „modernizatora" Miedwiediewa

„Pana prezydentura w Polsce, w Europie, w Ameryce jest dość powszechnie postrzegana jako szansa na modernizację..." – tak w grudniu 2010 roku zagajał rozmowę z prezydentem Rosji Dmitrijem Miedwiediewem, marionetką rządzących Rosją kagiebistów, Tomasz Lis.

Lis był wówczas jedynym polskim dziennikarzem, który doznał zaszczytu przeprowadzenia wywiadu z Miedwiediewem, transmitowanego przez trzy rosyjskie stacje telewizyjne. Siedząc z ugiętymi kolanami, tak by nie wydawał się wyższy od zasiadającego na wyższym fotelu rosyjskiego prezydenta, mówił dalej: „Wydaje mi się, że to pana przesłanie o tym, byśmy, my w Polsce, wy w Rosji, byśmy nie byli zakładnikami historii i przeszłości, jest bardzo ważne...", „My znamy stanowisko pana prezydenta w sprawie zbrodni stalinowskich, w Polsce naprawdę z wielką uwagą przypatrywano się debacie w Dumie".

„Wszystkie ofiary rosyjskie i polskie były potrzebne"

Lisa przebił chyba tylko Jan Turnau, specjalizujący się w tematyce religijnej publicysta „Gazety Wyborczej", który napisał do Miedwiediewa: „Szanowny Panie Prezydencie Federacji Rosyjskiej, dowiedziałem się z Katolickiej Agencji Informacyjnej, że w r. 1988 jako dwudziestotrzyletni człowiek przyjął Pan chrzest, podzielę się z Panem zatem taką teologiczną refleksją. Chrystus swoją śmiercią i zmartwychwstaniem nauczył nas, chrześcijan, że postęp moralny wymaga ofiary: można powiedzieć, że wszystkie ofiary rosyjskie i polskie w naszej wspólnej historii były potrzebne, żebyśmy się wreszcie pojednali". Żartowano wówczas, że skoro Miedwiediew się ochrzcił, to Putin szykuje się właśnie do Pierwszej Komunii.

No, może jeszcze Daniel Olbrychski mógł wcześniej rywalizować z Turnauem w wygadywaniu głupot. W 2008 roku Putin przyznał Olbrychskiemu medal Puszkina. W programie Tomasza Lisa Olbrychski chwalił się, że Putin był wobec niego serdeczny, bo lubi takich „zadziornych" Polaków jak on.

Sikorski: „Gruzja dała się sprowokować do awantury"

Widowiskowe głoszenie bredni przez publicystów czy celebrytów nie było przypadkowe, było tylko uzupełnieniem polityki prowadzonej przez polskie państwo, w tym w szczególności przez trójkę Tusk–Sikorski–Komorowski.

Świeżo upieczony premier Tusk już 23 listopada 2007 roku zapowiadał w sejmowym exposé: „Choć mamy swoje poglądy na sytuację w Rosji, chcemy dialogu z Rosją, taką, jaką ona jest. Brak dialogu nie służy ani Polsce, ani Rosji. Psuje interesy i reputację obu krajów na arenie międzynarodowej".

Jako premier, Tusk najpierw złożył wizytę w Moskwie (8 lutego 2008 roku), a dopiero potem w Kijowie (28 marca 2008 roku). Mówiąc o polityce PiS z lat 2005–2007, stwierdził: „Polska osłabia swoją pozycję tak długo, jak jest awangardą niechęci do Rosji".

Gdy latem 2008 roku Rosja zaatakowała Gruzję, a Lech Kaczyński poleciał do Tbilisi, rząd Tuska starał się dezawuować jego misję. Radosław Sikorski twierdził, że „Gruzja dała się sprowokować do awantury, za którą największą cenę płaci ona sama". Odnosząc się do działań prezydenta Lecha Kaczyńskiego, stwierdził: „Prawdziwym przyjacielem jest ten, kto doradza realistycznie, a nie ten, kto porusza się w krainie iluzji".

Z okazji pamiętnej wizyty Putina na Westerplatte 1 września 2009 roku Sikorski opublikował w „GW" artykuł, w którym zadeklarował, iż „z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć: właściwej odpowiedzi na dylematy geostrategiczne i tożsamościowe Polski nie oferują jagiellońskie ambicje mocarstwowe". Fakt, że Sikorski podjął w artykule kwestię stosunków z Niemcami i Rosją, pomijając Ukrainę i Białoruś, krytykowali nawet publicyści „GW".

Jak Sikorski widział Rosję w NATO

Najdalej w oczywistych idiotyzmach poszedł właśnie Radosław Sikorski, który wierzył

FOT. TOMASZ HAMRAT/GAZETA POLSKA (2), FOTOMAG/GAZETA POLSKA, STOCK.ADOBE.COM

nie tylko w zbliżenie Rosji z Zachodem, lecz nawet w jej… członkostwo w NATO. 5 lutego 2010 roku jako szef polskiej dyplomacji opublikował w „Süddeutsche Zeitung" artykuł, w którym pisał, że „jej członkostwo mogłoby przynieść stabilność i bezpieczeństwo regionom, gdzie dotychczas nie było ani jednego, ani drugiego".

Jak pisał, z punktu widzenia Polski perspektywa ściślejszej współpracy NATO z Rosją jest bardzo obiecująca. „Wspólnie możemy wiele zyskać (...). Mamy wiele wspólnych interesów, takich jak stabilizacja Afganistanu, walka z terroryzmem, piractwem i rozpowszechnianiem broni masowego rażenia". Sikorski zaznaczał, że proces rozszerzenia NATO jest potrzebny i jego zdaniem „Rosja nie powinna być (z niego) z góry wykluczana". Bo proces ten „daje możliwość przezwyciężenia podziału Europy na Wschód i Zachód wraz z wynikającą z tego podziału filozofią".

Pomnik bolszewików w Ossowie

W czasie wspomnianej wizyty Miedwiediewa z grudnia 2010 roku prezydent Bronisław Komorowski zapowiadał: „Niedobra posucha w relacjach polsko-rosyjskich dobiegła końca". Podkreślał, że Polska jako kraj członkowski NATO i Unii Europejskiej chce mieć jak najlepsze relacje wzajemne z Rosją: „Chcemy również wpływać w ten sposób na ogólny kierunek polityki UE i NATO w stosunkach z naszymi ważnymi sąsiadami na Wschodzie". Miedwiediew odpowiadał: „Te rozmowy odbyły się w bardzo zaufanej atmosferze. Zaufanie, które powstaje pomiędzy dwoma prezydentami (...), jest nieodłączną częścią rozwoju pełnowymiarowych stosunków między dwoma narodami".

Po 10 kwietnia 2010 roku mieliśmy do czynienia z tragikomedią polsko-rosyjskiego ocieplenia. 9 maja 2010 roku, w sowiecki dzień zwycięstwa, grupa intelektualistów związanych z „GW" zaapelowała o palenie zniczy w miejscach upamiętniających czerwonoarmistów. Szczytem absurdu była budowa pomnika bolszewickich żołnierzy w Ossowie. W pierwotnej wersji jego częścią były 22 bagnety skierowane na Warszawę, które po protestach usunięto i zastąpiono zniczami. Ostatecznie odsłonięto „pomnik nagrobny żołnierzy bolszewickich". W ramach ocieplenia polskie dzieci wysyłano też na wymianę międzyszkolną do Rosji. We wrześniu 2010 roku na spotkanie polskiego szefa MSZ z ambasadorami z całego świata zaproszony został rosyjski minister Ławrow.

Komorowski: Rosja nie ma innej drogi niż modernizacja

Nie tylko przykład Gruzji pokazywał, jak pojednanie realizowane było kosztem państw regionu. W marcu 2011 roku Komorowski odwiedził Estonię, a gospodarze wizyty musieli być mocno zdziwieni, gdy słyszeli jego apele, by też pojednali się z Rosją: „Mamy nadzieję na powrót tendencji modernizacyjnych w Rosji i uważamy, że warto w to inwestować (…). Rosja nie ma innej drogi, nie ma innej szansy niż modernizacja". Jak się niebawem okazało, Moskwa nie tylko miała inną drogę, lecz wybrała tę o 180 stopni przeciwną.

Z kolei w czerwcu 2011 roku Tusk chwalił się następującymi sukcesami: „Kiedy politycy w Berlinie, Paryżu, Brukseli i Waszyngtonie ujrzeli, że Polską rządzą ludzie bez obsesji antyrosyjskiej, tym chętniej zgodzili się na to, żeby Polska była jednym z krajów wiodących w polityce UE wobec Rosji".

Ciąg dalszy znamy. **GP**

AlbiClub „Gazety Polskiej"
Albicla.com

Dlaczego warto dołączyć do Albicli?

Za parę dni miną trzy miesiące, odkąd w przestrzeni internetowej pojawił się portal Albicla. Odpowiedź na cenzorskie zapędy społecznościowych gigantów spotkała się z pozytywnym odzewem użytkowników – już ponad 71 tysięcy internautów wybrało Albiclę. Dlaczego warto to zrobić? O tym mówiła ostatnio przedstawicielka świata kultury.

Przed tygodniem informowaliśmy, że do serwisu Albicla.com dołączyła znakomita sopranistka Dominika Zamara, znana i ceniona przez publiczność w wielu krajach Europy. W świątecznym wydaniu „Politycznej Kawy" w Telewizji Republika na widzów czekała wyjątkowa niespodzianka. Prowadzący program Tomasz Sakiewicz oraz administratorka Albicli Mirona Hołda mieli okazję rozmawiać z nową użytkowniczką serwisu społecznościowego Strefy Wolnego Słowa. Padły słowa, które mogą chyba być wskazówką dla kolejnych osób, zamierzających dołączyć do Albicli. Dlaczego na taki krok zdecydowała się Dominika Zamara? „Zdecydowałam się, bo promuje się tam wartości patriotyczne, chrześcijańskie, bo ja bardzo dużą część czasu przebywam za granicą i bardzo mi tęskno za Polską" – powiedziała wokalistka, która pochodzi z Wrocławia, ale na stałe mieszka we Włoszech. „Dla mnie bardzo ważny jest św. Jan Paweł II, a promujecie tę postać wybitną, ukochaną przez Włochów, ukochaną na całym świecie. Dlatego bardzo jestem szczęśliwa, że jestem wśród Was. Pragnę się łączyć w wartościach patriotycznych i chrześcijańskich" – kontynuowała artystka.
O tym, że warto założyć konto na Albicli, przekonywał też europoseł Joachim Brudziński. W social mediach zachęcał do tego, by wybrać właśnie ten serwis. Sam daje dobry przykład i jest aktywny. Z okazji Dnia Pracownika Służby Zdrowia złożył na Albicli piękne życzenia medykom. „Wszystkim, którzy swoją codzienną pracą i zaangażowaniem dbają o nasze zdrowie! Dziękujemy za troskę, za trud, za poświęcenie na rzecz drugiego człowieka" – napisał europoseł.
Co tydzień na Albicli witamy kolejnych nowych użytkowników, w ostatnim tygodniu pojawił się m.in. wojewoda wielkopolski Michał Zieliński. Albicla to portal dla wszystkich, więc kto jeszcze nie ma konta, niech nadrabia zaległości.

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

Ufam najlepszym,
gram z PZU

Sprawdź na **pzu.pl**

TRZASKOWSKI UTONIE W ŚMIECIACH?

Jacek **Liziniewicz**
albicla.com/JacekLiziniewicz

BAŁAGAN W „ZIELONEJ STOLICY"

Od 1 kwietnia 2021 roku w stolicy obowiązują nowe zasady naliczania opłat za wywóz śmieci. Koszt został uzależniony od zużycia wody w gospodarstwie domowym – 12,73 zł za m³ zużytej wody miesięcznie, a sama opłata naliczona zostanie na podstawie średniego zużycia z ostatnich 6 miesięcy. Jeśli jednak nieruchomość nie ma wodomierza albo nie jest podłączona do sieci wodociągowej, opłata będzie naliczana według wzoru: liczba mieszkańców x 4 m³ wody x 12,73 zł. Oznacza to ogromne podwyżki, a rekordzistom cena wzrosła o 500 proc. Za śmieci płacić muszą wszyscy, a po kieszeni zostanie uderzona większość warszawiaków. Niezadowolenie widać już po skargach w Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym, w którym Warszawie wytoczono 34 procesy za sposób naliczania opłat za śmieci.

Karpiński pod prąd

Nic dziwnego, że miasto postanowiło działać. Przygotowało kampanię społeczną w miejskich autobusach, na nośnikach i w internecie, w której przekonuje, że opłata za śmieci to wina PiS-u. Według propagandowego zamysłu, wszystko ma być winą ustaw przyjętych przez rząd. – Rafał Trzaskowski to osoba, która w sposób skrajny lekceważy problemy funkcjonowania miast. Przykładem może być kwestia śmieci, gdzie zamiast podjąć działania w ramach kompetencji prezydenta Warszawy, próbuje się przerzucić odpowiedzialność na rząd i jego działania – mówi nam Jacek Ozdoba, wiceminister klimatu i środowiska. – Miasto wydaje olbrzymie pieniądze na kampanię reklamową, która ma zrzucić odpowiedzialność na rząd. W niej pojawia się informacja, że przyczyną jest ustawa, która zakazuje finansowania gospodarki śmieciowej z budżetu miasta. Co ciekawe, jak spojrzymy historycznie, to zasada samobilansowania się systemu śmieciowego weszła do prawa w 2011 roku. Za tym rozwiązaniem głosował m.in. Włodzimierz Karpiński, prezes MPO. Od tamtej pory te przepisy nie były nowelizowane. Tymczasem informuje się mieszkańców Warszawy, że winna jest nowa ustawa. To fałszywa kampania, która jest dodatkowo sprzeczna z tym, co mówią urzędnicy miejscy. Ci bowiem nie wskazują

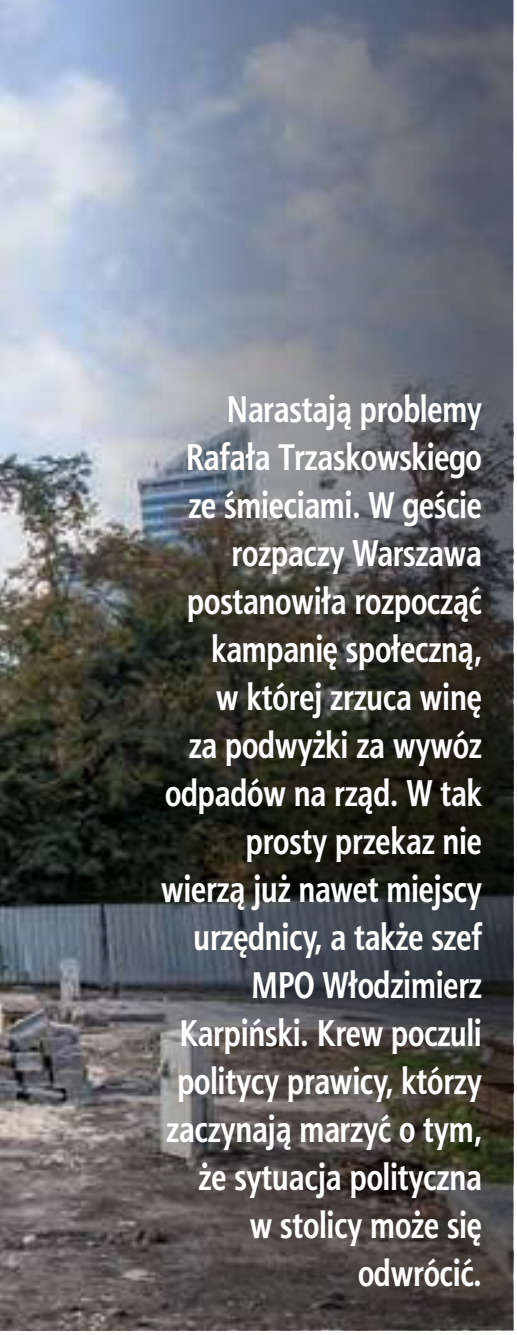

Narastają problemy Rafała Trzaskowskiego ze śmieciami. W geście rozpaczy Warszawa postanowiła rozpocząć kampanię społeczną, w której zrzuca winę za podwyżki za wywóz odpadów na rząd. W tak prosty przekaz nie wierzą już nawet miejscy urzędnicy, a także szef MPO Włodzimierz Karpiński. Krew poczuli politycy prawicy, którzy zaczynają marzyć o tym, że sytuacja polityczna w stolicy może się odwrócić.

FOT. TOMASZ HAMRAT/GAZETA POLSKA

na zupełnie inne przyczyny – mówi nam wiceminister klimatu i środowiska. To ewidentne nawiązanie do słów samego Włodzimierza Karpińskiego, który w jednym z wywiadów w „Dzienniku Gazeta Prawna" zapowiedział, że w trzy lata obniży cenę śmieci w Warszawie. To o tyle dziwaczna deklaracja, że w tym samym czasie ratusz robi kampanię, w której przekonuje, że cena zależy od rządu. „Jeżeli Warszawa będzie miała własną spalarnię, a oprócz niej biogazownię i nowoczesną, hermetyczną kompostownię, to mieszkańcy na pewno to odczują w swoich kieszeniach" – ogłosił Włodzimierz Karpiński. Jego analiza ma sens o tyle, że połowa warszawskich śmieci to tzw. frakcja energetyczna, która z powodzeniem może być palona, a nie musi – tak jak w wypadku Warszawy – być zagospodarowywana w całym kraju lub za granicą. Powstaje jednak pytanie: dlaczego Warszawa nie zdecydowała się na inwestycję dużo wcześniej?

Błędy zaniechania

Politycy PiS mają jedną odpowiedź. – Nieróbstwo urzędników miasta stołecznego Warszawy za czasów Hanny Gronkiewicz-Waltz i Rafała Trzaskowskiego skutkuje ogromnymi podwyżkami cen śmieci – mówi nam Paweł Lisiecki, poseł Prawa i Sprawiedliwości. Jak podkreśla, przez lata stolica Polski nie robiła nic, aby zagospodarować śmieci, wprowadzić recykling czy poczynić inwestycje w tym temacie. Dość powiedzieć, że z inwestycji w spalarnię śmieci wręcz wycofała się Hanna Gronkiewicz-Waltz. Była to decyzja o ogromnych konsekwencjach, bo tym samym zrezygnowała ona ze środków UE. Dziś jej następca buduje spalarnię z własnych pieniędzy. Koszt inwestycji wyniesie 1 668 062 936,99 zł netto. – Jestem przekonany, że ceny śmieci w Warszawie wzrosną. W innych krajach i wielkich miastach można systemy zorganizować tak, że na śmieciach się jeszcze zarabia, ale władze Warszawy nie potrafiły tego zrobić – mówi nam Paweł Lisiecki. Politycy prawicy widzą, że Warszawa ma ewidentny problem z wytłumaczeniem mieszkańcom podwyżek. To daje zatem szanse na dokonanie wyłomu w postrzeganiu władz przez mieszkańców. Zdaniem polityków PiS, z którymi rozmawialiśmy, dzisiaj kluczowa jest praca ze spółdzielniami. Te są już ogromnym przeciwnikiem dla miasta, bo według szacunków, mają one bezpośredni kontakt z blisko 600 tys. mieszkańców stolicy. Władze tych tworów są naturalnymi partnerami PiS do walki z władzami miejskimi. Wystarczy, by spółdzielnie wytłumaczyły swoim lokatorom, dlaczego jest drogo. Wydawałoby się, że w takich warunkach ewentualne głosy można zdobywać praktycznie za darmo. Jest to też idealny temat do budowania rozpoznawalności. Nic więc dziwnego, że politycy już pracują. Aktywny jest wiceminister klimatu Jacek Ozdoba, który już wcześniej punktował Rafała Trzaskowskiego w sprawie Oczyszczalni Ścieków „Czajka". Równolegle pracują również ludzie z Prawa i Sprawiedliwości. Część polityków prawicy, z którymi rozmawialiśmy w ubiegłym tygodniu, podkreśla, że byłoby dobrze pracować już na kandydata na stanowisko prezydenta Warszawy. Działanie to stanowiłoby wyciągnięcie wniosków z poprzednich kampanii w stolicy, gdy zarówno Jacek Sasin, jak i Patryk Jaki budowali swoją pozycję wyborczą dopiero w momencie oficjalnego startu kampanii. Z naszych rozmów wynika jednak, że mało prawdopodobne jest, aby ktokolwiek myślał już o wyborach samorządowych. Jak podkreślają nasi rozmówcy, taki kandydat byłby wystawiony na ostrzał konkurentów politycznych.

> Połowa warszawskich śmieci to tzw. frakcja energetyczna, która z powodzeniem może być palona, ale w stolicy wciąż nie ma spalarni.

Uderzać przez ekologię

PiS ma jednak swój pomysł i zaczęło konsekwentnie go realizować. Planem jest rywalizacja z Rafałem Trzaskowskim na jego polu bitwy. – Już nawet wyborcy PO widzą, że to partia aferałów. Problem jest taki, że warszawiakom to nie przeszkadza. Trudno jednak im przejść obojętnie obok wycinki drzew czy innych problemów ekologicznych – słyszymy od ważnego polityka PiS-u. Dlatego Rafałowi Trzaskowskiemu liczy się już na przykład wycięte drzewa. W ubiegłym tygodniu podano informację, że z ulic stolicy w ciągu ostatnich dwóch lat zniknęło około 9 tys. drzew. To tak jakby wyciąć prawie 22 ha starego lasu. Tematem nadal jest nieudolność władz stolicy w radzeniu sobie ze smogiem i oczyszczalną ścieków „Czajka". Do tego dodać należy chociażby kwestie betonowania miasta i zabudowywania korytarzy napowietrzających. Wkrótce władze Warszawy mogą mieć ogromny problem. Dodatkowo miasto aspirujące do miana Zielonej Stolicy, w związku z rosnącymi cenami śmieci może zaliczyć jeszcze ekologiczny regres. Mieszkańcy płacący najwyższą stawkę w Polsce za wywóz odpadów nie będą skłonni segregować śmieci. To z kolei może doprowadzić do tego, że stolica stanie się największym w Polsce problemem ekologicznym. Czy PO utonie w śmieciach? Nie da się tego wykluczyć. **GP**

ZAPOWIEDŹ
Marcin Warchoł publicznie zapowiedział, że zamierza kontynuować politykę Tadeusza Ferenca. Zapewnił też, że były prezydent będzie miał wpływ na sprawy miasta.

Hubert
Kowalski
albicla.com/HubertKowalski

RZESZOWSKA UKŁADANKA, CZYLI ZMIANA KONTRA KONTYNUACJA

W CO GRAJĄ KANDYDACI

Układanka w Rzeszowie jest nietypowa. Ewa Leniart, kandydatka PiS, zapowiada zdecydowane zmiany w rządzeniu miastem. Kandydatami kontynuacji – w różnych aspektach – polityki dotychczasowego prezydenta, postkomunisty Tadeusza Ferenca, są Marcin Warchoł z Solidarnej Polski i Konrad Fijołek, mający wsparcie niemal całej opozycji.

Na start zdecydował się także Waldemar Kotula z Porozumienia, którego kandydatura ma pokazać obecność tej partii w mieście.

Ferenc od lewa do prawa

Tadeusz Ferenc w 1964 roku wstąpił do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i należał do niej aż do rozwiązania. W 1990 roku został członkiem Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, a w 1999 roku wstąpił do Sojuszu Lewicy Demokratycznej. W roku 2001 został posłem z ramienia SLD, jednak rok później został wybrany na prezydenta Rzeszowa i w związku z tym przestał pełnić mandat poselski. Podczas wyborów prezydenckich w 2015 roku wspierał kandydaturę Bronisława Komorowskiego, a w roku 2020 – Władysława Kosiniaka-Kamysza. Jak mówią miejscowi samorządowcy, Tadeusz Ferenc był prezydentem mającym lewicowe zaplecze polityczne, a także złe stosunki z rządami PiS. Jednocześnie jednak starał się rozmawiać z różnymi środowiskami politycznymi. – W ostatnich latach próbował przedstawiać się jako człowiek dialogu, kompromisu. Ale efekty były różne – mówi Zbigniew Sycz, radny powiatu rzeszowskiego i przewodniczący klubu „Gazety Polskiej" w Rzeszowie.

Zamek i sąd

Zamek Lubomirskich to znany rzeszowski zabytek. Obecnie jest własnością Skarbu Państwa i mieści się w nim siedziba Sądu Okręgowego. Tadeusz Ferenc od wielu lat dąży do utworzenia w Zamku centrum kultury. Z tego powodu zabiegał w resorcie sprawiedliwości o pozyskanie obiektu. Pomógł pochodzący z Podkarpacia wiceminister Marcin Warchoł wywodzący się z Solidarnej Polski. Ministerstwo Sprawiedliwości i władze Rzeszowa porozumiały się w tej sprawie. We wrześniu 2019 roku podpisany został list intencyjny. Miasto na mocy darowizny 20 listopada 2020 roku przekazało Skarbowi Państwa działkę pod budowę nowego budynku dla Sądu. Przeniesienie placówki i ewentualne przejęcie w zamian Zamku przez miasto może nastąpić jednak dopiero po wybudowaniu nowego obiektu. Jak wynika z wiadomości przesłanej nam przez biuro prasowe rzeszowskiego magistratu, zabytkowy Zamek przestanie wtedy być niezbędny dla potrzeb sądownictwa. Dojdzie do tego prawdopodobnie za kilka lat. Co ciekawe, Ferenc niedługo po podpisaniu listu intencyjnego publicznie poparł Marcina Warchoła, który kandydował wówczas do Sejmu. Ówczesny prezydent Rzeszowa również miał startować, ale z listy Koalicji Obywatelskiej. Jednak ostatecznie zrezygnował, co rzekomo miało być związane z prośbami mieszkańców, którzy chcieli, aby Tadeusz Ferenc dalej pełnił urząd.

Ferenc i Warchoł, czyli obopólne korzyści

Wiceminister sprawiedliwości Warchoł startuje teraz w wyborach na prezydenta Rzeszowa. Także tym razem wspiera go Tadeusz Ferenc. Do decyzji o poparciu prawdopodobnie przyczyniły się niedawne problemy koalicji, w skład której wchodził prezydencki klub radnych Rozwój Rzeszowa oraz klub Platformy Obywatelskiej. Ten ostatni coraz częściej kwestionował politykę Ferenca. W samym Rozwoju sprzeciwiano się bezrefleksyjnemu podporządkowaniu prezydentowi. Choć Tadeusz Ferenc oficjalnie odchodzi z urzędu, to jednocześnie zależy mu, aby jego polityka była realizowana. Jak mówią nasi rozmówcy, Tadeusz Ferenc chciał mieć dobre relacje z politykami rządowymi, licząc, że ułatwi to realizację jego lokalnych planów politycznych.

Choć Tadeusz Ferenc oficjalnie odchodzi z urzędu, to jednocześnie zależy mu, aby jego polityka była realizowana. Stąd jego poparcie dla kandydatury Marcina Warchoła, który zapowiedział, że będzie ją kontynuował.

Jego złe stosunki z PiS spowodowały, że pozostała mu jedynie współpraca z Marcinem Warchołem. Ten publicznie zapowiedział, że zamierza kontynuować politykę Ferenca. Zapewnił nawet, że były prezydent będzie miał wpływ na sprawy miasta. Miejscowi samorządowcy, z którymi rozmawialiśmy, podkreślają jednak, że część elektoratu Ferenca nie do końca rozumie wspieranie Warchoła i wręcz ma problem z zaakceptowaniem decyzji byłego prezydenta. Współpraca z Tadeuszem Ferencem dla Marcina Warchoła jest natomiast okazją do rozwijania politycznej kariery. – Ma on ambicje, by zostać prezydentem dużego miasta. Pamiętajmy, że włodarz, który pozyska odpowiednie wpływy na polu lokalnym, może rządzić długo. Wiceministrem natomiast się jest jakiś czas, ale za chwilę można stracić to stanowisko. Prezydentura byłaby więc wyjściem, dzięki któremu pan Warchoł nie musiałby w przyszłości walczyć o miejsce na liście do Sejmu, bo zajmowałby się polityką lokalną, która również może stanowić dla niego rozwój – mówi prawicowy samorządowiec z Podkarpacia, który chce zachować anonimowość.

Inaczej patrzą na te sprawy działacze Solidarnej Polski, z której wywodzi się Marcin Warchoł. – Pan Ferenc widocznie poznał pana Warchoła z dobrej strony. To człowiek energiczny, przedsiębiorczy. Prezydent Ferenc, człowiek doświadczony, zobaczył w nim przyszłość dla Rzeszowa. Cieszymy się jako Solidarna Polska, że osoba ciesząca się tak dużą sympatią i sza-

FOT. IGOR SMIRNOW/GAZETA POLSKA

cunkiem mieszkańców Rzeszowa doceniła pana Warchoła – mówi „GP" Mariusz Trojak, wicestarosta jarosławski i działacz SP. Jednak sam Warchoł opuścił niedawno partię. Zdaniem Trojaka, doszło do tego, ponieważ wiceminister chce być kandydatem obywatelskim. Dzięki temu jego kandydatura ma być lepiej odbierana przez mieszkańców. SP przyjęła decyzję Warchoła o opuszczeniu partii i zadeklarowała, że będzie go wspierać w kampanii. Dla ugrupowania Zbigniewa Ziobry jest to okazja do rozbudowania wpływów na Podkarpaciu.

Banery i biznes nieruchomości

Przed wyborami parlamentarnymi w 2019 roku duże kontrowersje również wśród lokalnych polityków Zjednoczonej Prawicy wzbudził wielki baner z wizerunkiem Marcina Warchoła, który zawisł na budynku Galerii Rzeszów. To biznes, który powstał z inicjatywy działającego na rynku nieruchomości Ryszarda Podkulskiego, któremu wcześniej zarzucono działanie na szkodę Rzeszowskich Zakładów Graficznych i doprowadzenia do strat w wysokości 14 mln złotych. Podkulski został w zeszłym roku uniewinniony, ale Prokuratura Okręgowa w Rzeszowie wniosła kasację do Sądu Najwyższego, która, jak poinformował nas rzecznik rzeszowskiej prokuratury, nie została jeszcze rozpoznana przez SN. Co istotne, Tadeusz Ferenc jest entuzjastą inwestycji realizowanych przez Podkulskiego. Sprawy te szerzej opisywały lokalne media. Jak pisała „Gazeta Wyborcza", Marcin Warchoł raz spotkał się z biznesmenem, co potwierdził sam kandydat, twierdząc jednocześnie, że nie zna Podkulskiego. Podkreślił, że na budynku znalazły się także banery kandydatów KO. Niedawno po raz kolejny na gmachu galerii pojawił się wielki baner, na którym widać zarówno Warchoła, jak i Ferenca. Choć oficjalnie Podkulski wycofał się z działalności biznesowej, to obecnie dyrektorem zarządzającym galerii jest jego syn Sebastian. Dyrektorem ds. marketingu jest natomiast Robert Podkulski, bratanek Ryszarda. Chcieliśmy porozmawiać z Marcinem Warchołem m.in. o jego kandydaturze oraz sprawie biznesmena, jednak mimo próśb nie uzyskaliśmy żadnej odpowiedzi. Związany ze Zjednoczoną Prawicą samorządowiec, który dobrze zna realia polityczne w Rzeszowie, podkreśla, że poparcie Marcina Warchoła przez PiS byłoby kłopotliwe dla tej partii ze względu na jego relacje z Tadeuszem Ferencem oraz doniesienia o rzekomej współpracy z kontrowersyjnym biznesmenem. Te okoliczności mogłyby wzbudzić sprzeciw prawicowego elektoratu. – Tadeusz Ferenc to człowiek wywodzący się z postkomuny, promujący kontrowersyjnych biznesmenów i inwestycje, które często są krytykowane – mówi samorządowiec.

Spore szanse na zwycięstwo w Rzeszowie ma wiceprzewodniczący Rady Miasta Konrad Fijołek.

Przeciwko polityce Ferenca

Za czasów byłego prezydenta w Rzeszowie zrealizowano dużo inwestycji deweloperskich. Jednak sposób ich realizacji krytykują środowiska urbanistyczne, a także samorządowcy, m.in. z PiS. Podkreślają, że były prezydent „betonował" miasto, nie uwzględniał kwestii estetycznych czy też terenów zielonych. Sam Ferenc mówił publicznie w zeszłym roku, że prowadzi „bezwzględną politykę: budować!". Rzeszowski radny PiS Robert Kultys mówi „GP", że Tadeusz Ferenc jest ceniony przez wielu mieszkańców, ale przez innych krytykowany. – Najwięcej krytyki wywoływała polityka przestrzenna, a właściwie jej brak, polegający na zbytnim oddawaniu pola żądaniom deweloperów – wyjaśnia radny. Dodaje, że nie można godzić się na kontynuowanie polityki Ferenca w całości, a upodabnianie się do niego w sposób bezkrytyczny uważa za szkodliwe dla miasta. Podobnie ocenia to Marcin Fijołek, szef klubu radnych PiS w Rzeszowie. – Jestem przekonany, że wyłącznie pani Ewa Leniart jest w stanie skutecznie i prawidłowo dokonać zmian, by Rzeszów mógł jak najlepiej wykorzystywać swoje możliwości – mówi. Tak zwany zielony ład miejski jest podstawą wizji Rzeszowa kandydatki PiS. Ewa Leniart wygrała niedawno proces wyborczy z wydawcą jednego z rzeszowskich portali internetowych. Chodziło o tekst, który sugerował, że wojewoda jest przeciwko budowie południowej obwodnicy Rzeszowa. Miasto składało w tej sprawie do urzędu wojewódzkiego wnioski, ale zawierały one istotne błędy formalne. Leniart poinformowała, że p.o. prezydenta Rzeszowa Marek Bajdak złoży kolejny wniosek. Tym razem ma być prawidłowy.

> Podstawą wizji Rzeszowa według kandydatki PiS Ewy Leniart jest tak zwany zielony ład miejski.

Spore szanse na zwycięstwo w Rzeszowie ma również wiceprzewodniczący Rady Miasta Konrad Fijołek, którego poparły: Koalicja Obywatelska, Lewica, Polska 2050 Szymona Hołowni oraz Polskie Stronnictwo Ludowe. Co ciekawe, Fijołek wcześniej był związany z Tadeuszem Ferencem, jednak współpraca zakończyła się, gdy ten poparł Marcina Warchoła. **GP**

FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ

{ KRÓTKO I NA TEMAT }

FELIETON

KREMÓWKOWA NIEPAMIĘĆ

Krzysztof **Karnkowski**

W tym roku w Wielki Piątek przypadła 16. rocznica śmierci Jana Pawła II. Mediom, opierającym się na rozmowach z zaproszonymi wybitnymi ekspertami, bardzo pomogło to w ustawieniu programu, ponieważ do oczywistego w takiej chwili religijnego kontekstu większości dyskusji dołożyć można było również wątki społeczne. Omówić, ile z nauczania papieża Polaka nam zostało, ile żeśmy po drodze zagubili, wreszcie – jak bardzo nam go dziś brakuje. Wnioski nie zawsze były optymistyczne, choć i tak rozmówcy starali się unikać pesymizmu, który nie powinien przytłoczyć słuchacza w tak ważnym i ze swej natury niosącym radość momencie roku. Bo przecież, co mało kto chciał przyznać, nawet fala pięknych emocji w 2005 roku, choć przyniosła konserwatywne odbicie postaw społecznych i politycznych Polaków, również młodych, nie była przesadnie mocno zakotwiczona w papieskim nauczaniu. Oczywiście pobieżnie znaliśmy stanowisko Karola Wojtyły w najważniejszych kwestiach (choćby aborcji), lecz znaczenie i wartość formułowanych przez niego pod naszym adresem ostrzeżeń odkrywaliśmy późno, być może w wielu przypadkach za późno. Pozwoliliśmy, by dziedzictwo zostało sprowadzone do kremówek i kilku anegdot, uznając to za konieczny w tych czasach ukłon w stronę zarządzania emocjami społecznymi. Później zaś tymi emocjami uśpieni, przegapiliśmy moment, gdy dla najmłodszych, zapewne sterowanych przez rozmaite „smocze języki", Jan Paweł II stał się symbolem i synonimem rzeczy strasznych i najgorszych, plugawa moda wykiełkowała najpierw gdzieś na marginesie internetu, by wraz z młodzieżówkami lewicowych partii wejść do głównego obiegu. Być może wiele w tym przekory, zamiast zerwać z pomnika warstwę kremówkowego kiczu, łatwiej pomnik zburzyć? Aby odzyskać dziedzictwo papieża dla młodszych pokoleń, musimy je najpierw przypomnieć sobie samym, wyrwać je ze sfery akademickich ideologicznych rozważań.

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }

FELIETON

UNIJNY GREENWASHING

Jacek **Liziniewicz**
albicla.com/JacekLiziniewicz

Unia Europejska od lat forsuje swoje zielone wizje na temat rozwoju kontynentu. Urzędnicy zafiksowali się na planie doprowadzenia do tego, aby w 2050 roku być pierwszym kontynentem na świecie neutralnym klimatycznie. To oczywiście ambitne wyzwanie, nie mogę się jednak powstrzymać od myśli, że to również całkowicie nierealny plan. Nie mogę się też pozbyć wrażenia, że to całkowicie bez sensu i trochę przypomina mi moje sprzątanie, gdy za chwilę mają wpaść goście. Zwykle wtedy wrzucam wszystkie ubrania, które leżą na wierzchu, do szafy. A potem kończy się wielogodzinnym układaniem i wyciąganiem wszystkich rzeczy. UE trochę działa na podobnych zasadach. Będzie więc ograniczać produkcję stali czy żywności na swoim terenie, ale za to chętnie sprowadzi wszystko, co jej potrzebne, z zagranicy. Finalnie więc będzie produkować te wszystkie przedmioty w miejscach, gdzie żadnych norm się nie przestrzega. Stanie się więc tak jak z moim bałaganem przeniesionym do szafy. Wszystko wskazuje jednak na to, że UE zabrnie w pozorne sprzątanie tylko po to, by udawać później najbardziej zielony kontynent. Zaczniemy więc wozić z Brazylii drób, wołowinę i drewno, przy okazji dorzucając tony CO_2 na transport, a sami będziemy udawać, że jesteśmy eko. Gdyby taką taktykę przyjęła pierwsza lepsza firma, aktywiści już dawno określili by ją mianem „greenwashingu". Tymczasem w tym wypadku UE ma ich pełne wsparcie, co najlepiej widać w kampanii nienawiści, jaką rozpętują wobec Lasów Państwowych. Unijny greenwashing musi się opłacać, skoro różnej maści lewacy tak gorliwie go popierają. Idą czasy, gdy lepiej będzie nie wiedzieć, co kryje się w szafie.

Piotr
Nisztor
albicla.com/PNiszto

JAK PRZEJĄĆ „STARKĘ", NIE PŁACĄC ANI GROSZA

KANADYJSKIE PLANY RATUNKOWE I ZARZĄDCA PRZYMUSOWY

Producentowi legendarnej polskiej wódki grozi upadłość. Wszystko przez nieudaną transakcję sprzedaży zakładu spółce związanej ze znajomymi... Bogusława B., współtwórcy Art-B. Mimo że nie zapłacili oni za fabrykę 75 mln zł, swobodnie zarządzali nią przez ponad dwa lata. Śledztwo w tej sprawie prowadzi prokuratura.

To była perła w koronie polskiego przemysłu spirytusowego. Produkowana w Szczecinie legendarna wódka „Starka" cieszyła się popularnością już w okresie międzywojennym. Od początku wyróżniała się 50-procentową zawartością alkoholu (klasyczne wódki mają 40 proc.). Jednak trzy lata temu wszelka produkcja w Szczecińskiej Fabryce Wódek „Starka" została wstrzymana. Wszystko przez nieudaną transakcję sprzedaży zakładu spółce związanej ze znajomymi… Bogusława B., założyciela Art-B, jednego z największych aferzystów III RP. Za „Starkę" mieli zapłacić 75 mln zł. Sąd wpisał ich jako właścicieli fabryki. Jednak nigdy nie zapłacili za nią ani grosza, a z rejestru zostali wykreśleni dopiero po czterech latach, z czego przez dwa lata swobodnie zarządzali przedsiębiorstwem! Według Prokuratury Regionalnej w Szczecinie od początku było to oszustwo, a nabywcy nie posiadali środków na przejęcie zakładu. Zarzuty w tej sprawie usłyszały już trzy osoby. Śledczy sprawdzają też, czy po przejęciu fabryki podejrzani nie dopuścili się nadużyć finansowych. Spółka znalazła się bowiem na skraju bankructwa. Szczeciński sąd ma obecnie zdecydować, czy postawić ją w stan upadłości. „GP" ujawnia kulisy tej sprawy.

Kanadyjski inwestor

Historia szczecińskiej fabryki wódek sięga jeszcze XIX wieku. Zakład powstał w 1863 roku jako browar. Produkcję wódek, w tym „Starki", uruchomiono tam w 1921 roku. Podczas II wojny światowej zakład nie działał, a sprzęt i maszyny zostały rozkradzione. Produkcję uruchomiono ponownie w 1946 roku. Zakład zaczął wówczas działać pod nazwą Szczecińska Wytwórnia Wódek Polmos. Przez cały okres PRL produkował nie tylko popularną, tanią wód-

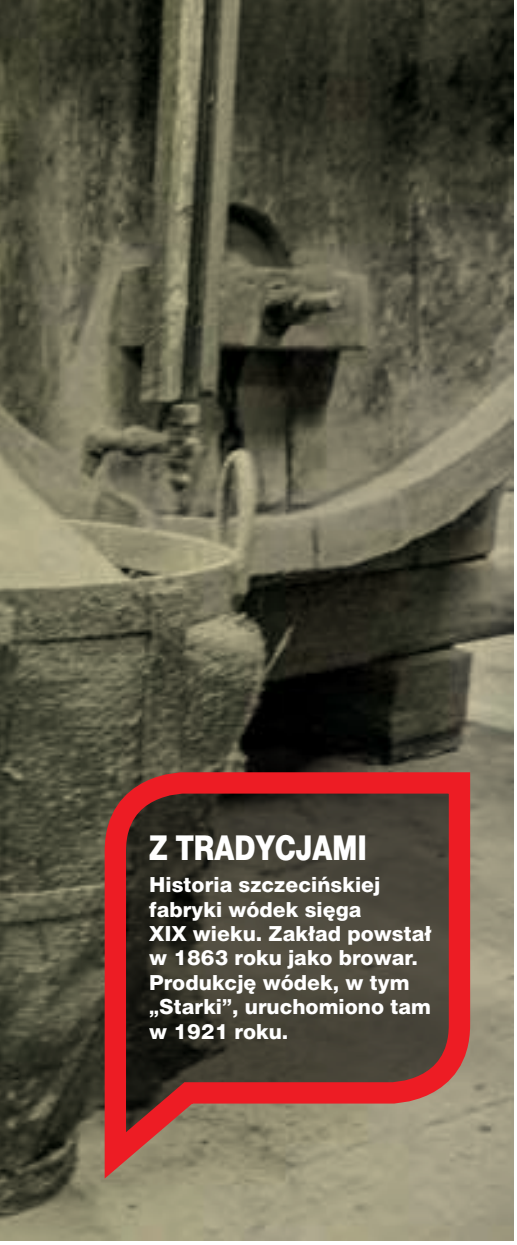

Z TRADYCJAMI

Historia szczecińskiej fabryki wódek sięga XIX wieku. Zakład powstał w 1863 roku jako browar. Produkcję wódek, w tym „Starki", uruchomiono tam w 1921 roku.

FOT. MARCIN BIELECKI/PAP

kę, lecz także alkohole z wyższej półki – whisky i właśnie „Starkę". Jednak już w III RP zakład zaczął popadać w długi. Ostatecznie w 2009 roku szczeciński Polmos został postawiony w stan upadłości. Rok później wstrzymał jakąkolwiek produkcję. Syndykowi udało się sprzedać zakład dopiero w 2012 roku. Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Usługowo-Handlowe Agora z Gdyni zapłaciło za perłę Szczecina ponad 29 mln zł, choć początkowo zakład wyceniano na blisko 50 mln zł. Nikt nie chciał jednak wydać takich pieniędzy.

Kto faktycznie kupił legendarną markę? Właścicielem gdyńskiej spółki była Katarzyna Lesperance, żona kanadyjskiego prawnika Davida Lesperance, szefa i współwłaściciela zarejestrowanej w Kanadzie spółki Starnberg Investment Group (SIG). To właśnie ten podmiot pomógł sfinansować całą transakcję. Po jej sfinalizowaniu gdyńskie przedsiębiorstwo przeniosło siedzibę do Szczecina i zmieniło nazwę na Szczecińska Fabryka Wódek „Starka". Z kolei Katarzyna Lesperance sprzedała posiadane tam udziały zarejestrowanej na Cyprze spółce Yasmia, której właścicielem – jak wynika z dokumentów – jest tzw. beneficial owner. „Od czasu wykupienia Starki z upadłości rodzina Lesperance włożyła wiele wysiłku i pieniędzy w rozwój spółki, zostały poczynione istotne inwestycje w wyposażenie i budynki fabryczne, zatrudniono pracowników w celu przywrócenia produkcji" – podkreślił w piśmie do „GP" David Lesperance.

Najcenniejsza beczka z 1947 roku

Od początku największym bogactwem szczecińskiej fabryki były leżakujące w przepastnych piwnicach ogromne beczki z dojrzewającym alkoholem. Ta najcenniejsza została zalana w 1947 roku. Potem co roku zalewano kolejne. Tak aż do 2004 roku, gdy dokonano ostatniego nastawu. Szacowano, że z posiadanego alkoholu można wyprodukować nawet milion butelek 0,7 „Starki". Ponowne uruchomienie produkcji w szczecińskiej fabryce nie było łatwe. Pierwsza po przerwie partia „Starki" pojawiła się na rynku dopiero w sierpniu 2016 roku. Nowy właściciel postawił na ekskluzywność. Dlatego każda z wyprodukowanych wówczas 1569 butelek legendarnej wódki (partię oznaczono jako 18-letnią) była numerowana i dostępna w wybranych sklepach. W efekcie cena z niespełna 400 zł bardzo szybko wzrosła do 1 tys. zł. Zainteresowanie było tak duże, że zaczęto prowadzić nawet zapisy na kolejne partie. Rarytasem miała być 30-letnia „Starka". Planowano także wypuścić starsze roczniki. W szerszej sprzedaży legendarna wódka pojawiła się w drugiej połowie 2017 roku. Wówczas w promocji w sieci Biedronka można było nabyć butelkę tego szlachetnego trunku za niespełna 200 zł. O takim sposobie dystrybucji zdecydowali już nowi właściciele – warszawska spółka Polmosy (wcześniej Impression Invest), która 5 lipca 2016 roku podpisała umowę zakupu szczecińskiej fabryki od cypryjskiej spółki Katarzyny Lesperance. Stroną umowy była też firma jej męża – SIG.

> Od początku największym bogactwem szczecińskiej fabryki były leżakujące w przepastnych piwnicach ogromne beczki z dojrzewającym alkoholem.

Wpis w KRS po… 25 miesiącach

Właścicielem i prezesem zarejestrowanej w Warszawie spółki Polmosy był 49-letni dziś Jacek W., biznesmen z branży budowlanej. Należąca do niego firma po podpisaniu umowy stała się właścicielem „Starki", powołując do zarządu jego zaufanego współpracownika Szczepana B. i działającego od lat w branży alkoholowej Adama P. Sam W. został prokurentem szczecińskiej fabryki. Spółka Polmosy zobowiązała się zapłacić za „Starkę" 75 mln zł. Należność została rozłożona na osiem rat. Zgodnie z umową, gdyby Polmosy nie wywiązały się z transakcji, Yasmia miała odzyskać udziały szczecińskiej fabryki dzięki ustanowionemu na nich zabezpieczeniu. Jak się potem okazało, kluczowy zapis dotyczył rachunku, na który miały wpłynąć pieniądze za transakcję. Zgodnie z umową sprzedający miał wskazać konto w „renomowanym" cypryjskim banku, z którego mogli korzystać „wyłącznie wspólnie" Yasmia i SIG. Spółka Polmosy, która cały czas zarządzała „Starką", zaczęła wykorzystywać ten zapis, odwlekając rozliczenie transakcji. Twierdziła, że kolejne wskazane rachunki nie spełniają zapisów umowy, jednocześnie nie reagując na kolejne wezwania do zapłaty. Ostatecznie Yasmia pod koniec lutego 2018 roku zrealizowała zastaw, przejmując ponownie udziały w „Starce" i na podstawie podjętych uchwał wprowadziła do jej władz swoich przedstawicieli, jednocześnie przesyłając do szczecińskiego sądu rejestrowego wniosek o wpisanie zmian w KRS. Z ustaleń „GP" wynika, że zostały one dokonane dopiero w marcu 2020 roku,

czyli po 25 miesiącach! W tym czasie trwał pat. Wszystko przez zaskarżenia decyzji i wnioski składane do sądów przez spółkę Polmosy. Według Lesperance to bardzo poważnie odbiło się na sytuacji „Starki". „Oszustwo dokonane w 2016 r. na naszą szkodę przez osoby chcące przejąć Starkę nie powstrzymało nas [jednak] przed wydaniem kolejnych znacznych kwot na ratowanie spółki" – zaznaczono.

Upadłość czy nie?

Grupa Jacka W., mimo że nie zapłaciła za „Starkę" ani złotówki, swobodnie zarządzała wartą miliony szczecińską fabryką co najmniej przez dwa lata – od lipca 2016 do lipca 2018 roku. Potem – ze względu na fatalną sytuację finansową – złożyła do sądu wniosek o upadłość fabryki. Postępowanie w tej sprawie prowadzi Sąd Rejonowy Szczecin Centrum, który ma zdecydować, czy ogłosić upadłość fabryki, czy też zaakceptować plany ratunkowe przedkładane przez spółkę Yasmia. – Decyzja zostanie podjęta w możliwie najszybszym terminie – powiedział „GP" Tomasz Szaj, rzecznik Sądu Okręgowego w Szczecinie.

Od września 2018 roku (z przerwą na kwiecień–lipiec 2020 roku) sądowym zarządcą przymusowym w „Starce" jest Maciej Kasprzyk (nie otrzymuje za to żadnego wynagrodzenia). – Ponaddwuletni okres braku rozstrzygnięcia kluczowej dla bytu każdego podmiotu kwestii, kto jest jej właścicielem oraz kto ma prawo sprawowania zarządu, wpłynął niewątpliwie na stan, w jakim dzisiaj znajduje się ten podmiot – mówi „GP" Maciej Kasprzyk. Przekonuje, że po odzyskaniu kontroli nad „Starką" przez spółkę Yasmia (po dokonaniu wpisu w KRS) oddał jej zarząd fabryki (w kwietniu 2020 roku). Jednak po trzech miesiącach (w lipcu 2020 roku), decyzją sądu, na swój wniosek ponownie został powołany na zarządcę przymusowego „Starki". Powód? Brak – zdaniem Kasprzyka – przedłożenia mu planów dalszego funkcjonowania fabryki i zabezpieczenia majątku. Zaznacza on, że aby uratować „Starkę" przed upadłością, nie wystarczy znaleźć finansowania. – Konieczny jest również realny i możliwy do wdrożenia plan restrukturyzacyjny, który umożliwi przywrócenie działalności operacyjnej i wygenerowanie przychodów pozwalających na spłatę zobowiązań – podkreśla. Jednak działania Kasprzyka bardzo krytycznie ocenia David Lesperance. „Starka pozostaje obecnie w zarządzie przymusowym, który oceniamy jako szkodliwy dla spółki, a także bezpodstawny prawnie, i mamy nadzieję na jego jak najszybsze uchylenie, gdyż pozyskaliśmy poważnego inwestora dla Starki, który jest gotowy do niezwłocznego przekazania środków na wyprowadzenie Starki na prostą" – stwierdził i dodał: „Jedyne, na czym nam zależy, to jak najszybsze odzyskanie kontroli nad Starką, ponowne zatrudnienie załogi i przywrócenie produkcji, na którą czeka rynek krajowy i międzynarodowy".

Rozwojowe śledztwo

Z ustaleń „GP" wynika, że kulisy przejęcia „Starki" przez spółkę Polmosy prześwietla Prokuratura Regionalna w Szczecinie. – Śledztwo zostało wszczęte 2 kwietnia 2019 roku, zainicjowane zawiadomieniem pełnomocnika spółki Yasmia Limited – mówi „GP" Marcin Lorenc, rzecznik szczecińskiej prokuratury. Według śledczych cała transakcja od początku była oszustwem, a Polmosy nigdy nie posiadały wystarczających środków na sfinalizowanie transakcji. Z nieoficjalnych informacji „GP" wynika, że przedstawiciele tej spółki podpisując umowę zakupu „Starki", mieli posługiwać się fałszywym dokumentem potwierdzającym rzekomo fakt posiadania środków na jej zakup. Zarzuty w tej sprawie usłyszały trzy osoby: Szczepan B. i Adam P. oraz Jacek W. (który spędził trzy miesiące w areszcie tymczasowym). To jednak może nie być koniec. – Śledztwo obejmuje również szereg innych wątków, w tym działanie na szkodę Szczecińskiej Fabryki Wódek „Starka" w okresie od 5 lipca 2016 do 28 lutego 2018 roku – zdradza prokuratur Lorenc. W tym czasie spółką zarządzali Szczepan B. i Adam P. Z ustaleń „GP" wynika, że w ramach innego wątku śledczy sprawdzają, czy jakąś rolę w transakcji odegrał… Bogusław B., współtwórca art-B. Okazuje się, że to nie tylko dobry znajomy całej trójki podejrzanych. To właśnie on miał namówić Jacka W. na wejście w alkoholowy biznes. – Bogusław poznał mnie z Jackiem W. i Szczepanem B., powiedział, że budują drogi i mają pieniądze. Szukałem wtedy inwestora do Polmosu Józefów – mówi „GP" Adam P. Przekonuje jednak, że B. nie brał żadnego udziału w transakcji zakupu „Starki". Jak komentuje postawione mu zarzuty? – Transakcja była przeprowadzona uczciwie, to druga strona się z niej nie wywiązała, nigdy nie przedkładając spełniającego wymogi zapisów umowy rachunku bankowego, na który miały być dokonane płatności – dodaje P. i zaznacza, że taką informację posiada od przedstawicieli Polmosów. **GP**

DWA (NIEPRAWOMOCNE) WYROKI PO 6 LAT WIĘZIENIA

Bogusław B., rocznik 1963, był współtwórcą spółki Art-B, której działalność została okrzyknięta jedną z największych afer III RP. Dzięki tzw. oscylatorowi finansowemu podmiot ten wydrenował z sektora bankowego setki milionów dzisiejszych złotych. B. został za to skazany na dziewięć lat więzienia (na poczet kary zaliczono mu 4 lata, które spędził w areszcie). Na wolność wyszedł w 2004 roku. Został zwolniony przedterminowo za dobre sprawowanie. Jednak bardzo szybko ponownie jego działalność znalazła się pod lupą śledczych.

Ostatecznie w 2019 roku Sąd Okręgowy w Warszawie skazał go w dwóch różnych sprawach. W pierwszej B. usłyszał wyrok 6 lat więzienia za stworzenie piramidy finansowej, w której 170 osób straciło ponad 33,5 mln zł. W drugiej sprawie sąd skazał go na kolejne 6 lat więzienia. Tym razem za oszustwo na 2,7 mln euro dokonane na szkodę jednej ze szwajcarskich spółek. Obydwa wyroki nie są prawomocne.

Kup KUBEK TERMICZNY

i odbierz MAŁĄ KAWĘ w cafe punkt

Każda kolejna kawa
#zwłasnymkubkiem
1 zł TANIEJ

LOTOS

PEKIN MOŻE SPARALIŻOWAĆ POLSKĄ ENERGETYKĘ

Grzegorz
Wierzchołowski
RED. NACZELNY NIEZALEŻNA.PL
albicla.com/GrzegorzWierzcholowski

W panelach słonecznych montowanych w Polsce i Europie wykorzystuje się coraz więcej optymalizatorów i inwerterów chińskiej firmy Huawei, posądzanej przez wiele krajów o szpiegowską działalność i o powiązania z chińską partią komunistyczną. Amerykanie już od wielu miesięcy alarmują, że sterowalne przez internet urządzenia mogą zostać użyte przez Pekin do wywołania paraliżu energetycznego w Europie i USA.

PANELE Z CHIŃSKĄ „WKŁADKĄ"

W marcu „Gazeta Polska" ujawniła, że skanery wpisanej na „czarną listę" USA firmy Nuctech, która kontrolowana jest przez państwową Chińską Narodową Korporację Nuklearną, używane są na polskich przejściach granicznych z naszymi wschodnimi sąsiadami, a także w terminalach kontenerowych w Gdańsku i Gdyni. Tymczasem zakaz używania skanerów Nuctech wprowadziły – z obawy o bezpieczeństwo narodowe – władze Litwy i Kanady. Jak się dowiedzieliśmy, nasz tekst wywołał zainteresowanie wśród naukowców zajmujących się sprawami bezpieczeństwa, jak i w instytucjach kontrwywiadowczych. Przy okazji nasi rozmówcy wskazali na jeszcze jeden coraz bardziej palący problem związany z chińskim sprzętem: optymalizatory, falowniki oraz inwentery wykorzystywane w panelach słonecznych. Jak się okazuje, rozwijająca się gwałtownie „zielona" energetyka może stać się wkrótce zależna od urządzeń Huawei, które zdalnie – poprzez internet – mogą zostać użyte do wywołania tzw. blackoutów, czyli potężnych awarii zasilania.

USA ostrzegają przed Pekinem

W 2018 roku Tom Ridge, sekretarz bezpieczeństwa krajowego USA w latach 2003–2005, ostrzegał: „W ciągu najbliższych dwóch lat od 50 do 75 miliardów domowych i przemysłowych urządzeń

ZAGROŻENIE

„Zielona" energetyka może stać się wkrótce zależna od urządzeń Huawei, które zdalnie – poprzez internet – mogą zostać użyte do wywołania tzw. blackoutów, czyli potężnych awarii zasilania.

FOT. ADOBE STOCK

elektrycznych zostanie podłączonych do Internetu, co umożliwi wygodniejsze korzystanie z energii w domu, wydajniejszą produkcję, lepszą opiekę zdrowotną, bezpieczniejszy transport i czystsze środowisko. Jest to powszechnie znane jako »Internet rzeczy« (IoT). Jednak każde urządzenie podłączone do Internetu to zaproszenie dla obcych rządów i innych złośliwych podmiotów, które mogą naruszyć kluczowe sieci – w szczególności sieć elektryczną, która jest kręgosłupem naszej infrastruktury krytycznej". I precyzował: „Obawy związane z łącznością pojawiły się ostatnio w przypadku inwerterów solarnych – urządzeń szeroko stosowanych do maksymalizacji działania paneli fotowoltaicznych. Istnieje obawa, że haker mógłby uzyskać dostęp do tysięcy inwerterów podłączonych do sieci i kontrolować przepływ energii z nich do sieci. W najgorszym przypadku haker mógłby spowodować duże nagłe skoki lub spadki w dostawach energii elektrycznej, zakłócając równowagę sieci lokalnej, państwowej lub krajowej i potencjalnie powodując rozległe przerwy w dostawach energii. Z tych powodów, podobnie jak ma to miejsce w przypadku naszej krajowej sieci telekomunikacyjnej, dostęp do amerykańskiej sieci elektrycznej za pośrednictwem IoT powinien być niedostępny dla firm kontrolowanych przez państwa, takich jak Huawei".

W grudniu 2019 roku grupa amerykańskich senatorów – zarówno Republikanów, jak i Demokratów – skierowała list do Neila Chatterjee, przewodniczącego Federalnej Komisji Regulacji Energetyki (FERC), w sprawie potencjalnego zagrożenia ze strony chińskich urządzeń w panelach solarnych.

„Piszemy dziś do Pana, aby uzyskać zapewnienie, że FERC w pełni zdaje sobie sprawę z zagrożenia, jakie dla krajowej infrastruktury energetycznej stanowi korzystanie z urządzeń produkowanych przez Huawei. (...) Linia produktów solarnych Huawei opiera się na inwerterach – urządzeniach, które zarządzają i konwertują energię produkowaną przez panele słoneczne – do użytku w domach i firmach. Inwertery wyprodukowane przez Huawei, podłączone do amerykańskiej sieci energetycznej, mogą uczynić ją podatną na inwigilację i ingerencję z zewnątrz, a także potencjalnie umożliwić Pekinowi ingerencję w część amerykańskich dostaw energii elektrycznej" – czytamy w liście.

Nie była to pierwsza taka inicjatywa. Dziesięć miesięcy wcześniej 11 senatorów USA, także z obu głównych partii, zaproponowało wprowadzenie zakazu stosowania w USA inwerterów Huawei, nazywając je „zagrożeniem bezpieczeństwa narodowego" w dziedzinie infrastruktury energetycznej kraju. „Zarówno wielkoskalowe systemy fotowoltaiczne, jak i te używane przez właścicieli domów, okręgi szkolne i firmy są równie podatne na cyberataki" – stwierdzili politycy.

W tym samym czasie branżowy portal GreenTechMedia ostrzegał: „Huawei zbudował imperium na innych rynkach dzięki agresywnie niskim cenom, które wyniszczyły konkurencję. (...) [W USA] tańszy falownik Huawei mógłby przejąć znaczny udział w rynku od dotychczasowych operatorów. Klienci jednak muszą wziąć pod uwagę możliwość, że urządzenie, które wprowadzają do swoich domów, aby kontrolować produkcję i zużycie energii, może otworzyć je na obcą cyber-infiltrację".

Polska i Europa pod chińskim inwerterem

Ostatecznie – mimo szybkich wzrostów sprzedaży – Huawei sam zakończył działalność na rynku paneli słonecznych w USA, choć oczywiście z żadnym z zarzutów kierowanym przez amerykańskich ekspertów i polityków się nie zgodził. Ale chiński koncern może wkrótce zdominować rynki nieamerykańskie. Według danych z kwietnia 2020 roku, globalny rynek inwerterów i optymalizatorów wzrósł rok do roku aż o 18 proc. Liderem jest właśnie Huawei, który opanował niemal 25 proc. sektora. Drugi największy producent to również chiński Sungrow, a na trzecim miejscu uplasowała się niemiecka SMA.

– Niestety, falowniki i inwentery wykorzystywane w panelach słonecznych dają możliwość powodowania przez podmioty zewnętrzne działań, skutkujących potencjalnymi awariami. A ponieważ udział paneli fotowoltaicznych w produkcji energii w Polsce i UE będzie się zwiększał, głównie z racji presji związanej z ekologią, należy zadbać, by ciągłość ich pracy była niezakłócona. Jeżeli pozwolimy, by system energetyczny w ramach paneli został uzależniony od urządzeń jednego z dostawców, zdamy się na łaskę i niełaskę kogoś, kto ten sprzęt może kontrolować. Tak jak dbamy o bezpieczeństwo rynku telekomunikacyjnego, tak powinniśmy dbać o bezpieczeństwo energetyki – mówi

„GP" Michał Kanownik, prezes Związku Cyfrowa Polska.

W Polsce urządzenia Huawei montowane są z panelami fotowoltaicznymi nie tylko w wielu gospodarstwach domowych i prywatnych firmach (choćby w elektrowni w Sokołowie Małopolskim, jednej z najbardziej innowacyjnych farm fotowoltaicznych w Polsce), ale także – coraz częściej – w ważnych zakładach publicznych i samorządowych. Na przykład w ubiegłym roku władze Lublina triumfalnie ogłaszały, że elektrownia fotowoltaiczna, która powstała na terenie oczyszczalni ścieków Hajdów, zaspokoi nawet 70 proc. zapotrzebowania zakładu na prąd. Problem w tym, że – jak sprawdziła „GP" – panele elektrowni są obsługiwane przez inwertery Huawei Sun.

W maju 2020 roku portal biznesalert.pl informował: „W ramach aukcji wiatrowo-fotowoltaicznej, przeprowadzonej w grudniu 2019 roku (...), sprzedane zostało ponad 11,43 TWh energii elektrycznej o wartości ponad 3,6 mld zł. Najwięcej wyprodukuje spółka R. Power, która zabezpieczyła prawa do sprzedaży energii dla projektów o mocy 122 MWp. Firma poinformowała o podpisaniu umowy na dostawę falowników Huawei serii SUN2000 105KTL, które zostaną wykorzystane w budowie farm fotowoltaicznych".

– Produkty Huawei są bardzo konkurencyjne. Optymalizatory są bowiem tańsze od ich odpowiedników. Innowacyjność Huawei sprawia, że ich produkty posiadają coraz szerszą funkcjonalność, dodatkowe cechy trybu pracy, zabezpieczenia. Chińska technologia oraz skala działalności sprawia, że nie jest wykluczone, iż produkty z Państwa Środka zdominują ten rynek – przyznaje w rozmowie z „GP" dr Marcin Kraśniewski z Laboratorium Klimatyczno-Energetycznego Centrum Studiów Antymonopolowych i Regulacyjnych Uniwersytetu Warszawskiego. – Wywołanie blackoutu wymagałoby, aby udział paneli słonecznych w całym rynku produkcji energii elektrycznej był istotny, a więc taki, który sprawia, że brak energii z tych źródeł doprowadzi do zagrożenia ciągłości dostaw energii elektrycznej – podkreśla Kraśniewski. – Z tego względu można stwierdzić, że obecnie znaczenie tych technologii będzie ograniczone. Nie oznacza to jednak, że należy lekceważyć zagadnienie optymalizatorów z punktu widzenia bezpieczeństwa energetycznego kraju.

Huawei i 5G

Pekin od lat celuje w wywiadzie gospodarczym, szczególną wagę przywiązując w ostatnim czasie do nowatorskich technologii komunikacyjnych, pozwalających na szpiegowanie przez internet i smartfony. W ostatnim czasie to właśnie koncern Huawei był najsilniej związany z oskarżeniami kierowanymi przez władze i służby zachodnich państw. Chodziło oczywiście o 5G, czyli o najnowocześniejszą technologię komunikacji komórkowej. Huawei miał bowiem stawiać sieć 5G w USA, Australii i krajach Europy, ale plan ten zakończył się potężnym fiaskiem. Amerykanie niemal w ostatniej chwili popsuli Pekinowi plany, wyrzucając koncern z listy dostawców sprzętu dla instytucji publicznych. Waszyngton wprost też oskarżył Huawei o instalowanie w produktach „tylnych drzwi", zapewniających władzom w Pekinie dostęp do wrażliwych informacji. Wtedy nastąpił efekt domina. Uzasadniając swoje postępowanie walką ze szpiegostwem gospodarczym, podobnie postąpili Australijczycy, Nowozelandczycy i Japończycy.

Huawei może też już zapomnieć o Kanadzie. W grudniu 2018 roku Meng Wanzhou, wiceprezes koncernu, została zatrzymana w Vancouver w związku z wnioskiem ekstradycyjnym przekazanym przez USA. W odwecie w Chinach zatrzymano dwóch Kanadyjczyków – Michaela Kovriga i Michaela Spavora – którym zarzucono, że stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Kryzys w relacjach chińsko-kanadyjskich na tle Huawei trwa do dziś, podobnie jak w stosunkach Pekin–USA – w tym ostatnim państwie prokuratorzy federalni wszczęli nawet śledztwo ws. koncernu, badając kradzież tajemnic handlowych T-Mobile US Inc. i innych amerykańskich firm.

W październiku 2020 roku Brytyjczycy ogłosili, że znaleźli dowody na zmowę Huawei z chińskim państwem komunistycznym i poparli przyspieszone usunięcie sprzętu Huawei z brytyjskiej infrastruktury telekomunikacyjnej do 2025 roku. Także Indie ogłosiły, że Huawei nie będzie mógł uczestniczyć w krajowej sieci 5G ze względów bezpieczeństwa narodowego. Nieco bardziej dyplomatycznie zachował się prezydent Francji Emmanuel Macron, który zapewnił chiński rząd, że nie zabroni Huawei udziału w rozwoju telefonii komórkowej piątej generacji, ale będzie preferował, ze względów bezpieczeństwa, europejskich dostawców.

Aby zmniejszyć chińskie zagrożenie, wystarczyłyby rozwiązania regulacyjne uniemożliwiające zdobycie przez Chińczyków pozycji hegemona na rynku inwerterów.

Polska w kwestii 5G – mimo początkowych planów wiązanych z Chińczykami – z pewnością nie dopuści koncernu Huawei do udziału w budowie sieci. Co w wypadku inwerterów i optymalizatorów? Michał Kanownik (Związek Cyfrowa Polska) jest przekonany, że wystarczyłyby rozwiązania regulacyjne uniemożliwiające zdobycie przez Chińczyków pozycji hegemona na rynku tych urządzeń. Dr Kraśniewski zaznacza zaś: – Wydaje się, że rozwiązania prawne powinny być w tym zakresie wypracowane na szczeblu międzynarodowym, w szczególności na szczeblu unijnym. Przyjęcie wspólnych instrumentów dla ochrony przed potencjalnym zagrożeniem wynikającym z używania optymalizatorów Huawei powinno mieć podobne znaczenie jak te instrumenty, które zastosowano w USA. **GP**

Grupa Azoty to zdecydowany lider w Polsce i jedna z kluczowych grup kapitałowych branży nawozowo - chemicznej w Europie.

Jednym z filarów strategii Grupy Azoty są inwestycje, a największym projektem realizowanym przez spółkę celową Grupę Azoty Polyolefins SA, są Polimery Police.

Po zakończeniu inwestycji, Polska dołączy do czołowych producentów polipropylenu w Europie, stając się największym wytwórcą w regionie CEE.

grupaazoty.com

DER ONET ZNOWU W FORMIE

„Szczęśliwy to kraj, w którym pół internetu zajmuje się kablem od prezydenckiego telefonu". Mnóstwo tego typu komentarzy można było przeczytać na Twitterze po tym, jak polskojęzyczny portal Onet uderzył fake newsem w prezydenta. Chodziło o rzekomy brak kabla w telefonie, przez który Andrzej Duda rozmawiał z królem Jordanii. Mimo szybkich wyjaśnień, także ze strony internautów, dziennikarze Onetu brnęli dalej, a po sieci rozlał się pogardliwy rechot wymierzony w głowę państwa. A jeszcze kilka miesięcy temu Bartosz Węglarczyk z portalu Onet cytował amerykańską prasę, która opisywała mechanizm rosyjskiej dezinformacji: „Bierzemy mało znaczące wydarzenie, które wpisuje się w potrzebną nam narrację (…), rozdmuchujemy, manipulujemy, a następnie rozpuszczamy w sieci i czekamy na efekty".

ZŁOTE myśli

#KabelGate

Marcin Dobski
@szachmad
Bez sprawdzenia czegokolwiek to Kamil rozkręcił tę „aferę", ale szanuję, że mu wyjaśniliście, że był w błędzie. Chociaż wystarczyło przyjrzeć się zdjęciu. Nie ma co dzielić na dziennikarzy i „dziennikarzy", wystarczy na tych z dobrym wzrokiem i niedowidzących.

Paweł Wójcik
@pafelwoo
Przez pół dnia TT szuka kabla w telefonie prezydenta. Jedni szydzą, że kabla nie było, drudzy wklejają schemat okablowania i zbliżenia, że jednak był. Media robią o tym materiały. Wypowiadają się komentatorzy. Trzecia fala pandemii. Wszystkim już kompletnie odbiło?

Marcin Wątrobiński
@mar_watrobinski
Prawda, panie Bartku, jest prostsza. Masz pan w zespole „fachowców", którzy na poważnie biorą fejka jakiegoś nieznanego architekta i godzinami nie dadzą się przekonać, że tkwią w błędzie. A wie pan dlaczego? Bo nie są obiektywni. Tyle.

Maciej Świrski
@Maciej_Swirski
Generalnie ta historia pokazuje, czym jest Onet. Doświadczenie Reduty Dobrego Imienia pokazuje, że nie dość, iż to wydawnictwo nie przestrzega żadnych standardów dziennikarskich, to jeszcze usiłuje na swoje ofiary przerzucić odpowiedzialność za swoje działania.

POMASKA W INTERESIE NIEMIEC

Posłanka PO Agnieszka Pomaska bardzo skutecznie przypomniała internautom, dlaczego Platforma Obywatelska nazywana jest niekiedy „opcją niemiecką". Otóż według pani poseł kryzys wokół akcji szczepień przeciw COVID-19 w Niemczech to wina... polskiego rządu. Pomaska w nagraniu grzmi, że „rząd używa szczepionek, które nie są ich własnością, które zostały wynegocjowane przez Unię Europejską. To dlatego w Niemczech szczepienie nie idzie tak dobrze, jak by mogło". Po pierwsze: pani poseł powinna doczytać, co to jest „unia", i że to nie to samo co UNRRA. Po drugie, przypominamy, że podczas biegania ważne jest dobre natlenienie. Bez tego mózg nie pracuje zbyt dobrze…

HOŁOWNIA
I DRUGA MADERA

Szymon Hołownia skorzystał z błędu w systemie rejestracji szczepień i jako 44-latek zaszczepił się przeciw COVID-19, czym pochwalił się w mediach społecznościowych. Jeszcze wcześniej krytykował za bałagan ministra Michała Dworczyka, jednak cwany niczym Kuźniar na wycieczce w USA, postanowił skorzystać z okazji. Do tego, starym celebryckim zwyczajem, postanowił zrobić z tego mało chlubnego faktu show. Czy szczepienie poza kolejnością będzie dla Hołowni tym, czym dla Petru wylot na Maderę? Czas pokaże.

Rubrykę opracował Krzysztof Kossowski

Andrzej
Kowalski

Qui bono?

10 lutego 2007 roku prezydent Rosji Władimir Putin wygłosił przemówienie na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium. Powiedział: „Nikt nie czuje się bezpieczny! Ponieważ nikt nie może czuć, że prawo międzynarodowe jest jak kamienny mur, który go chroni". Cytując Roosevelta przypomniał: „Jeżeli gdziekolwiek pokój został naruszony, pokój wszystkich innych państw jest w niebezpieczeństwie". Gra pojęciami (pokój, demokracja, wolność, prawo międzynarodowe) zaprezentowana przez prezydenta FR powinna na długo stać się podstawą wykładni rozumienia słów rosyjskiej wielkiej polityki.

Komentatorzy nie mieli złudzeń wskazując, że Putin wypowiedział wojnę jednobiegunowemu światu pod hegemonią USA, zapowiadając tym samym, że Rosja chce wrócić do gry jako światowe mocarstwo, chce odbudować imperium. Chociaż w tamtym momencie wydawało się to całkowitą mrzonką, to z perspektywy minionych piętnastu lat zupełnie inaczej musimy tamte słowa odczytać. A prezydent Putin we wstępie powiedział, że to nie będzie dyplomatyczna przemowa. To było twarde stanowisko powstającego z kolan dyktatora. Dzisiaj, po kilku wygranych lokalnych konfliktach, Rosja musi mieć miejsce przy stole, przy którym toczą się rozmowy o światowym bezpieczeństwie, nawet jeżeli konsultacje odbywają się z dala od kamer naiwnych mediów.

Rozwiązanie WSI

Rosyjskie zagrożenie doskonale rozumiał prezydent RP Lech Kaczyński. Dlatego 16 lutego 2007 roku zlecił opublikowanie w „Monitorze Polskim" 374-stronicowego raportu, który powstał po likwidacji WSI. Ujawniona w raporcie skala penetracji rosyjskiej w polskich służbach wojskowych do dzisiaj nie doczekała się żadnych konsekwencji. Wzmocnienie tamtego przekazu poprzez treść książki Sławomira Cenckiewicza „Długie ramię Moskwy" też na niewiele się przydało. Nie wyciągnięto wniosków na przyszłość, nie wdrożono żadnych nowych procedur bezpieczeństwa, nie wzmocniono kontrwywiadu, także nie podjęto daleko posuniętych poszukiwań archiwalnych, aby skutecznie wyeliminować zagrożenie dla poprawnego i wydolnego funkcjonowania państwa. Nic więc dziwnego, że pozostał wpływ tamtego lobby zarówno na polski system bezpieczeństwa, jak i na pracę najważniejszych instytucji.

Wydarzenia następnych lat

Rosyjska agresja na Gruzję wprowadziła Zachód w osłupienie. Nikt nie był przygotowany do jakiejkolwiek reakcji. Najwyżsi przywódcy zamarli (a może tylko udawali, gdyż już wtedy dali Putinowi wolną rękę do działania? – nikt nigdy tego nie zbadał). Wyjątkowym refleksem politycznym i determinacją wykazał się prezydent RP, mobilizując przywódców państw naszego rejonu do wspólnego wystąpienia na wiecu w Tbilisi. Rzucił Kremlowi wyzwanie, chociaż wiedział, jaka może być cena. Przekonał się o tym natychmiast, bezpardonowo atakowany nie tylko w polskich mediach. Wymierzona w niego fala nienawiści przewaliła się przez Europę. Gruzja była jak Samosierra. Logika dokładnie taka sama: tylko śmiała szarża może dać efekt. Wtedy poskutkowało, chociaż nie na długo.

Nowe narzędzie realizacji polityki

Doświadczenia wojny gruzińskiej z sierpnia 2008 roku przyczyniły się do podjęcia prac koncepcyjnych w Sztabie Generalnym Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej w celu elastycznej adaptacji potencjału sił zbrojnych do politycznego celu odbudowy imperium. Pod nadzorem GRU w 2009 roku rozpoczęto formowanie Sił Operacji Specjalnych. Jak relacjonował jeden z rosyjskich dziennikarzy: „(…) są to oddziały

FOT. SERGEI CHIRIKOV/PAP

Samolot prezydenta RP zbliżał się do Smoleńska w czasie, gdy na ziemi trwały ostatnie przygotowania do dużych ćwiczeń, w które zaangażowane były m.in. regionalne struktury FSB odpowiedzialne za koordynację działań antyterrorystycznych.

przeznaczone do realizacji celów politycznych i gospodarczych leżących w interesie FR w każdej części świata. Żołnierze walczą także w czasie pokoju. (…) Podejmują akcję, gdy zawodzą wszelkie dyplomatyczne metody. (…) Siły Operacji Specjalnych organizują, wspierają i nadzorują ruchy partyzanckie za granicą, eliminują niepożądanych przywódców na obcej ziemi itd.”. Istotna jest konstatacja, że koncepcja utworzenia i wykorzystania tych sił została opracowana na przełomie lat 2008/2009, a pierwsze oddziały rozpoczęły działalność już w 2009 roku, na początku w ścisłej tajemnicy, gdyż dopiero w 2013 roku ujawniono ich istnienie. Nie można też pominąć uchwalonej w 2006 roku ustawy O protiwodiejstwii tierrorizmu (O przeciwdziałaniu terroryzmowi), której projekt został wniesiony przez partię putinowską. W tej ustawie opisano prawne aspekty wykorzystania Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej w operacjach antyterrorystycznych. Między innymi mogą być one użyte w celu: „przerwania lotu statków powietrznych wykorzystywanych dla przeprowadzenia aktu terrorystycznego lub porwanego przez terrorystów”.

Samotność po resecie

Po wyborach parlamentarnych 2007 roku nastąpiły dwa ważne wydarzenia. W 2008 roku zupełnie bez komentarza przeszła publikacja książki W. Tretiakowa „Towarzysz J”, w której bardzo negatywnie pojawił się polski wątek. Dlaczego właśnie w ten sposób pokazano polskie służby? Czy nie był to kolejny przekaz o niepewności w spojrzeniu na Polskę? Następny rok przyniósł bardzo niekorzystną dla Polski decyzję. Administracja Baracka Obamy 17 września 2009 roku ogłosiła zmianę planów i zaniechanie budowy bazy antyrakietowej w Redzikowie. Wobec narastającej siły i determinacji po stronie rosyjskiej zostaliśmy kolejny raz osamotnieni. Szukałbym jednak winy najpierw po naszej stronie. Co zrobiliśmy, aby w oczach amerykańskich partnerów uchodzić za podmiot naprawdę zdeterminowany do podjęcia obrony naszej suwerenności przed zakusami Moskwy? Z poziomu rządowego nie płynęły do USA żadne sygnały na ten temat. Nawet można powiedzieć, że ówczesny rząd systematycznie dawał do zrozumienia, że opcja sojuszy „europejskich” (tzn. podporządkowanie polityce Berlina) jest mu bliższa.

Nawet historyczne przemówienie prezydenta RP na Westerplatte 1 września 2009 roku nie mogło wiele zmienić. Chociaż treść przemówienia napawała dumą, chociaż brzmiała w nich nuta twardej determinacji obrony polskiej suwerenności, wskazana była polska racja stanu, to jednak polski rząd systematycznie i wielotorowo marginalizował pozycję prezydenta RP. Media popierające rząd (m.in. te opisane w raporcie z likwidacji WSI) nieustannie ośmieszały głowę państwa, robiono wszystko, aby przekonać Moskwę i cały świat, że Lech Kaczyński i jego zaplecze polityczne to margines. Posunięto

się nawet do współdziałania z dyplomacją rosyjską w operacji przeciwko własnemu prezydentowi (gra o zaproszenie prezydenta RP na obchody do Smoleńska).

Remont Tu-154

W tym czasie, bez udziału strony polskiej, Kreml zdecydował o wyborze zakładów rosyjskich do przeprowadzenia remontu polskiego samolotu Tu-154, którym podróżował prezydent RP. Skala zaniedbań przedstawicieli rządu polskiego i służb specjalnych była ogromna, nie tylko nie mieliśmy wpływu na wybór podmiotu remontującego, nie zapewniliśmy też stałej ochrony samolotu w czasie remontu. Natomiast po zakończeniu remontu i powrocie samolotu do Polski nie wykonaliśmy dokładnego sprawdzenia pod kątem ewentualnych ingerencji w zamknięte profile konstrukcji, chociażby pod kątem wykrycia zainstalowanych tam urządzeń elektronicznych.

Spontaniczne ćwiczenia?

Media rosyjskie informowały, że w dniach od 13 do 17 kwietnia 2010 roku Wojska Wewnętrzne Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Federacji Rosyjskiej prowadziły operacyjno-taktyczne ćwiczenia w centralnych rejonach kraju. Ich celem było doskonalenie współdziałania podległych im formacji z wybranymi elementami resortów siłowych w ramach reagowania kryzysowego, w tym neutralizacji zagrożeń o charakterze asymetrycznym. Zajęcia odbywały się na obszarze 11 obwodów Rosji, w tym m.in. Moskiewskiego, Smoleńskiego, Tambowskiego i Tulskiego. Na przykład w obwodzie Lipieckim prowadzono zajęcia z zakresu przeciwdziałania i neutralizacji zamachów terrorystycznych z użyciem statków powietrznych. Warto zaznaczyć, że ćwiczenia Wojsk Wewnętrznych zostały zrealizowane bezpośrednio po przeprowadzonym miesiąc wcześniej strategiczno-operacyjnym ćwiczeniu resortów siłowych na obszarze obejmującym całą europejską część Rosji. Czy było to działanie doraźne, niewynikające z ramowego rocznego planu szkolenia Wojsk Wewnętrznych? Oznacza to, że samolot prezydenta RP zbliżał się do Smoleńska w czasie, gdy na ziemi trwały ostatnie przygotowania do dużych ćwiczeń, w które zaangażowane były m.in. regionalne struktury FSB odpowiedzialne za koordynację działań antyterrorystycznych. Ćwiczenia miały służyć zgrywaniu różnorodnych sił, można więc zakładać, że w rejonie były aktywne wojskowe oddziały specjalne. Czy właśnie dlatego w Smoleńsku mieliśmy tak dziwną sytuację, że natychmiast na miejscu katastrofy pojawiły się bardzo liczne zespoły FSB? W historii Rosji znane są sytuacje, gdy antyterrorystyczne ćwiczenia w terenie były wykorzystywane do zamaskowania operacji likwidacyjnych wobec na przykład grup przestępczych.

Robiono wszystko, aby przekonać Moskwę i cały świat, że Lech Kaczyński i jego zaplecze polityczne to margines. Posunięto się nawet do współdziałania z dyplomacją rosyjską w operacji przeciwko własnemu prezydentowi (gra o zaproszenie na obchody do Smoleńska).

Tego nie można zapomnieć

Co było potem? Kompletna porażka rządu Donalda Tuska. Pracowałem wtedy w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego i chociaż na bocznym torze w ośrodku szkoleniowym, to żyłem w przekonaniu, że służba podjęła szerokie działania w celu wyjaśnienia przyczyn katastrofy. Niestety po opublikowaniu raportu Tatiany Anodiny i kompletnym braku reakcji rządu wiedziałem, że nie mogę dłużej być w kontrwywiadzie. Odszedłem na własną prośbę. Kapitulacja służb specjalnych za rządów D. Tuska była faktem, chociaż wiele złożyło się na to uwarunkowań, a niektóre z nich nie były zawinione przez ówczesne kierownictwo służb. Chociażby warto mieć na uwadze, że zadania służbom specjalnym stawia premier albo w jego imieniu koordynator! Czy premier żądał dokładnej obserwacji całego procesu wojny informacyjnej, czy domagał się gromadzenia faktów pozwalających na dochodzenie do prawdy?

Komisja ds. podkomisji

Po jedenastu latach wiemy co, ale nie wiemy kto. O ile możemy domyślać się mocodawców, o tyle nie znamy wykonawców. Nie rozumiem, dlaczego mnożone są pytania o efekty pracy podkomisji. Kto śledził referaty wygłaszane na kolejnych konferencjach smoleńskich, kto czytał tzw. raport techniczny w 2018 roku, kto wczytał się w zawiadomienie do prokuratury o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez D. Tuska z 2017 roku, ten nie może twierdzić, że nic nie zostało zrobione, że ciągle nie znamy przyczyn. Wyniki badań amerykańskiego instytutu NIAR, który współpracuje z NASA i amerykańskimi Siłami Powietrznymi, nie pozostawiają wątpliwości, że samolot został rozerwany od środka przez siłę, którą mogła spowodować tylko eksplozja. Film przygotowany przez podkomisję dopiero teraz doczeka się emisji w telewizji publicznej (dotychczas można było obejrzeć go tylko w TV Republika). Dlatego też uważam, że pomysł powołania komisji do zbadania prac podkomisji smoleńskiej kompromituje się sam w sobie, ale... z troski o obywatela, który nic nie wie o meandrach prac rządu i prokuratury, należałoby zaproponować kilka kwestii, które powinny być objęte badaniem. Co dzieje się w śledztwach prowadzonych przez prokuraturę? Ile razy w sprawie wyjaśnienia katastrofy smoleńskiej zebrało się Kolegium ds. Służb Specjalnych? Czy i kiedy obradowała Rada Gabinetowa? Obywatelska presja ma sens, lecz należy ją właściwie ukierunkować. **GP**

Gen. bryg. Andrzej Kowalski – szef Służby Wywiadu Wojskowego w latach 2015–2020. W latach 2006–2011 w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego m.in. na stanowisku zastępcy szefa oraz p.o. szefa.

Joanna
Lichocka

PUTINOWSKA NARRACJA TUSKA

Przemysł pogardy zwykle notuje najwyższe obroty w okolicach rocznicy katastrofy smoleńskiej.

Dezawuowanie tej tragedii, pogarda dla jej ofiar i ich bliskich, nienawiść wobec tych, którzy usiłują przeciwstawić się moskiewskiej i POstkomunistycznej propagandzie – wszystko to znamy od lat, te same powtarzalne chwyty, te same stacje telewizyjne, ci sami dziennikarze, politycy, celebryci. I zawsze ten sam wodzirej – były premier Donald Tusk. W każdą kolejną rocznicę (a niekiedy i miesięcznicę) katastrofy smoleńskiej ten polityk występuje z atakiem, nie rozumiejąc najwyraźniej, że ta reguła zdradza jego emocje – zdaje się, że największą z nich jest strach. Donald Tusk w 2005 roku podjął z gronem swych współpracowników decyzję, która zaważyła na kolejnych kilkunastu latach życia politycznego w kraju – że podzieli Polaków głębokim rowem nienawiści. To wtedy uruchomiono przemysł pogardy, który koncentrował się przede wszystkim na prezydencie Lechu Kaczyńskim, z którym ówczesny lider PO przegrał wybory i raz na zawsze pogrzebał swoje szanse na najwyższe stanowisko w państwie. To konsekwencją tej decyzji była aktywność bliskiego współpracownika Tuska, Janusza Palikota, który w przypływie szczerości opowiadał, że chodziło o to, by odebrać prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu wszystkie atrybuty godnościowe. I wreszcie to za sprawą tej wieloletniej polityki pogardy wobec Lecha Kaczyńskiego można było doprowadzić do deprecjonowania pozycji prezydenta również w kontekście uroczystości w Katyniu i doprowadzić do rozdzielenia wizyt. Jest tej decyzji – o prowadzeniu polityki szczucia i dzielenia nienawiścią Polaków – wierny do dziś. „Piloci byli poddani presji politycznej. Prezydent Lech Kaczyński podkreślał po tym, jak pilot odmówił lądowania w Tbilisi, że sam będzie podejmował decyzje o lądowaniu" – to jedno ze zdań, jakie w postkomunistycznej, propagandowej stacji telewizyjnej PO mówił tym razem. Stwierdził, że będzie od teraz mówił o tym bez taryfy ulgowej. Tyle że ten polityk powtarza stare frazy, dobrze znane i upowszechniane zaraz po katastrofie. Byłam jako dziennikarka 10 kwietnia 2010 roku w Smoleńsku i Katyniu i dobrze pamiętam pewną scenę. Po mszy, gdy wróciliśmy do naszego prasowego busa, który stał na parkingu przed cmentarzem w Katyniu, kierowca miał włączoną skoczną rosyjską muzykę. Poprosiliśmy go, by wyłączył radio, że chcemy ciszy – zrozumiał to od razu, natychmiast z ogromną empatią wyłączył. Ujęło nas to. „Wiesz, co się stało?" – spytaliśmy. „Oczywiście, wasz prezydent zginął, uparł się, żeby lądować, cztery razy podchodzili do lądowania, kto to słyszał, żeby w taką pogodę cztery razy podchodzić do lądowania" – odpowiedział. „Skąd to wiesz?" „A stąd" – kierowca pokazał na telewizorek wiszący pod sufitem busa. Rosyjskie media natychmiast po katastrofie przekazywały tę wersję wydarzeń. Gdy nazajutrz wróciłam do Polski, włączyłam TVN – usłyszałam mniej więcej to: piloci działali pod presją, prezydent chciał lądować za wszelką cenę, cztery razy podchodzili do lądowania. Był to dominujący głos w większości mediów. Było jasne, że mamy do czynienia z kłamstwem smoleńskim, podobnie jak przez dekady mieliśmy do czynienia z kłamstwem katyńskim, dyktowanym z tych samych źródeł. Dziś (ale przecież nie tylko dziś, a od jedenastu lat) zupełnie otwarcie powiela tę narrację putinowskich mediów Donald Tusk.

Przemysł pogardy, który kiedyś służył liderowi PO do zdobycia i utrzymania przez wiele lat władzy, dziś nie jest już żadnym poważnym środkiem.

Błąd pilotów działających pod presją – to mówią Russia Today, „Kommiersant" i „Prawda". To mówi raport Anodiny, to mówi Donald Tusk. I dodaje: „Nie będę już delikatny wobec PiS-u i Jarosława Kaczyńskiego (…), oni dalej kontynuują polityczną zbrodnię, zimną wojnę domową".

Jak przypuszczam, ów polityk, który tę zimną wojnę domową faktycznie wywołał, bardzo boi się odpowiedzialności za Smoleńsk, i sądzę, że wydaje mu się, iż agresywnymi atakami obroni się, bo rozkręcając emocje przeciw PiS, zbuduje siłę społecznych odczuć, która go ochroni. Właśnie tak trzeba patrzeć po tych jedenastu latach od Smoleńska na to szczucie – działania słabego, upadłego polityka we własnej obronie. Bo przemysł pogardy, który kiedyś służył liderowi PO do zdobycia i utrzymania przez wiele lat władzy, dziś nie jest już żadnym poważnym środkiem. Nie jest w stanie wynieść Donalda Tuska już nawet na kandydata na lidera części opozycji. W tym sensie te smoleńskie zagrywki są głosem schyłku, epilogiem działalności tego niegdyś wpływowego polityka. W fatalnym, lecz charakterystycznym dla siebie, niczym z „Biesów" Dostojewskiego, stylu. **GP**

Dawid
Wildstein

Kto tu kocha **Putina?**

Spotkanie Morawieckiego z Orbánem i Salvinim w Budapeszcie wywołało lawinę politycznych komentarzy. Posłowie i autorytety opozycji prześcigali się w atakach i wątpliwej jakości dowcipach o reaktywacji Układu Warszawskiego. Pałka prorosyjskości staje się od jakiegoś czasu jednym z głównych narzędzi atakowania polskiego rządu. Są to zarzuty wyjątkowo absurdalne, szczególnie gdy spojrzymy na to, kto jest oskarżycielem.

PUBLICYSTYKA

O prorosyjskości wypowiadają się politycy partii, która sama klękała przed Putinem i prześcigała się w pochwałach na jego temat oraz gotowa była podpisać najbardziej nawet niekorzystną umowę gazową z Rosją, byle „zrobić mu dobrze". Partii, której przywódca spotykał się z rosyjskim dyktatorem na molo w Sopocie i którego Putin pieszczotliwie nazywał „swoim człowiekiem w Warszawie". Dziennikarze powtarzający kłamstwa rosyjskiej narracji o 10 kwietnia, wzywający do palenia zniczy na grobach sołdatów Armii Czerwonej. Przykłady tego typu można mnożyć, wszystkie one odwołują się jednak do przeszłości. Warto spojrzeć więc na dzisiejszą Europę oraz na działanie zarówno PiS-u, jak i PO i zadać sobie tytułowe pytanie: kto tu naprawdę kocha Putina?

Koniec Unii Europejskiej

Zarówno Orbán, jak i Salvini wielokrotnie wyrażali poglądy i podejmowali działania, które można określić epitetem „proputinowskie". Sprowadzanie jednak obu tych postaci tylko do sympatii proputinowskich (bądź sugestia, że kształtują one ich polityczną rolę w jakimś większym stopniu) jest po prostu fałszem. To poważni gracze, których Polska, jeśli może, powinna wykorzystywać do swoich celów oraz wzmocnienia swojej pozycji przetargowej. Co więcej – właściwie z żadnym państwem Unii nie mamy stuprocentowo spójnej racji stanu, w związku z czym właściwie każdy sojusz wewnątrz UE jest tworzony na zasadzie znajdywania punktów stycznych, przy świadomości rozbieżności (no chyba że przyjąć modus PO i utożsamić w pełni interesy własnego państwa z potrzebami politycznymi Merkel). Współpraca z Salvinim i Orbanem w jednej kwestii nie implikuje poparcia całości ich polityki. To abecadło unijnej polityki i w tym kontekście oskarżenia polityków PO są tylko prymitywną demagogią. Jeszcze zabawniej robi się, gdy przyjrzymy się najważniejszym partnerom politycznym Platformy. Dzisiejszy establishment polityczny Niemiec jest skrajnie proputinowski i dawał temu wielokrotnie wyraz. Jak to trafnie i dosadnie określił dziennikarz Michał Rachoń w Polskim Radiu24 – „patrząc na scenę polityczną Niemiec, tam każdy idzie do łóżka z Putinem". Różne bywają owoce tego „in flagranti". Naprawdę groźnie robi się, gdy okazuje się nim Nord Stream 2. Bowiem gazociąg ten to koniec Unii. Stwierdzenie mocne, ale, niestety, prawdziwe. To ostateczny koniec mrzonek o wspólnocie interesów, o solidarności, narracji, że może istnieją rozbieżności, ale gdy przychodzi do spraw najważniejszych – Unia trwa razem. To cyniczne, bezwzględne i egoistyczne działanie Niemiec, które w imię swojej współpracy z Putinem obniżają bezpieczeństwo innych państw Unii oraz pozwalają mu na radykalne możliwości zwiększenia swoich wpływów oraz narzędzi nacisku. To po prostu ostentacyjna gra Berlina z Putinem przeciwko reszcie Unii. W tym kontekście ciężko nie uznać tego gazociągu za zamordowanie tego, czym Unia miała być, i jej ideałów. A za jej śmierć nie będzie odpowiedzialny Salvini z Kaczyńskim, lecz Merkel. W tym kontekście to raczej PO popiera największych sprzymierzeńców Putina, i robi to w skrajny, bezwarunkowy sposób.

Autorytety ze Sputnika

Żeby dostrzec skrajną hipokryzję PO, nie trzeba odwoływać się ani do przeszłości tej partii, ani do jej aktualnych afiliacji międzynarodowych. Wystarczy spojrzeć na to, co dziś wyrabiają autorytety tej partii, związane z nią środowiska intelek-

tualne, żeby dojść do wniosku, że wrzask o domniemanej prorosyjskości PiS-u ma też za zadanie przykryć proputinizm samej PO. Szczególne wrażenie robią regularne „występy gościnne" bohaterów PO na łamach Sputnika. Przypomnijmy może, o czym mowa. Sputnik Polska to polskojęzyczna, propagandowa tuba Putina, skierowana na nasz kraj. Zresztą ona sama w żaden sposób tego nie ukrywa, zaś pracujący dla niej Polacy wręcz obnoszą się ze swoimi skrajnie prorosyjskimi poglądami i uwielbieniem dla Putina. Tej agencji informacyjnej, o czym zresztą mówią głośno najbardziej znani dziennikarze Europy, nie można traktować inaczej niż jako elementu wojny propagandowej, broni informacyjnej, kontrolowanej przez Putina i skierowanej przeciwko jego wrogom w Europie. Każdy występ w tego typu gadzinówce jest więc niczym innym jak legitymizowaniem tego kanału informacji i, na poziomie wspomnianej wojny informacyjnej, braniem udziału w niej po stronie Moskwy. I to właśnie tam, regularnie, dają głos rozmaite autorytety PO. W ostatnich dniach i tygodniach był to na przykład Jan Hartman, który – po wstępnym stwierdzeniu swojej niechęci do Agencji Sputnik – udzielił na jej łamach długiego monologu, w którym, w zawoalowany sposób, krytykował łotewskie działania zmierzające do „wypchnięcia" propagandowych putinowskich mediów z tamtejszej przestrzeni publicznej. Wywiadu udzielił też Lech Wałęsa, powtarzający brednie o dyktaturze w Polsce i sugestie, że ten Putin nie jest taki zły, oraz, co chyba najbardziej wstrząsające, Paweł Śpiewak opowiadający, jak ten straszny, PiS-owski reżim cenzuruje historyków. Warto pamiętać, że żadnemu ze wspomnianych Panów nie przeszkadza „sąsiadowanie" ich wypowiedzi z newsami o tym, jaki Putin jest wspaniały, a jaka Ukraina straszna, z artykułami powielającymi najbardziej prymitywne i agresywne fake newsy w interesie Moskwy etc. Co więcej, robią to w momencie największej koncentracji od lat wojsk rosyjskich na granicy z Ukrainą, gdy zabijani są kolejni żołnierze ukraińscy. A to przykłady platformerskich autorytetów udzielających się w putinowskich tubach tylko w ostatnim czasie.

Polskie podwórko

W kwestii Śpiewaka, Wałęsy, Hartmana i im podobnych najistotniejszy jest brak jakiejkolwiek krytyki ze strony PO, nawet symbolicznego przywołania do porządku. Idealny przykład, jak PO akceptuje putinowskie tuby propagandowe i prorosyjskie kanały informacji jako potencjalne narzędzie komunikacji. Aktualnie korzystają z nich mniej niż na przykład tuż po 10 kwietnia (niemieckie, jak widać, im starczą), niemniej gdyby wiatr polityczny inaczej zawiał, gotowi są do wejścia i w tę propagandę. Może dziś jeszcze nie mówią o tym, że Krym jest wiecznie rosyjski, ale wyraźnie pokazują, że są na to gotowi, byle zapłata była odpowiednia. Ta wspomniana „gotowość" do wchodzenia w układy z najbardziej prorosyjskimi środowiskami jest w wypadku PO widoczna na każdym kroku. W tym momencie najbardziej (oficjalnie) prorosyjskim ugrupowaniem w Polsce jest Konfederacja. Obie te partie dość wyraźnie współpracują z sobą, gdy następuje próba utopienia strategicznych projektów PiS, obie też wyraźnie pokazują, że – mimo deklarowanych różnic ideologicznych – ich największym, wspólnym wrogiem jest Kaczyński. Nierzadko przebąkują o „sojuszu", a wręcz, jak się wyrwało Nitrasowi, o „koalicji". W końcu – Konfederacja dostaje stałe wsparcie medialne ze strony ośrodków związanych z PO, możliwość obecności na ich łamach bądź antenach, nagłaśnianie ich akcji (szczególnie tych związanych z łamaniem obostrzeń epidemicznych). Ostatnie wybory pokazały, że gdy przychodzi do „liczenia głosów", potrafią wręcz nakłaniać do głosowania na konfederatów – w myśl zasady: odebrać PiS-owi każdy głos.

Warto na koniec zwrócić też uwagę na rolę Giertycha, który jest nadal istotnym aktywem w relacjach z częścią ugrupowań narodowych, oraz na portal z nim związany – Wieści, zamieszczający artykuły wspierające rosyjską propagandę i kreowany przez Pińskiego, twórcę portalu „Nowy Ekran" związanego z WSI (którego ludzie są jednym z najważniejszych zasobów Putina w Polsce). Jak widać, PO prowadzi prostą grę. Przekonana, że jej elektorat, konsekwentnie wprowadzany w stan ciągłej antypisowej histerii, zaakceptuje nawet Putina jako sojusznika w walce ze złym Kaczyńskim, konsekwentnie wspiera najbardziej prorosyjskie środowiska w Polsce. **GP**

Witold
Gadowski

PUBLICYSTYKA

Otwarty Dialog z burakiem w tle

Fundacja „Otwarty Dialog" rozzuchwalona praktyczną bezkarnością brnie w następne prowokacyjne działania. Oto kilka dni temu otoczenie Kozłowskiej poinformowało, że „OD" przejmuje zarządzanie hejterską i antyrządową stroną „Sok z Buraka".

Kiedy jakaś organizacja skupia ludzi prowadzących wyraźnie antyrządową, często antypaństwową działalność, to nawet kompletny amator wie, że musi się ona znaleźć w zainteresowaniu służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo. Kiedy działalność takiej organizacji inicjuje człowiek, który teraz odsiaduje na Ukrainie wyrok za zlecenie zabójstwa, a obecnie organizacja kojarzy się z osobą, o której życiu, pochodzeniu i powiązaniach niewiele wiadomo, to wtedy tolerowanie działania takiej organizacji staje się dla państwa po prostu szkodliwe.

Tymczasem z Fundacją „Otwarty Dialog" właśnie tak jest i okazuje się, że polskie władze są wobec niej kompletnie bezradne.

Kiedy organizacja pozarządowa i jej liderzy otwarcie wzywają do buntu przeciwko legalnym władzom, a na czele tej organizacji stoi osoba niebędąca polskim obywatelem, o bardzo niejasnym życiorysie, to każdy kolejny miesiąc funkcjonowania tej organizacji jest jedynie dowodem na słabość struktur polskiego państwa. Tym bardziej że liderka fundacji nie ma prawa wjazdu do Polski i została przez polskie służby uznana za persona non grata.

„Otwarty Dialog"

Właściwie nie wiadomo, czym się naprawdę zajmuje fundacja, którą zawiaduje teraz Kozłowska, i jakie są jej prawdziwe cele. Oficjalnie ludzie z tej fundacji walczą o demokrację. W praktyce znakomicie widać, do czego zmierzają. Angażują się we wszystkie przedsięwzięcia, które mogą destabilizować i zaogniać sytuację w Polsce. Gdybyśmy mieli poważne służby specjalne, to fundacja ta byłaby przedmiotem wielu śledztw i wynikających z tego konsekwencji. Tymczasem Bartosz Kramek i jego otoczenie działają bez przeszkód, dysponują znacznymi środkami materialnymi i praktycznie bez przeszkód docierają do wielu polityków i mediów.

Łatwo można także zauważyć, że działania „Otwartego Dialogu" oficjalnie wspierane są przez media z obcym kapitałem działające w Polsce. Rolę żarliwych adwokatów Ludmiły Kozłowskiej i jej fundacji pełnią na przykład dziennikarze portalu Onet, którzy w każdej sytuacji, w której następuje atak na Kozłowską czy „OD", natychmiast publikują gotowe teksty uzasadniające szlachetność działań fundacji i niewinność samej Kozłowskiej, która – w publikacjach portalu – wyrasta na osobę prześladowaną i pozbawianą praw obywatelskich. Nawiasem mówiąc, Onetu zupełnie nie zastanawia retoryka używana przez Kozłowską oraz wezwania do dokonania bezprawnego przewrotu, jakie podpisuje swoim nazwiskiem Bartosz Kramek. Nie wdaje się w analizę pochodzenia Kozłowskiej i w porównywanie metod działania „OD" z klasycznymi podręcznikami prowadzenia działalności wywrotowej i budowania wywiadowczych prowokacji, bowiem takie działania mają to do siebie, że prowadzone przez wykwalifikowanych specjalistów są praktycznie nie do udowodnienia. W kontekście działań „OD" doradzam jednak lekturę choćby książki Tomasa D. Schumana (Jurija Bezmienowa) „Agentura wpływu – tajniki działalności wywrotowej KGB". Co prawda sama nazwa KGB już nie istnieje, jednak trwa niezmienna pamięci instytucji, które nadal prowadzą działania skonstruowane wedle klasycznych i niezmiennych recept agenturalnej dywersji.

„Istotę działalności wywrotowej najlepiej opisuje słynny marksistowski slogan (jeśli zastąpić słowo „proletariusze" bardziej odpowiednim określeniem) „Pożyteczni idioci wszystkich krajów – łączcie się! Aby osiągnąć pożądany efekt, dywersant musi wpierw ze zwykłych ludzi uczynić idiotów, podzielić ich, zanim przekształci społeczeństwo w jednolitą masę pożytecznych i zjednoczonych idiotów" – czy te słowa nie budzą oczywistych skojarzeń i nie opisują działań takich „or-

FOT. IGOR SMIRNOW/GAZETA POLSKA

ganizacji" jak fundacja Kozłowskiej? W jej wypadku sprawa jest o tyleż ułatwiona, że „Otwarty Dialog" stanowi jawną ekspozyturę wpływów, które znów znakomicie charakteryzuje były oficer KGB i specjalista od prowadzenia działań prowokacyjnych Jurij Bezmienow. Spójrzmy na wymienione przez niego reguły prowadzenia działalności wywrotowej i porównajmy je z „dokonaniami" Kozłowskiej i Kramka:

„1. Ośmieszaj wszystko, co istotne w tradycji kraju twojego przeciwnika.

2. Wplątuj jego przywódców w sprawy karne, ściągając na nich pogardę ludu w odpowiednim momencie.

3. Zakłócaj pracę rządu na wszystkie możliwe sposoby.

4. Nie rezygnuj z najbardziej podłych i nikczemnych jednostek w kraju twojego wroga.

5. Potęguj brak jedności i spory wśród obywateli.

6. Zwracaj młodzież przeciwko ludziom starszym.

7. Hojnie rozdawaj obietnice i nagrody kolaborantom i wspólnikom".

Czytając te, kagiebowskie jeszcze, wskazówki nie sposób otrząsnąć się z wrażenia, że opisują one wszelkie posunięcia firmowane przez figurantów z „Otwartego Dialogu", którzy wyłonili się w polskiej przestrzeni publicznej z bardzo jasnym kierunkiem działania. Owoce wydawane przez te środowiska są nader widoczne właśnie w świetle klasycznych opisów Jurija Bezmienowa i nie pozostawiają nawet marginesu wątpliwości.

Otwarte kalumnie

Na własnej skórze doświadczyłem uroków działania pani Kozłowskiej i jej akolitów, także medialnych, oficjalnie tytułujących się mianem „dziennikarzy". W momencie gdy – posługując się klasyczną, acz teoretyczną wiedzą o działaniach obcej agentury wewnątrz infekowanego kraju – wyraziłem pewne przypuszczenia wobec „OD", Pani Kozłowska – w dialogach ze mną – objawiła całą głębię swojej erudycji i wrażliwości. Rozpoczęła od klasycznej sugestii – rozpowszechnianej zresztą od dawna przez rosyjskich agentów – że jestem alkoholikiem i nie bardzo wiem, co piszę, potem przeszła do kolejnych działań dyfamacyjnych, a na koniec – za pomocą adwokata Biernata – usiłowała wplątać mnie w sprawę sądową, w której chciała udowodnić, że publicznie ją… zniesławiłem.

Radosne podrygi przerwało pani Kozłowskiej dopiero stanowisko polskich służb specjalnych, które podważyło prawo pobytu Kozłowskiej na terenie Unii Europejskiej w oparciu o posiadane przez służby materiały dowodowe. Kozłowska i to jednak klasycznie wykorzystała do mnożenia podziałów. Rychło okazało się, że wobec stanowiska Polski nie są solidarne władze Belgii i Niemiec. Jedyną korzyścią pozostał fakt usunięcia Kozłowskiej z Polski. Cała „epopeja" przywódczyni „OD" stała się jednak (na przykład dla Onetu) okazją do ośmieszania polskich służb i polskiego państwa. Obrońcy Kozłowskiej – świadomie bądź nie – biorą udział w grze doskonale opisanej przez Jurija Bezmienowa, posługując się przy tym butnymi zastraszeniami i sprawiając wrażenie nietykalnych, dla których instytucje naszego państwa są po prostu śmieszne.

Śledztwo?

Istotnie działania naszych władz wobec jawnych prowokatorów są wyjątkowo nieporadne i pozbawione konsekwencji, co sprawia, że sprawa ciągnie się miesiącami i ropieje coraz nowszymi prowokacjami. Prokuratura regionalna w Lublinie prowadzi śledztwo w sprawie „możliwych nieprawidłowości w fundacji Otwarty Dialog prowadzonej przez Ludmiłę Kozłowską". Śledczy wykonują czynności w ramach Europejskiego Nakazu Dochodzeniowego, który pozwala na przesłuchiwanie osób z zagranicy. Prokuratura bada przepływy finansowe i drugorzędne fakty, nie podejmując najważniejszego wątku – wyjaśnienia, kim są i jakie mają powiązania sama Kozłowska i jej małżonek Bartosz Kramek. W śledztwie pojawiają się doniesienie KAS o możliwości prania brudnych pieniędzy oraz powiązaniach z Panama Papers, jednak na razie są to przede wszystkim dziennikarskie sensacje.

Sok z Buraka

„OD" rozzuchwalony praktyczną bezkarnością brnie w następne prowokacyjne działania. Oto kilka dni temu otoczenie Kozłowskiej poinformowało, że fundacja „OD" przejmuje zarządzanie hejterską i antyrządową stroną „Sok z Buraka". „Sok zmieni profil w kierunku wsparcia różnego rodzaju inicjatyw obywatelskich związanych zarówno z piętnowaniem patologii w życiu publicznym w naszym kraju (…)" – czytamy w oświadczeniu opublikowanym przez „Otwarty Dialog". To kolejne zaproszenie do awantur i destrukcji, któremu – jak do tej pory – polskie państwo nie jest w stanie położyć kres. **GP**

FELIETON { WIDZIANE ZE ŚMIETNIKA HISTORII }

KONIEC PARLAMENTARYZMU

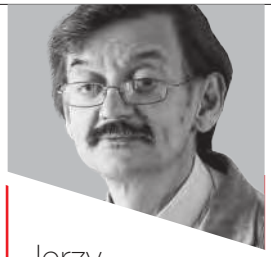

Jerzy **Targalski**

Faktyczne zwycięstwo w wyborach parlamentarnych w Bułgarii showmana Sławi Trifonowa nasunęło mi kilka refleksji. Dlaczego polityków zastępują telewizyjni celebryci? Na razie satyrycy, lecz niebawem w wyborach może zwyciężyć jakiś aktor grający lekarza w popularnym serialu lub piosenkarka. Ludzie widzą, że wszystkie dotychczasowe partie zawiodły, gdyż przekształciły się w spółdzielnie pasożytów, które walczą jedynie o zajęcie jak największej liczby stanowisk państwowych i możliwość urządzenia własnej rodziny, klanu i sieci klientelistycznej. Nadzieja, że ktoś nowy wreszcie zmieni dotychczasową sytuację, rodzi poszukiwania, które z kolei wykorzystują rozmaici cwaniacy, wariaci lub co najmniej osobnicy niestabilni psychicznie, manipulowani przez pozostające poza kontrolą grupy posiadające prawdziwą władzę. Wystarczy spojrzeć na nasz Sejm, by się przekonać, że taki zbiór horrendów nie mógłby powstać w sposób naturalny. Na rozpacz każącą głosować na coś nowego nakłada się postępujący proces kretynienia społeczeństwa w wyniku doskonałej współpracy szkolnictwa i mediów produkujących ludzkie bezmózgi. Nie dziwi więc, że parlamenty zamieniają się w cyrkowe areny, a polityków zastępują showmani. Tradycyjna partia miała jakąś wizję polityki, program, głosiła zasady, które starała się realizować. Dziś to wszystko straciło sens, gdyż parlamenty nie są już miejscem dyskusji i podejmowania decyzji. Wszystkie ważne decyzje zapadają poza parlamentami i w coraz większej mierze poza rządami. Kto wygra wybory, ma coraz mniejsze znaczenie, gdyż zwycięzca i tak będzie chciał lub musiał realizować decyzje niekontrolowanych lobbies, koncernów czy obcych rządów. Politykę zastępuje więc cyrk i kabaret, a polityków – medialni cyrkowcy.

FELIETON { LUBIĘ DINOZAURY }

SMOLEŃSK – TU JUŻ NIE MA PYTAŃ

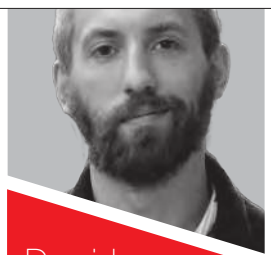

Dawid **Wildstein**

Tusk wypuszczający kilka fake newsów (podsuniętych już lata temu przez putinowską propagandę) na temat odpowiedzialności Lecha Kaczyńskiego za tę katastrofę i podchwytujący to politycy PO. Szwertner z Onetu, który w reakcji na pytanie o nowe informacje dotyczące 10 kwietnia, stroi sobie prymitywne żarty. W końcu banda Obywateli RP i kilka ich koleżanek ze Strajku Kobiet zakłócająca oficjalne obchody ku czci ofiar 10 kwietnia. Co łączy wspomniane powyżej wydarzenia? Pokazują one bardzo wyraźnie, jak żywe, wciąż mocne jest kłamstwo o Smoleńsku. Czy mowa o ważnych politykach, o polskich dziennikarzach czy o prymitywnych zadymiarzach na ulicach. To kłamstwo zaczęło się w bardzo konkretnym momencie, gdy media przychylne PO zdecydowały się partycypować w rosyjskiej machinie dezinformacyjnej oraz kiedy Donald Tusk wypuścił swojego kundla Palikota na harce. Wtedy, gdy zaczęły się dowcipy o „zimnym Lechu", „pieczonej kaczce" i „krwawej Mary", wrzaski „jeszcze jeden", życzenia śmierci. Było to największe zbydlęcenie III RP, barbarzyństwo, które, jak widać, jeszcze się nie skończyło. To tam są korzenie patologii i środowisk, które i dziś mają jak najgorszy wpływ na nasze państwo. Czy mowa tu o SokuZBuraka, o Obywatelach RP czy o powtarzających wciąż smoleńskie kłamstwa politykach bądź dziennikarzach. Wiele się jednak przez ostatnie lata zmieniło na lepsze – także w zakresie naszej wiedzy o tej tragedii. Dzięki ostatnio ujawnionym informacjom (zwłaszcza dzięki Anicie Gargas) możemy mieć pewność co do roli Tuska i PO w tym czasie. Ludzi klękających przed Putinem, osłabiających i sabotujących własne państwo, robiących wszystko, by utrudnić realne śledztwo, wspierających we wszystkim Rosję. Dziś już nikt nie może udawać, że o tym nie wie. Pisarz Jacek Piekara trafnie stwierdził: „Mam nieprzekraczalną granicę: kto drwi z Katastrofy Smoleńskiej, jej ofiar oraz pamięci o niej, ten sam stawia się poza kręgiem ludzi cywilizowanych". Tyczy się to nie tylko idiotów z Obywateli RP, organizujących zadymy. Także rzeszy dziennikarzy i „autorytetów", którzy wciąż udają, że nic nie widzą i nic nie wiedzą. Oni też postawili sami siebie poza kręgiem ludzi cywilizowanych – i powinniśmy im to jasno pokazać.

FELIETON

{ WALKA O DUSZE }

Tomasz P.
Terlikowski

JESZCZE **O ZMARTWYCHWSTANIU**

Oktawa Wielkanocy już za nami, lecz we mnie wciąż żyją jeszcze tamte niesamowite ewangeliczne czytania. Czytania, które wyznaczają centralny punkt naszej wiary. I dlatego pozwolę sobie jeszcze do nich powrócić, przeanalizować je jeszcze raz, pamiętając, że „jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara" (1 Kor 15,17). Zacznijmy od Ewangelii z soboty. Święty Marek opowiada w niej o kolejnych spotkaniach ze Zmartwychwstałym i o niewierze w nie pozostałych. Maria Magdalena spotyka Jezusa, opowiada o tym Apostołom, a oni „nie chcieli wierzyć". Jezus objawia się uczniom na drodze do Emaus, oni opowiadają o tym innym, a ci „im też nie uwierzyli". I wtedy Jezus przychodzi do jedenastu, wyrzuca im brak wiary i upór, a potem… wysyła ich do głoszenia Ewangelii. „Idźcie na cały świat i głoście Ewangelię wszelkiemu stworzeniu" – mówi. Można w tej Ewangelii skupić się na wyrzutach, na uporze i braku wiary, a można na tym, że ta niewiara jest czymś naturalnym, że może jest nawet czymś błogosławionym, bo uświadamia, że wiara Apostołów nie była ślepa, nie była nieracjonalna, nie była niezwiązana z wątpliwościami. Apostołowie wcale nie czekali na zmartwychwstanie. I trudno się im dziwić. Mieli świadomość, a niektórzy nawet w tym uczestniczyli, jaką śmiercią umarł Jezus. Wiedzieli, czym jest śmierć. I także dlatego gdy spotykali Zmartwychwstałego, nie mogli Go rozpoznać, zaprzeczali. To nie byli histerycy, którzy w emocjach czekali na zmianę. To byli twardzi ludzie, którzy przeżywali żałobę, nie tylko po Mistrzu, lecz także po swoich marzeniach, planach, a nawet po swoim wizerunku. I to właśnie w tych tak szczerze opisanych wątpliwościach tkwi siła Ewangelii, siła świadectwa Apostołów. Tak opisana historia uświadamia, że aby ich przekonać, rzeczywiście musiało wydarzyć się coś absolutnie niesłychanego, że oni także doświadczyli wątpliwości i że dopiero gdy pokonali pewną drogę, mogli rzeczywiście być świadkami.

> To właśnie w tak szczerze opisanych wątpliwościach dotyczących zmartwychwstania tkwi siła Ewangelii, siła świadectwa Apostołów.

FELIETON

{ Z BLISKA }

Jan
Pospieszalski

ZOSTAŁA **MUZYKA**

Kilka lat temu zadzwonił ks. Piotr Pawlukiewicz z propozycją spotkania… Szok! Uwielbiany rekolekcjonista, gwiazda katolickiego internetu prosi o rozmowę! Z radością zaprosiłem go. Dzwoni domofon, otwieram, czekam, na klatce słyszę człapanie i ciężki oddech. Wdrapał się na 3. piętro z ogromnym wysiłkiem. Stał w drzwiach, zgarbiony, przygięty do ziemi, uśmiechając się nieco bezradnie. Przy okazałym wzroście i wadze zniekształcona postawa jeszcze bardziej biła w oczy. Widząc nasze zmieszanie, łapiąc z trudem oddech, powiedział: „Pan Parkinson, rozgościł się i nie odpuszcza". Z każdą chwilą odzyskiwał siły, przy obiedzie żartował już na całego. Trochę trwało, zanim wyznał, z czym przychodzi. Wiele, wiele lat temu – opowiadał – w garażu, w Józefowie, nagrał z kolegą na kaseciaka kilkadziesiąt swoich piosenek. Siostry z wydawnictwa dowiedziały się teraz o tym, kazały mu znaleźć aranżera i wykonawców, mówiąc, że na hasło „ks. Pawlukiewicz" sprzedadzą każdy nakład. Uprzedzał, że jakość słaba, że można wszystko pozmieniać. Prosił, żebym posłuchał i uczciwie powiedział, czy cokolwiek można z tym zrobić. Obiecałem, że przesłucham i dam znać. Posłuchałem. Coś z pogranicza studenckiego kabaretu i poezji śpiewanej. Kompletnie nie moje klimaty, nie podołam. Odmówić nie miałem odwagi, więc zaproponowałem zespołowi, który siedzi w tym nurcie, wysłałem i... cisza. Z czasem zapomniałem. Nagle przychodzi wiadomość o śmierci księdza Piotra. Żal, strata i ogromne wyrzuty sumienia. Pewnego dnia, przypadkiem (jak wiemy, przypadek to cywilny pseudonim Ducha Świętego) spotykam Krzyśka Antkowiaka, o którym wiedziałem, że przyjaźnił się z ks. Piotrem. A on wręcza mi świeżutką płytę z piosenkami do tekstów ks. Pawlukiewicza „Zostanie mi muzyka". Opowiadam mu tę historię, a on mówi: „Nie przejmuj się. Od razu mu powiedziałem, że to się do niczego nie nadaje. Wybrałem kilka najlepszych tekstów i napisałem od nowa muzykę". Płyta jest piękna (polecam!), a ja z radością zaprosiłem Krzysztofa do wykonania jednego z utworów na Gali „Gazety Polskiej". Dopisaliśmy kwartet smyczkowy i wyszło fantastycznie. Przynajmniej w ten sposób spłacam dług.

Krzysztof
Wołodźko

Krzysztof Krawczyk

Świat, który odszedł z piosenką

W starych albumach fotograficznych, gdy zajrzeć nieco głębiej w przeszłość, pokolenie moich rodziców, wujków i ciotek wciąż ma 20–30 lat. Urodzeni najpóźniej kilkanaście lat po wojnie, na zdjęciach z lat 70. dziewczyny i chłopcy mają dłuższe włosy i nierzadko wciąż noszą się jak hippisi. Czasem mają wielkie kołnierzyki albo góralskie futerka, nie stronią od skórzanych kurtek i sukienek mini. Na nielicznych kolorowych zdjęciach, robionych w czasie wizyt krewnych z Ameryki, chętnie pozują ze szklanymi butelkami Coca-Coli. Gdy jako dzieciak, w połowie lat 80., zacząłem bardziej świadomie zaglądać do ich zbiorów winyli, raz po raz trafiałem na płyty Trubadurów. I solowe albumy Krzysztofa Krawczyka.

Dziś wspominamy jego przeboje. Ale zwykle są one wehikułem dla indywidualnych i zbiorowych wspomnień z „tamtych czasów". Często mocno już zakurzonych. Czasem, gdy ktoś wejdzie głębiej w temat, nawet niewinne wspomnienie może zaiskrzyć sporem o przeszłość. To są te małe „wojny domowe" o politykę historyczną przy rodzinnym stole, często niezauważane z perspektywy poważnej publicystyki, akademickiej socjologii i państwowych instytucji – gdy ciocia Halinka wspomni, że za PRL było się gdzie „kulturalnie bawić" nawet w małym miasteczku i człowiek nie bał się tak o pracę i przyszłość, a wujek Jacek rzuci ciętą ripostę, że dobrze pamięta, jak całą noc stał z kolegami za pralką „Frania", której i tak nie dostał, a teraz to nawet suszarkę do prania może sobie kupić przez internet. Ale i ciotka, i wujek, gdy się po raz stutysięczny pokłócą i pogodzą, jak z nut wyśpiewują przeboje Krzysztofa Krawczyka, Anny Jantar i Seweryna Krajewskiego. I westchną, sięgając pamięcią do miejsc, które zmiótł czas.

Meduza z lornetą w „Centralnej"

I ja, choć młodszy, pamiętam takie miejsca. Do dziś można natknąć się na ich ślady, jak drobne rany w pamięci. Na rynku w wielkopolskim Bojanowie wciąż straszy ruina po restauracji „Centralna". Ale we wspomnieniach to obszerne sale i wystrój wnętrza typowy dla PRL-owskich lokali – dużo bejcowanego drewna, politury, zielonego pluszu, ciężkich, czerwonych wykładzin – klimat wciąż do odnalezienia w nowohuckiej restauracji „Stylowa". W czasach słusznie minionych często zmieniano tam menu, lecz stali bywalcy, przymgleni dżentelmeni, brali zwykle meduzę z lornetą. I lody Cassate dla dzieci, gdy przyszło okupić drobne grzeszki dyskrecją przyszłości narodu. Na marginesie: „Centralna" miała mniej szczęścia niż bojanowski browar, który ciężko przeżył czasy transformacji, ale kilkanaście lat temu uratował go Marek Jakubiak.

Ktoś odpowie: nie ma nic niezwykłego w zmianach, które przychodzą; kolejne pokolenia będą miały swoje miejsca, z którymi przyjdzie się rozstać. Zostawmy na boku rozważania, czy tej stałości jest dziś więcej czy mniej, albo jak wygląda rozrywkowa i kulinarna mapa małomiasteczkowej i prowincjonalnej Polski. Pewne jest, że dawne restauracje w centrum miast, z obowiązkową szatnią, salą taneczną, pełną obsadą kelnerską i zaspanym, lecz godnie prezentującym się szatniarzem z reguły zostały tam zastąpione przez małe pizzerie i budki z kebabem. A wypasione zajazdy przeniosły się pod miasta.

To szerszy problem. Opustoszałym centrom nie tylko małych miast, mniejszym i większym rynkom, restauracjom w starym stylu, w których do kotleta w weekendy grały miejscowe zespoły, a na co dzień z radia ktoś śpiewał, że nie ma już dzikich plaż, cios zadały galerie handlowe, wysokie czynsze i transformacja w rodzimej gastronomii, która na długo wyrugowała typowy dwudaniowy obiad z deserem z kulinarnego krajobrazu Polski B. A jeśli w tej kwestii coś się zmieniało w ostatnich latach na lepsze, to dziś można się zastanawiać, jak wielkie spustoszenia uczyni pandemia w tym względzie.

FOT. PAP/TEODOR WALCZAK

Rzecz jasna, Krzysztof Krawczyk nie skończył się wraz z PRL, nie jest symbolem jedynie tamtej epoki. Ze swoją charyzmą, biografią i wokalem jest raczej symbolem kogoś, kto z tamtymi czasami brał się za bary.

PRL – popkultura i propaganda

Im dłuższy korowód pamięci o tych, którzy tworzyli popkulturę czasów PRL, tym łatwiej o sentymenty. Dla rówieśników Krzysztofa Krawczyka „tamte czasy" to potańcówki w zakładach pracy, pierwszomajowe festyny z orkiestrami dętymi, dansingi w ośrodkach wczasowych w górach i nad morzem, roztańczone wiejskie remizy. To oczywiście „pocztówkowy szał", czyli największe hity tamtych czasów wydawane na pocztówkach dźwiękowych. Od lat 60. do 80. dzięki „prywatnej inicjatywie" miliony obywateli i obywatelek Polski Ludowej mogło tworzyć własne playlisty – na fizycznych nośnikach. Jako dzieciak uwielbiałem dźwiękowe pocztówki. A równocześnie dorośli często zabraniali mi ich słuchać – bo taki format bardzo szybko się zużywał. I w połowie lat 80. często stanowił dla moich rodziców i krewnych sentymentalną pamiątkę z czasów, gdy myśleli o wszystkim, tylko nie o zakładaniu „podstawowej komórki społecznej".

Kultura masowa w PRL z lepszym lub gorszym skutkiem służyła jako narzędzie miękkiej propagandy. Lud pracujący miast i wsi czekał nie tylko na festiwale w Sopocie i Opolu; ufundowano mu również ideologicznie ważne imprezy w Kołobrzegu i Zielonej Górze. Festiwale Piosenki Żołnierskiej i Piosenki Radzieckiej, dziś ukryte w zbiorowej niepamięci, przez dekady pomagały artystom robić kariery. W Zielonej Górze na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej występowali nie tylko Adam Zwierz, Irena Woźnicka czy Bogdan Czyżewski, ale także Trubadurzy, Maryla Rodowicz i całe mnóstwo muzycznych gwiazd nie tylko czasów PRL.

Tylko dla Niemców

W książce „Festiwale wyklęte", pióra Bartosza Żurawieckiego, dobrze pokazano, jak po 1989 roku znakomita większość ludzi sceny muzycznej „zapomniała" o swoim udziale w tych imprezach. Ale widać też coś więcej – wiele z tego, za czym nikt nie tęskni. Gdy zbliżał się termin Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze, lokalne gazety zachęcały miłych gości, by odwiedzili Niemiecką Republikę Demokratyczną (NRD). Podawały jednocześnie obowiązujące w „bratnich Niemczech" przepisy celno-dewizowe.

Żurawiecki pisze: „Zdumienie budzi dzisiaj lista produktów, których nie można było z NRD wywozić: metale i kamienie szlachetne, artykuły fotograficzne, ubrania robocze, odzież dziecięca i niemowlęca, w tym pieluszki, kocyki, powijaki, firanki, bielizna osobista, bielizna pościelowa, ręczniki, ścierki kuchenne, obrusy, wyroby pończosznicze, obuwie, pierze, puch, części do telewizorów, porcelana, mięso, cukier, cebula, konserwy, przyprawy, migdały, sułtanki, koryntki, rodzynki, cykata, wiórki kokosowe, kasety magnetofonowe, tapety i klej do tapet". Można być pewnym, że była to w większości lista rzeczy, które bardzo się chciało i warto było zza Odry przywieźć. I na które polowali goście z demoludów, na czele z przodującym Związkiem Radzieckim, gdy z sowiecką piosenką na ustach odwiedzali Zieloną Górę.

Rzecz jasna, Krzysztof Krawczyk nie skończył się wraz z PRL, nie jest symbolem jedynie tamtej epoki. Ze swoją charyzmą, biografią i wokalem jest raczej symbolem kogoś, kto z tamtymi czasami brał się za bary. Jak niespokojny duch szukał swoich szans, zaliczał upadki, wzbijał się do góry. Biografia to jedno. To, co zostaje po artyście, żyje własnym życiem. Dla starszych dziś słuchaczy jego muzyka przynosi wspomnienia z tamtych czasów – dobre i złe. I chyba dlatego Polacy w swoim podejściu do PRL są niejednoznaczni – potrafią potępić podłości, zbrodnie i absurdalne niedogodności tamtych czasów, ale widzą też ich pozytywy. Nie chodzi tylko o to, że byli młodsi – lecz o oprawę tamtych lat, większe i mniejsze radości, poczucie stabilności życia i bycia u siebie na stałe – nawet gdy żyło się w małym miasteczku. I stąd ta opowieść, która odejdzie wraz z pokoleniem, którego życie podzielone jest niemal równo między PRL a III RP. **GP**

GAZETA POLSKA

Józef
Wieczorek

PUNKTOWANIE NAUKI W POLSCE

Punktoza zaliczana jest do głównych plag nauki uprawianej w Polsce. Nie piszę: nauki polskiej, mimo że to termin najczęściej używany, gdyż chodzi mi o naukę sensu stricto, a nie naukę przymiotnikową. Jakość prac naukowych mierzy się u nas punktami, którymi obdarza się czasopisma je zamieszczające. Im więcej punktów, tym praca lepsza, a ich autorzy/uczelnie ich zatrudniające – lepiej oceniani i mający większe szanse na lepsze finansowanie i awans. Podejście jest biurokratyczne, merytorycznie dyskusyjne. Do oceny wystarczy kalkulator i mamy gotową hierarchię jakości naukowej. Ale w najwyżej nawet punktowanych czasopismach zdarzają się buble i plagiaty. Żaden kalkulator, żaden biurokrata nie odsieje plew od ziarna. Rolnicy w tym celu stosują specjalne maszyny – wialnie, bo – jak czytamy w tekstach agrarnych – „nie wyobrażamy sobie wykonania podobnej pracy ręcznie – byłaby ona żmudna niczym praca Kopciuszka przy oddzielaniu ziarenek maku od popiołu". Widać rolnicy są bardziej pomysłowi i dla podniesienia jakości plonów stosują skuteczne metody selekcji. Naukowcy skutecznych metod oddzielania plew od ziarna nie wynaleźli. Biurokraci, za pomocą zliczania punktów – poprzyznawanych arbitralnie przez jakieś gremia czasopismom z nazwy naukowym (nie zawsze zawierającym teksty nauki) – jakości nauki nie podnoszą. Co najwyżej podnoszą dotacje finansowe dla produkcji kolejnych punktowanych tekstów przez coraz bardziej utytułowanych, bo najwyżej punktowanych akademików. Tak to mniej więcej wygląda, więc ilościowo prac mamy wiele, gremiów utytułowanych także, ale plewy od ziarna nie zostają oddzielone. Wynik oczywisty – plony naukowe mamy mało satysfakcjonujące. Widać to w najbardziej popularnym rankingu szanghajskim, bo jakoś świat naukowy oddaje się tu w ręce chińskie. Co roku czeka się na ogłoszenie rankingu uczelni z całego świata, a potem mamy zalew dziennikarskich tekstów objaśniających społeczeństwu, gdzie to się znajdujemy w świecie. My jesteśmy słabi, daleko w rankingach, cieszymy się, kiedy jedna szkoła wyższa znajdzie się w którymś roku w czwartej setce uczelni, a czasem nie ma tam żadnej. W pierwszym tysiącu, jak dobrze pójdzie, to jeszcze kilka polskich uczelni się zmieści. Tak nas punktują Chińczycy, którzy te punkty pracowicie zliczają ze wszystkich uczelni, aby mieć je na oku, i na widok całego świata wystawiają. Chińczycy punktują jednak tylko prace z wybranych czasopism o randze światowej i nie biorą pod uwagę stopni i tytułów, których my mamy moc. Trudno się dziwić, że nasze uczelnie są tak nisko klasyfikowane, bo gdyby to Polacy robili taki ranking, według naszego punktowania, to bylibyśmy w czołówce. Niestety, nasz system oparty jest na filarach tytularnych, a gdzie indziej nawet nie wiedzą, co to takiego habilitacja czy profesura belwederska. Są, według naszych kryteriów, niedouczeni, choć naukę uprawiają i czasem robią to z powodzeniem.

U nas nad reformą systemu tytularnego nawet się już nie dyskutuje. Filary muszą być, choć jak widać poziomu nie trzymają, a raczej trzymają jego obniżanie, bo jak filar jest źle osadzony, to się pogrąża. Niestety, niemal wszyscy w takim systemie zostali uformowani/sformatowani i do końca w takich ramach chcą się mieścić. Stąd mamy reformy, a nie mamy zmian (tych pozytywnych).

Te problemy rzadko stają się przedmiotem publicznej debaty, ale propozycje zmian często są powodem dezaprobaty ciał akademickich. PAN, a także rektorzy (KRASP), wyrazili ostatnio głębokie zaniepokojenie wprowadzonymi przez Ministerstwo Edukacji i Nauki zmianami punktowania czasopism, gdyż mogą one spowodować marginalizację osiągnięć polskich uczonych i obniżyć jakość prowadzonych badań. Zmiany punktowania czasopism nastąpiły bez konsultacji z Komisją Ewaluacji Nauki. Ministerstwo broni swojej decyzji posiadaniem innej perspektywy systemu akademickiego i chęcią ocalenia uczelni zagrożonych utratą posiadanych uprawnień. Nie wchodząc w spór między decydentami akademickimi widać, że metodami biurokratycznymi, za pomocą ręcznego sterowania, można wpływać na ocenę jakości badań, naukowców i uczelni, bez podnoszenia ich rzeczywistego poziomu. Społecznej odpowiedzialności sektora nauki w tych zabiegach nie widać. Do podnoszenia jakości nauki uprawianej w Polsce nie ma woli angażowania polskich naukowców pracujących w dobrych zagranicznych ośrodkach naukowych, mających inne perspektywy prowadzenia i oceniania badań oraz czasopism na poziomie światowym. **GP**

W sklepie „Gazety Polskiej" na Sklep.gazetapolska.pl lub pod numerem telefonu 722 111 655 mogą Państwo zamówić książkę „Plagi akademickie" autora niniejszej rubryki – Józefa Wieczorka.

{ PRZESZŁOŚĆ POWRÓCI IDEĄ }

13 KWIETNIA 1940 ROKU

Tadeusz **Płużański**

Tytułowa data to początek drugiej wielkiej wywózki Polaków na Wschód. Na rozkaz przywódców sowieckiego państwa deportowano około 61 tys. ludzi – przede wszystkim rodziny osób „przesiedlonych" w lutym, w większości kobiety i dzieci. Transporty kierowano tym razem nie na północ, lecz na południe azjatyckiej części ZSRS, do Kazachstanu. Podczas czterech wielkich deportacji, które trwały do czerwca 1941 roku, Sowieci zesłali na nieludzką ziemię łącznie od 1,5 do 2 mln Polaków. Pod tymi suchymi, acz znamiennymi liczbami kryją się tragiczne losy łagierników. Pracowali często po pas w śniegu lub w zatęchłych szybach kopalnianych, w potwornych warunkach sanitarnych, higienicznych i klimatycznych (zimą wielkie mrozy, latem upały z wszechobecnymi meszkami i komarami), bez choćby minimalnych zabezpieczeń i opieki zdrowotnej. Umierali albo tracili zdrowie z wycieńczenia, zimna i głodu. To jedna z największych zbrodni dokonanych na Polakach w latach 1939–1945. Szkoda tylko, że do dziś (w Polsce, a tym bardziej na Zachodzie) niewiele się o tym mówi, w przeciwieństwie do zbrodni „nazistów", czego dowodem są coroczne obchody rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz, którym nadaje się międzynarodowy charakter. 81 lat od tych tragicznych wydarzeń Rosja – prawny i moralny spadkobierca ZSRS – udaje (przy cichej aprobacie możnych tego świata), że tematu nie ma i ani myśli o wypłacie tysiącom represjonowanych należnych im odszkodowań. Czym Polacy „zawinili"? Sowieci uznali, iż wiernie służyli oni rządowi „burżuazyjnej Polski" i zostali przygotowani (przez II Oddział Sztabu Głównego WP) na wypadek konfliktu z ZSRS do działania w charakterze „dywersantów", „szpiegów" i „terrorystów" (dzisiejszy władca Rosji nazywa tak Czeczenów czy Gruzinów). „Grzechem" Polaków była również (jeśli nie przede wszystkim) „aktywna walka z władzą sowiecką w 1920 roku", „wykorzystywanie pracy najemnej", „wrogie wypowiedzi pod adresem ZSRS", „rozprawianie się z prostymi chłopami, którzy rąbali pański las", „przejście na katolicką wiarę". Enkawudziści na każdym kroku powtarzali: „Polski już nigdy nie będzie".

REKLAMA

*Oferta ważna do 28.02.2022 r., ograniczona czasowo i uzależniona od spełnienia określonych warunków.

żabka

16000 zł gwarantowanego przychodu miesięcznie?*

To żabkość na rynku!

tel. 800 207 208 | www.franczyza.zabka.pl

Maciej
Kożuszek
SZEF DZIAŁU ŚWIAT
albicla.com/MaciejKozuszek

OUTSIDER, KTÓRY STAŁ SIĘ SYMBOLEM BRYTYJSKOŚCI

POŻEGNANIE KSIĘCIA FILIPA

Nazwany kiedyś „największym żyjącym Anglikiem", książę Filip obrał nieoczywistą drogę do statusu symbolu. Jego życie i status, który uzyskał, pokazały siłę brytyjskiej kultury i to, że uznawana za symbol skostnienia monarchia ma w sobie więcej siły witalnej, niż wielu sądziło.

Urodził się w Grecji, miał się za Duńczyka, w dzieciństwie i młodości mówił przede wszystkim po francusku. Zanim ożenił się z Elżbietą, był wiernym Greckiego Kościoła Prawosławnego. Dwie ciotki Filipa, zamordowane przez bolszewików, są świętymi męczennicami Rosyjskiego Kościoła Ortodoksyjnego. Jego trzy siostry i dwóch szwagrów nie mogło zostać zaproszonych na uroczystości ślubne w 1947 roku, ponieważ w dosłownym sensie byli wrogami Wielkiej Brytanii, walcząc po stronie Niemiec w II wojnie światowej. Trzeci szwagier, który zginął podczas wojny, był nawet w SS, pracując bezpośrednio dla Himmlera. Choć posiadająca chronicznie krótką pamięć plotkarska prasa chciała zrobić z Meghan Markle największą outsiderkę w historii brytyjskiej rodziny królewskiej, rzucającą wyzwanie

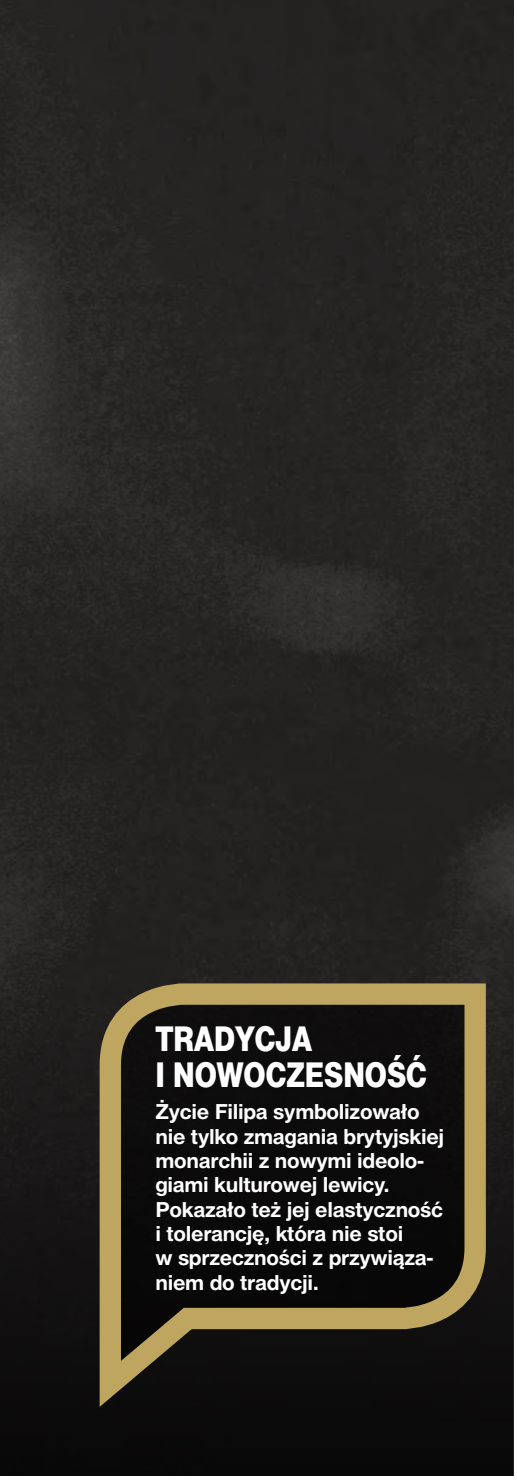

FOT. DANNY LAWSON/PAP

TRADYCJA I NOWOCZESNOŚĆ

Życie Filipa symbolizowało nie tylko zmagania brytyjskiej monarchii z nowymi ideologiami kulturowej lewicy. Pokazało też jej elastyczność i tolerancję, która nie stoi w sprzeczności z przywiązaniem do tradycji.

skostniałym normom białej arystokracji, to przy Filipie mezalians księcia Harry'ego z filmową gwiazdeczką wypada niezwykle mało sensacyjnie.

Syn swojej epoki

Trwające prawie równe stulecie życie Filipa zawierało wszystkie wielkie przełomy, ideologiczne zawieruchy i rewolucje społeczne, które zgotował ludzkości wiek XX. Krótko przed jego narodzinami świat jego należącej do niemieckiej arystokracji rodziny kompletnie legł w gruzach w 1918 roku. Jego dzieciństwo to szereg traum i nagłych zmian: rozpadające się małżeństwo rodziców, brak środków do życia i przerzucanie Filipa z miejsca na miejsce. W pewnym momencie młody książę został wysłany do szkoły z internatem w… nazistowskich Niemczech. Doświadczając coraz większego wpływu nazistów na życie szkoły, Filip zaprezentował ironię, która często potem była jego sposobem na radzenie sobie z najtrudniejszymi doświadczeniami w życiu. Jak stwierdził, nazistowski rzymski salut wydawał mu się niezwykle komiczny, bo przypominał mu gest, który wykonywali chłopcy w jego poprzedniej szkole, zgłaszając potrzebę skorzystania z toalety.

Filip kończył swoją edukację już w Anglii, gdzie w końcu trafił do Royal Naval College. Tam w 1939 roku po raz pierwszy poznał ówczesną księżną Elżbietę, mającą zaledwie 13 lat. Jak pisze jeden z biografów rodziny królewskiej: „Podobno nowa przyjaźń została przypieczętowana za pomocą krakersów imbirowych, lemoniady i partii tenisa". W 1940 roku wstąpił do Królewskiej Marynarki, gdzie służył z wyróżnieniami podczas wojny; w 1942 roku, mając zaledwie 21 lat, został jednym z najmłodszych oficerów mianowanych drugim dowodzącym na pokładzie niszczyciela. W 1947 roku poślubił księżną Elżbietę, która w 1952 roku została brytyjską królową, i do końca życia był stale u jej boku. Jak napisała biograf królewskiej pary Sarah Bradford, Filip i Elżbieta byli jak wiele starych małżeństw. „Jeśli królowa chciała dać Korgim [psom królowej – przyp. red.] herbatkę i ciasteczka, a te biegały po podłodze, robiąc zamieszanie, on krzyczał na nią, a ona nie zwracała na niego uwagi (...). Był jedynym człowiekiem na świecie, który mógł traktować ją jak zwykłą kobietę".

Równy gość

Jak napisał brytyjski dziennikarz Ed West, książę Filip dla całych pokoleń angielskich mężczyzn stał się „legendą", wzorem charakternego „równego gościa", z którym chętnie wychyliliby pintę piwa. „Walczył z wielką odwagą podczas wojny, często był nieuprzejmy wobec cudzoziemców, co oczywiście było bonusem. Lubił jeździć konno, żeglować, strzelać do różnych rzeczy, był pozbawiony sentymentalizmu, a czasem współczucia, niemalże w komicznym stopniu, co dodawało otuchy w czasach, gdy normą stała się emocjonalna ekspiacja".

Książę Filip dla całych pokoleń angielskich mężczyzn stał się „legendą", wzorem charakternego „równego gościa", z którym chętnie wychyliliby pintę piwa.

Legendarny status Filipa zapewniały mu także wpadki i nieostrożne wypowiedzi, po których specom od politycznej poprawności włosy na głowie stawały dęba. Podczas jednego z letnich garden party wyprawionych przez królową, Filip wypalił do kobiety na wózku inwalidzkim: „Przynajmniej Pani może sobie posiedzieć przez tę całą imprezę". W 1986 roku ostrzegał brytyjskich studentów studiujących w Chinach, by nie zostawali zbyt długo, bo mogą „wrócić do domu ze skośnymi oczami". Do innego młodego człowieka, który odbył wędrówkę po Papui Nowej Gwinei, powiedział: „Czyli tobie się udało i nikt cię nie zjadł". Przemawiając dla World Wildlife Fund, jednej z wielu organizacji charytatywnych, w której działalność był mocno zaangażowany, zażartował: „Jeśli to ma cztery nogi i nie jest krzesłem, jeśli to ma dwa skrzydła, lata, ale nie jest samolotem, i jeśli pływa, ale nie jest łodzią podwodną, Kantończyk to zje". Cóż, biorąc pod uwagę opowieści o Chińczyku z Wuhan, który rzekomo miał nieopatrznie zjeść nietoperza z koronawirusem, książę Filip nie był być może mistrzem taktu, lecz w sumie nie był też daleki od prawdy.

Życie Filipa symbolizowało nie tylko zmagania brytyjskiej monarchii z nowymi ideologiami kulturowej lewicy. Pokazało też jej elastyczność i tolerancję, która nie stoi w sprzeczności z przywiązaniem do tradycji. **GP**

JADĄ CZOŁGI NA ZACHÓD

PUTIN STRASZY WOJNĄ Z UKRAINĄ

Tak mocno wojną nie pachniało na pograniczu ukraińsko-rosyjskim od 2015 roku. Jednak im bardziej demonstracyjnie Moskwa przerzuca swe siły na zachód, tym bardziej można być przekonanym, że nie o wojnę Kremlowi chodzi, lecz o uzyskanie pewnych politycznych celów za pomocą groźby takiej wojny.

ZASTRASZENIE

Skala obecnych ruchów rosyjskich wojsk i towarzysząca im informacyjna kampania z udziałem szefa MSZ, rzecznika Kremla i prokremlowskich mediów wskazuje, że chodzi tylko o osiągnięcie celów politycznych za pomocą wojennych gróźb.

FOT. DONAT SOROKIN / TASS / FORUM

Antoni **Rybczyński**

Z im większym zadęciem dochodzą do nas wieści o kolejnych transportach koleją czołgów gdzieś z Uralu i o wypełnionych wojskiem polowych obozach będących wdzięcznym obiektem dla robiących zdjęcia satelitów amerykańskich, z tym większą pewnością możemy przyjąć, że wojny na Wschodzie nie będzie. Wojny w sensie otwartego militarnego zderzenia Rosji z Ukrainą i stojącymi za nią niektórymi państwami Zachodu (na pewno nie chodzi o Niemcy). Możliwa jest lokalna eskalacja wywołana rosyjską prowokacją, choćby w Donbasie, by mieć pretekst dla wprowadzenia „sił pokojowych" z Rosji do regionu – ale to maksimum tego, co Putin może chcieć uczynić militarnie. Nie po to śle czołgi na zachód, by wjechały na ulice Kijowa. Cała ta demonstracja siły służy politycznym celom. Po pierwsze, to ciąg dalszy testowania administracji Bidena. Kreml wciąż nie wie, czy są tam twardziele, czy może jednak jest jak za czasów Obamy. Po drugie, chodzi o skłonienie Berlina i Paryża, drogą straszenia wojną, do wywarcia presji na Kijów, by zaczął ustępować w kwestii Donbasu. Po trzecie, chodzi o sam Kijów, a konkretnie Wołodymyra Zełenskiego. Nie spełnia nadziei Moskwy, a ostatnio usztywnił stanowisko w sprawie Donbasu i uderzył w prorosyjski obóz polityczny (z Wiktorem Medwedczukiem na czele), więc Kreml może próbować go „zdyscyplinować". Mówiąc krótko, obecne prężenie muskułów przez Rosję to nic innego jak przejaw jej słabości i fiaska formatu normandzkiego: mijają lata, a przyjaciele Kremla w Berlinie i Paryżu nie są w stanie zmusić Ukraińców do ustępstw wobec Rosji. Putin chce zmienić stan gry. Tyle że to samo chce zrobić Zełenski – stawiając na USA i ich sojuszników z Polską na czele. Efekt? Obecne napięcie wojenne.

Prężenie muskułów

Zmianę polityki Moskwy w Donbasie widać było już w lutym bieżącego roku. Zaczęło przybywać incydentów zbrojnych, ofiar wśród Ukraińców, w marcu już nikt nie miał wątpliwości, że rozejm z lata ubiegłego roku już nie obowiązuje. Od lipca 2020 roku zginęło blisko 50 ukraińskich wojskowych, rannych zostało ponad 300. Pod koniec marca Kijów podniósł alarm, że Rosja gotuje się do szeroko zakrojonych prowokacji. Do połowy kwietnia Moskwa skoncentrowała w obwodach graniczących z Ukrainą, jak też w okupowanej części Donbasu, około 50 BTG (jedna batalionowa grupa taktyczna liczy około 800 żołnierzy), czyli około 40 tys. wojskowych. Rosjanie koncentrują oddziały przy granicy z Ukrainą, ale też zwiększają swój potencjał militarny na okupowanym Krymie oraz gotują się do ewentualnego szybkiego wysłania wojsk mających wesprzeć tzw. milicje ludowe tzw. republik ludowych z Doniecku i Ługańsku. Południowy Okręg Wojskowy ma ponad 50 pozostających w stałej gotowości bojowej batalionowych grup taktycznych (BTG), 50 taktycznych eskadr sił powietrznych i około 50 okrętów wojennych w ramach Floty Czarnomorskiej i Flotylli Kaspijskiej, ciężką artylerię zdolną do ostrzału pociskami z głowicami atomowymi, pociski balistyczne i manewrujące. Obecnie siły te w dużej mierze są rozmieszczane w pobliżu granic Ukrainy. 22. Korpus na stałe stacjonuje na Krymie. Głównymi elementami ofensywnymi tegoż korpusu są 126. Brygada uzbrojona w nowoczesne czołgi T-72B3 oraz 127. Brygada (specnazu). Na Krym przerzucono też pododdziały 7. Górskiej Dywizji Wojsk Powietrzno-Desantowych. 25 marca Szojgu ogłosił, że oddział spadochroniarzy bazujący w ramach 56. Brygady Powietrzno-Szturmowej w Pskowie także zostanie przerzucony do krymskiego portu Teodozja.

Od czasu wojny 2014/2015 milicje separatystów prorosyjskich w Donbasie zostały przekształcone w regularne oddziały zbrojne: 1. Korpus w „Donieckiej Republice Ludowej" i 2. Korpus w „Ługańskiej Republice Ludowej". Oba te korpusy znajdują się pod operacyjnym dowództwem rosyjskiej 8. Armii w Południowym Okręgu Wojskowym, ze sztabem w Nowoczerkasku. W tej chwili siły „republik ludowych" to ponad 30 tys. ludzi, setki czołgów, artylerii i wyrzutni rakietowych. Głównym bojowym komponentem 8. Armii jest

150. Dywizja Zmotoryzowana, odtworzona w 2016 roku i rozmieszczona w garnizonach po rosyjskiej stronie granicy ze wschodnią Ukrainą. Tak naprawdę jednostka ta ma rozmiar podwójnej dywizji zmechanizowanej z sześcioma pułkami, sześcioma dodatkowymi wydzielonymi batalionami, setkami czołgów i ponad 10 tys. żołnierzy. To właśnie 150. Dywizja jest głównym operacyjnym zapleczem korpusów „republik ludowych".

Z Centralnego Okręgu Wojskowego dodatkowe oddziały zjeżdżają do obwodów woroneskiego i biełgorodzkiego, graniczących z Ukrainą na północ od Donbasu. W stan maksymalnej gotowości bojowej postawiono nawet Rakietowe Wojska Strategicznego Przeznaczenia, czyli siły nuklearne – wyprowadzając międzykontynentalne pociski balistyczne (ICBM) na pozycje ogniowe. 21 marca pojawiła się informacja, że trzy duże okręty desantowe, zbudowane za czasów zimnej wojny w Polsce, wchodzące dziś w skład Floty Bałtyckiej „Mińsk", „Koroliew" i „Kaliningrad", wyprawiono na Morze Czarne, niewykluczone, że z piechotą morską i czołgami pod pokładem. 8 kwietnia ogłoszono też transfer z bazy w Machaczkale na Morze Czarne dziesięciu szybkich jednostek artyleryjskich i desantowych Flotylli Kaspijskiej. W tym miejscu należy wspomnieć, że jest wodne połączenie Morza Kaspijskiego z Morzem Czarnym, poprzez Wołgę, kanał Wołga-Don, Don, Morze Azowskie. W sumie więc za czas jakiś Rosjanie będą mieli na Morzu Czarnym około 30 okrętów gotowych do użycia w wielkiej operacji desantowej, choćby desantu gdzieś między Mikołajowem a Odessą.

Pokazucha Putina?

Im głośniej o kolejnych ruchach rosyjskich jednostek, tym bardziej można być pewnym, że wojny nie będzie. Jeśli Rosja chce siłą coś uzyskać, robi to podstępnie, z zaskoczenia. Skala obecnych ruchów wojsk i towarzysząca im informacyjna kampania z udziałem szefa MSZ, rzecznika Kremla i głównych prokremlowskich mediów wskazuje, że chodzi tylko o zastraszenie, o osiągnięcie celów politycznych za pomocą wojennych gróźb. Kijów dąży do zmiany dotychczasowego formatu rozmów pokojowych. W tym celu Ukraina od kilku miesięcy wyraża nadzieję na większe zaangażowanie Zachodu w proces negocjacyjny oraz bezpośredni udział w nim Stanów Zjednoczonych. Rosja chce temu zapobiec – stąd też obecna eskalacja działań. I może nawet dopuścić się prowokacji. 1 kwietnia minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow oświadczył, że odpowiedzialność za zaostrzenie sytuacji na wschodzie Ukrainy ponosi Kijów, i zarzucił prezydentowi Zełenskiemu dążenie do poprawy swoich wyników w sondażach. Moskwa twierdzi, że to Ukraina zwiększa siły na linii frontu i zamierza zaatakować, by odbić Donbas. Rosjanie mogą sprowokować na przykład jakieś cywilne ofiary w Donbasie, żeby mieć pretekst do wprowadzenia „sił pokojowych" – to by zmieniało sytuację i wzmacniało pozycję Moskwy w rokowaniach dotyczących zakończenia kryzysu.

Rosyjska agresja to byłby krzyżyk postawiony na wszelkiej współpracy z Zachodem.

Jeśli jednak Rosjanie faktycznie zamierzają uderzyć z całą siłą na Ukrainę – a to by świadczyło o zupełnej utracie kontaktu z rzeczywistością Putina – to nie zrobią tego wcześniej niż w maju. Powód jest ten sam, co od stuleci na stepach rozciągających się między Dnieprem a Donem: trwające właśnie wiosenne roztopy. Rosja będzie w pełni gotowa do uderzenia na początku maja. Czy zaatakuje? To już inna kwestia. Obecna demonstracyjna koncentracja sił ma służyć wywarciu presji na Kijów i Zachód. Jeśli to nic nie da, może dojść do użycia siły. Aczkolwiek trudno sobie wyobrazić wojnę na pełną skalę z Ukrainą. Nie, nie dlatego że Rosja obawia się ostrej militarnej reakcji Zachodu, co by groziło wybuchem wojny z NATO. Także nie z tego powodu, że Moskwa boi się ciężkich strat czy wręcz porażki w zderzeniu z armią ukraińską (nieporównanie silniejszą niż w 2014 roku, ale wciąż słabą wobec rosyjskiej). Chodzi raczej o to, co rosyjskie wojska miałyby robić na Ukrainie. Okupacja? Nawet wielka rosyjska armia nie ma zasobów, by coś takiego zrealizować. Pomijając już fakt, że taka agresja to byłby krzyżyk postawiony na wszelkiej współpracy z Zachodem. Nawet Berlin w takich okolicznościach musiałby porzucić na przykład Nord Stream 2, zaś Paryż wycofać się ze wstydem z idei budowy nowej architektury bezpieczeństwa w Europie wspólnie z Moskwą. **GP**

OGŁOSZENIE REDAKCYJNE

Pomoc dla Domu Chleba

Redakcja „Gazety Polskiej" wraz z zakonem oo. barnabitów zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli z prośbą **o wsparcie działalności Domu Chleba, funkcjonującego w parafii rzymskokatolickiej oo. Barnabitów pw. św. Antoniego Marii Zaccarii przy ul. Sobieskiego 15, który niesie pomoc osobom ubogim i bezdomnym.**

Wiemy, że jesteś dobry i hojny, dla nas i naszych podopiecznych każda złotówka jest bezcenna, dzięki Twojej ofierze kolejny głodny się nasyci.

Wpłat można dokonywać na konto: 78 1240 6175 1111 0000 4579 7336
DOM CHLEBA PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA
PW. ŚW. ANTONIEGO M. ZACCARII.
Więcej informacji pod adresem:
www.parafiabarnabici.pl

ROSJA **na wesoło**

Wiadomości z kraju wiecznej szczęśliwości, czyli cotygodniowy przegląd ciekawostek z Federacji Rosyjskiej. Od Kaliningradu pod chińską granicę. Od Moskwy do wiosek na Przywołżu.

Feliks **Kazański**

Rosja: Horror from real Mordor

Kwestia czasu Połączenia lotnicze w Rosji trzeba będzie zastąpić kolejowymi? Taki może być skutek ograniczenia dostępu do nowoczesnych technologii przewidzianego przez nowe sankcje USA. „To wielki problem, ale da się go rozwiązać: pojeździmy pociągami, a za dwa–trzy lata będziemy latać swoimi samolotami" – uspokaja Jurij Sytnik, członek prezydenckiej komisji ds. rozwoju lotnictwa. Jasne. A jak popsują się pociągi, to można przesiąść się na furmanki.

Wizyta na szczycie Przywrócony na łono matuszki-Rosji Krym aktywnie nawiązuje kontakty międzynarodowe. Jak poinformowało tamtejsze Ministerstwo Kurortów i Turystyki, w marcu półwysep odwiedziła delegacja chińskich kół biznesowych. Co ciekawe, o wizycie tej nic nie wiedziano w Pekinie, ale w sumie to nic dziwnego, bo jak się w końcu okazało, goście byli chińskimi handlarzami pracującymi na rynkach hurtowych w Moskwie.

Śmiertelny koronawirus 8,5 roku spędzi w kolonii karnej 65-letni mieszkaniec Uljanowska za to, że przejął się zagrożeniem koronawirusem. Zaniepokoił się on bowiem stanem zdrowia gościa, który u niego nocował po wspólnej imprezie. W nocy nietrzeźwy, ale czujny gospodarz zauważył, że gość dostał krwotoku z nosa, i uznał to za objaw COVID-19. Aby więc wyeliminować zagrożenie epidemiczne, wyrzucił kumpla przez okno. Z czwartego piętra. Media nie podały, czy wyrzucony miał Covida czy nie, ale jednoznacznie można zaliczyć go do ofiar tej niebezpiecznej i podstępnej choroby.

Byle liczba się zgadzała Do przykrej pomyłki doszło w gmachu sądu w Krasnojarsku: na rozprawie postanowiono wypuścić na wolność obywatela Mołotkowa, ale kiedy konwojenci poprosili go do wyjścia, odezwał się siedzący z nim obywatel Biełaszow. Konwojenci uwierzyli mu na słowo i jako Mołotkowa zwolnili z aresztu. Można być pewnym, że dopóki trwały poszukiwania, całe miasto było w strachu. Bo skoro wypuszcza się na wolność pierwszego z brzegu, to i złapać można kogo popadnie.

ZAKĄSKA NIE POSZŁA

Trzech mieszkańców Petersburga usmażyło sobie jajecznicę na środku przeciwko karaluchom. Jeden z eksperymentatorów kulinarnych zmarł, dwóch trafiło na reanimację. Jajeczka były nieświeże?

Odblaskowa krowa Po szosach w Tuwie będą od teraz wałęsać się świecące się krowy i konie. Drogówka przystąpiła tam do akcji znakowania odblaskową farbą zwierząt hodowlanych, aby zapobiec wypadkom z ich udziałem. Podobno kolejnym etapem ma być pomalowanie odblaskową farbą pasterzy, którzy jeszcze częściej niż ich krowy i konie szwendają się o różnych porach dnia i nocy po szosach. Albo po prostu sobie na nich leżą. **GP**

FOT. WITWICKI A/GAZETA POLSKA

Przystojniak

68-letniego Władimira Putina uznano za najbardziej atrakcyjnego mężczyznę w Rosji. Świadczą o tym wyniki sondażu, który wśród 1000 kobiet i mężczyzn przeprowadzili analitycy serwisu SuperJob. To naprawdę intrygujące, ponieważ pytanie ponoć wcale nie brzmiało: „Kto jest najprzystojniejszym facetem w Rosji i dlaczego Putin?". Nieodgadniony kraj, nieodgadnieni ludzie...

Czytajcie więcej na **www.facebook.com/RosjaHFRM**

FAŁSZYWA SZCZEROŚĆ HUNTERA BIDENA

Maciej **Kożuszek**
albicla/MaciejKozuszek

OPOWIEŚĆ, KTÓRA MA ZAPAŚĆ W PAMIĘĆ

Na amerykański rynek trafiły wspomnienia Huntera Bidena „Beautiful Things", w których opowiada historię rodzinnych dramatów i ciężkiej walki z nałogiem. Ale ta „szczerość do bólu" kończy się, gdy chodzi o sprawy, które politycznie mogą uderzać w jego ojca.

Szedłem, stawiając kroki ponad ludźmi skulonymi na cienkich kartonach. Gdzieś poza nimi zauważyłem przechylony, nieoświetlony namiot. Było zupełnie ciemno. Wszystko co zobaczyłem to pistolet wymierzony w moją twarz" – tak Hunter Biden opisuje w swoim pamiętniku jeden z najtrudniejszych momentów swojego życia, gdy uzależnienie od cracku sprawiło, że szukając następnej działki, znalazł się w obozowisku bezdomnych w Los Angeles. Pamiętnik zawiera też szczegóły dotyczące śmierci brata Bidena, Beau, romansu z wdową po nim, załamaniu i interwencjach troskliwego ojca, który na różnych etapach życia próbował pomóc zagubionemu synowi. Choć bez wątpienia to prawdziwa historia realnego cierpienia, wobec którego trudno przejść bez empatii, to jednocześnie nie sposób zauważyć, że w odniesieniu do pewnych tematów ton opowieści ulega zmianie. Nawet recenzent „New York Times" zauważa, że gdy w książce pojawia się temat zasiadania Huntera w zarządzie ukraińskiej Burisma Holding, opowieść zmienia się w „referat niezbyt chętnego ucznia".

Laptop z piekła rodem

Konfesyjny ton wspomnień Huntera Bidena i otoczka zdradzania wszystkich, nawet najbardziej wstydliwych sekretów tak naprawdę mogą być sprytnym narzędziem, służącym do przestawienia narracyjnej wajchy. Jakkolwiek dziwnie to brzmi, opowieści o uzależnieniu, życiowym upadku i konfliktach z prawem wokół nałogu to w tej chwili najkorzystniejsza historia, jaką mogą zajmować się media z punktu widzenia rodziny Bidenów. Co innego powiedzieć, że syn jednego z najpotężniejszych polityków w USA może upaść dokładnie tak jak każdy inny człowiek i z waszyngtońskich salonów trafić w najciemniejsze zakamarki narkomańskiej egzystencji, dzielonej z przestępcami i bezdomnymi. Ale historia będzie brzmiała zupełnie inaczej, jeśli powiemy, że ten sam człowiek robił wielomiliardowe interesy, często z wrogami czy rywalami USA, w cieniu ogromnych politycznych wpływów swojego ojca, korzystając z jego nazwiska i koneksji. Zresztą, sam Hunter nie ukrywa zbytnio, że o taką narracyjną zmianę właśnie chodzi. Pytany w wywiadzie dla CBS

NIETYKALNY
Pomimo że Hunter co chwila popadał w konflikt z prawem i miał bliższe spotkania z policją, raz po raz udawało mu się unikać konsekwencji.

Konfesyjny ton wspomnień Huntera Bidena i otoczka zdradzania wszystkich wstydliwych sekretów mogą być sprytnym narzędziem, służącym do przestawienia narracyjnej medialnej wajchy.

FOT. WIKIPEDIA

This Morning, czy słynny laptop należy do niego, syn obecnego prezydenta odpowiada: „Nie potrzebujecie laptopa, macie książkę, (...) wszystko jest w książce".

Jednocześnie, jak twierdzą pierwsi recenzenci książki Huntera, w sprawie laptopa zawiera ona niezwykle mało szczegółów. W udzielonych ostatnio wywiadach Hunter na pytania o laptopa odpowiadał jak ktoś, kto jest w pełni świadomy prawnych konsekwencji, które może oznaczać ta czy inna odpowiedź. „Mówiąc zupełnie poważnie, nie wiem [czy laptop należał do niego czy nie – przyp. red]". Gdy dziennikarz zadał pytanie ponownie: „Czyli mógł to być twój laptop?", Hunter odpowiedział: „Oczywiście, na pewno. Mógł gdzieś być laptop, który został mi ukradziony. Mogło być tak, że zostałem zhakowany. Mogło być tak, że to był rosyjski wywiad. Mogło być tak, że został mi ukradziony". Zastanawiające jest to, że większość mainstreamowych mediów uznaje wciąż, że wszystkie te hipotezy są równie prawdopodobne, mimo że Hunter nie dostarczył nawet najdrobniejszego dowodu wskazującego na kradzież, atak hakerski czy rosyjską dezinformację. Nie zaprzeczył żadnej informacji znalezionej w laptopie. Pomimo tak słabego alibi do niezajmowania się tą sprawą, większość amerykańskich mediów ciągle skrzętnie z tego korzysta. Na stronie liberalnej stacji radiowej NPR, w recenzji książki Huntera, pojawiło się nawet zdanie, że twierdzenie, iż laptop należał do Bidena, zostało „zdyskredytowane przez wywiad USA i niezależne śledztwa organizacji dziennikarskich". Byłaby to bezprecedensowa sytuacja, w której media „zdyskredytowały" historię, której nie zaprzeczył nawet sam zainteresowany. Jednak po wywiadzie Huntera dla CBS, NPR musiało zmienić treść swojego artykułu, stwierdzając, że pracownicy służb i wywiadu USA nigdy nie stwierdzili, że laptop nie należał do syna prezydenta. Podczas kampanii prezydenckiej szef redakcji NPR pytany, dlaczego stacja nie zajmuje się sprawą Huntera, odpowiedział: „Nie marnujemy czasu na historie, które nie są tak naprawdę historiami".

Skandale obyczajowe i bezpieczeństwo narodowe

Media broniące Huntera zwykle zwracają uwagę na rolę, jaką w przekazaniu materiałów z laptopa dziennikarzom „New York Post" odegrali bliscy współpracownicy Donalda Trumpa, Rudy Giuliani i Steve Bannon. Przy czym chodzi bardziej o ich medialny wizerunek, który, szczególnie w wypadku Giulianiego, ucierpiał mocno podczas powyborczej kampanii w sprawie „ukradzionych wyborów". Jednocześnie nie ma najmniejszych dowodów, że jakiekolwiek z opublikowanych materiałów zostały sfabrykowane lub zmanipulowane. Wiarygodność laptopa potwierdziła ostatnio brytyjska gazeta „Daily Mail", która zatrudniła ekspertów śledczych z wieloletnim doświadczeniem m.in. w FBI. Ci stwierdzili w swoim raporcie, że dane „wyglądają na autentyczne" i nie noszą śladów ingerencji. Nie jest to pewnie ostateczny dowód, ale w szerszym kontekście, w którym sam Hunter jest w stanie zaoferować tylko kilka „być może", powinien być wzięty pod uwagę.

Nowa linia obrony przyjęta przez media mówi o tym, że dziennikarze „Daily Mail" i wszyscy zainteresowani laptopem Huntera szukają taniej sensacji i obyczajowego skandalu. Tego rzeczywiście nie brakuje. Można się zgodzić, że informacje o krociach wydawanych przez Huntera na prostytutki, zdjęcia pokazujące fatalny stan jego uzębienia czy szczegóły dotyczące trudnej relacji pomiędzy ojcem a synem niewiele wnoszą z punktu widzenia kogoś zainteresowanego polityką. Jednocześnie w tym zalewie są informacje, których nie można zlekceważyć. Na przykład taka, że w 2018 roku (gdy Joe Biden nie był już wiceprezydentem), podczas jednego ze swoich epizodów pełnego narkotyków i prostytutek, Hunter był chroniony przez agenta Secret Service. Wątpliwości może budzić też fakt, że pomimo iż Hunter co chwila popadał w konflikt z prawem i miał bliższe spotkania z policją, raz po raz udawało mu się unikać konsekwencji. Nie mówiąc już o dowodach na to, że Joe Biden mógł być zaangażowany w kontakty Huntera z Burismą.

Jest oczywiście w tej historii wymiar ludzki, w której Joe Biden daje się poznać jako troskliwy ojciec, który nie rezygnuje z miłości do swojego syna, stara się mu pomóc, pomimo że dla tak poważnego polityka skandale w rodzinie są potężnym obciążeniem. Jednocześnie fakt, że Hunter w 2018 i 2019 roku znalazł się na dnie, nie powinien sprawiać, że zapomnimy, iż na przykład w roku 2013 był na pokładzie Air Force Two razem ze swoim ojcem, zawierając lukratywne biznesowe umowy z Chińczykami, gdy Biden senior prowadził rozmowy z Pekinem. **GP**

Wieści z UE

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej

Tomasz **Mysłek**

Europa w skrócie

Zielona transformacja w energetyce jest szkodliwa Niemiecki Trybunał Obrachunkowy opublikował krytyczny raport o „zielonej" energetyce. Ocenił, że trwające od dekady odchodzenie od elektrowni atomowych i węglowych na rzecz tzw. odnawialnych źródeł energii jest mocno szkodliwe. Na wskutek tego nie ma już bowiem bezpieczeństwa dostaw prądu. Na przykład w Bawarii zimą zabrakło prądu z elektrowni słonecznych i wiatrowych – zależnych od pogody. Dostawy energii uratowano tam jedynie dzięki jej importowi z elektrowni węglowych w Czechach. Trybunał stwierdził, że „zielona transformacja" niesie też ze sobą zbyt duże koszty – mają one wynieść w Niemczech około 520 mld euro (!) i mają być sfinansowane z pieniędzy odbiorców prądu. Cena prądu jest tam już o 43 proc. wyższa od średniej w UE, co ma fatalny wpływ na gospodarkę, zwłaszcza na kondycję małych i średnich firm.

Eurosocjalizm po hiszpańsku Z raportu hiszpańskiego ZUS wynika, że władze Hiszpanii wydały w 2020 roku rekordowe kwoty na płace pracowników sfery budżetowej, renty i emerytury – łącznie prawie 295 mld euro. To ponad 26 proc. hiszpańskiego PKB (!). Z szacunków rządu wynika, że w ub. roku rekordowe były też wydatki na osoby nieaktywne zawodowo – bezrobotnych i objętych pomocą w ramach tzw. pracy tymczasowej. Koszty poniesione z tego tytułu przez podatników wyniosły odpowiednio 20,4 mld euro i 16 mld euro – o ponad 20 proc. więcej niż w roku 2019. Jednocześnie PKB Hiszpanii zmniejszył się w ub. roku o ponad 11 proc. Katastrofa finansów i gospodarki jest więc coraz bliższa.

W Niemczech bez dokumentów, ale z zasiłkami Krajowy sąd Dolnej Saksonii orzekł, że grupa Cyganów z Kosowa i Albanii, nielegalnie przybyłych do Niemiec i nieposiadających żadnych dokumentów, które mogłyby poświadczyć ich tożsamość, ma jednak otrzymywać wyższe „świadczenia socjalne" (bo świadczenia podstawowe otrzymuje ona już od roku 2016, gdy wjechała na terytorium RFN). Na mocy tego wyroku i azylowego prawa powiat Hildesheim musi im (i podobnym wnioskodawcom) zapewnić wyższe świadczenia, a także dostęp do medycznych ubezpieczeń i świadczeń.

Ogromne koszty francuskiego lockdownu Ministerstwo gospodarki Francji szacuje, że ponowny lockdown, który ogłosił rząd, będzie kosztować francuską gospodarkę około 11 mld euro miesięcznie (!), w tym 4 mld kosztów związanych z nowymi obostrzeniami. Na tę ogromną kwotę składają się m.in. wydatki na tzw. fundusz solidarności i koszty postojowego dla milionów pracowników firm. Od początku kwietnia na przykład ponownie zamknięto około 150 tys. sklepów.

CZESKIE OTWARCIE
Rząd Czech zniósł trwający od października stan wyjątkowy i zakaz podróżowania między powiatami, zezwolił też na otwarcie części usług i sklepów odzieżowych, targowisk z żywnością i przedszkoli.

Restrykcje w Italii do końca kwietnia We Włoszech do końca kwietnia ma obowiązywać: zakaz podróżowania po kraju „bez ważnego powodu", zakaz obsługi przy stolikach w barach i restauracjach, zakaz działalności kin, teatrów, siłowni, klubów fitness i basenów. W związku z tym w dniach 6–8 kwietnia trwały liczne protesty pracowników gastronomii i handlu, domagających się odmrożenia ich branż. Rząd wprowadził obowiązek szczepień dla wszystkich pracowników służby zdrowia i aptek. **GP**

FOT. PIXABAY

Cyberataki w Portugalii

Lizboński dziennik „Publico" podał, że Chiny i Rosja są głównymi sprawcami nienotowanej wcześniej, dużej liczby cyberataków na informatyczną infrastrukturę państwowych urzędów kraju. Ataki te „służą paraliżowaniu pracy instytucji państwowych" i wykradaniu poufnych informacji – także z ośrodków naukowych.

Ryszard
Czarnecki

LIST DO PANA W.

Szanowny Panie,

przeczytałem, jak Pan w emocjach – ale za godziwą wierszówkę (ja piszę w „GP", „GPC" czy „Nowym Państwie" po prostu pro publico bono) – uznał, że tworzenie nowego sojuszu politycznego w Europie przez Polaków, Węgrów i Włochów jest… zdradą Ukrainy. Próbą uzasadnienia owej tezy jest to, że Orbán i Salvini mają być prorosyjscy.

Cóż, proponuję nie histeryzować, tylko spokojnie spojrzeć na fakty. A fakty są takie, że gdy wicepremier Matteo Salvini był w rządzie Republiki Włoskiej, to Italia ani razu nie zagłosowała na posiedzeniu Rady Europejskiej za zniesieniem sankcji wobec Rosji, ich zawieszeniem lub ograniczeniem. Co więcej: Rzym głosował w tym czasie za sankcjami. Mówię o politycznej praktyce i faktach. Oczywiście koszulka z podobizną Putina to głupawy happening, ale kładąc go na szali politycznej wagi, to dużo ciężej waży od tego t-shirtu kilkanaście lat kolaboracji z Rosją przy Nord Stream 1 i Nord Stream 2 rządzących Niemcami partii CDU, CSU i SPD. I jakoś Pan o tym nie wspomina. Czyżby dlatego, że pracuje Pan w medium, które funkcjonuje w Polsce, ale za niemieckie pieniądze? Czy to jest powód Pańskiego milczenia?

Proszę się nie martwić: w tej ciszy nad Wisłą w związku ze współpracą ręka w rękę Niemiec i Rosji nie jest Pan sam. Politycy PO i PSL też nabrali wody w usta. Atakują PiS, a przecież to ich partie są w tej samej międzynarodówce chadeckiej – Europejskiej Partii Ludowej – co CDU i CSU. To przecież ich przyjaciel, z tej samej europejskiej rodziny politycznej EPL, były kanclerz Austrii Wolfgang Schüssel, jest w… radzie nadzorczej firmy budującej Nord Stream! PO/PSL widzą źdźbło koszulki Salviniego i sojuszu z włoską Ligą (który zresztą jeszcze nie powstał) w oku PiS, a nie widzą we własnym belki, ba, wielkiej beli porozumienia Moskwy i Berlina ponad głowami Polski, ale także krajów bałtyckich i skandynawskich. Toż to Tatry albo nawet Pik Komunizma w tadżyckim Pamirze…

Tak samo lewica w Polce stała się ni z tego, ni z owego bardzo antyrosyjska i zarzuca rządzącemu PiS-owi przesuwanie kraju na… Wschód. Ta sama lewica nagle dostała amnezji i już nie pamięta, że jedna z jej politycznych ikon, kanclerz Republiki Federalnej Gerhard Schröder, jest również w radzie nadzorczej Nord Streamu, a więc przedsięwzięcia przez niektórych porównywanego do Paktu Ribbentrop-Mołotow czy Rapallo lub Locarno.

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

> *W praktyce okazuje się, że przeciętnego Kowalskiego i Nowaka nie obchodzą kwestie rasowe, za to obchodzą one rasistów i antyrasistów.*

Przy okazji, Panie W., przywołuje Pan postać ministra spraw zagranicznych z czasów rządów PO-PSL – Radka Sikorskiego. Słusznie. Do dziś pamiętam, jak zaprosił szefa MSZ Rosji Siergieja Ławrowa na doroczne spotkanie ambasadorów RP – to zdarzyło się pierwszy (i póki co ostatni) raz w historii...

Tak to już z Wami jest. Krótka pamięć. Amnezja. Zapominacie, gdy dyktuje to polityczna potrzeba. Panie W.! Zaprawdę powiadam Panu: europejska PPR, czyli Partia Przyjaciół Rosji, jest zupełnie gdzie indziej, niż Pan to pisze… **GP**

ZDRAJCY NA USŁUGACH KREMLA

Konrad **Wysocki**
albicla.com/KonradWysocki

AFERA SZPIEGOWSKA Z UDZIAŁEM ROSJI

Wydarzenia związane ze zdemaskowaniem oficera włoskiej armii, który przekazywał Rosji tajne dane na temat bezpieczeństwa państwowego i działań NATO, należy traktować jako ostrzeżenie, że agentura Kremla wie znacznie więcej o planach Sojuszu, niż mogłoby się wydawać. Wrażliwe dane mogą przyczynić się do uderzenia wyprzedzającego lub uzyskania strategicznej przewagi w czasie konfliktu zbrojnego.

Wiadomość o zatrzymaniu na gorącym uczynku 55-letniego Waltera Biota, kapitana włoskiej marynarki wojennej (Marina Militare), przekazującego tajne dokumenty rosyjskiemu agentowi, zbulwersowała opinię publiczną. Wojskowy został aresztowany 30 marca, jednak na celowniku włoskich służb znajdował się od kilku miesięcy. Sprawa nabrała przyspieszenia, gdy 25 marca kamery zainstalowane w jego biurze w siedzibie Sztabu Generalnego nagrały moment, w którym Biot sfotografował smartfonem blisko 200 dokumentów. Dziewięć z nich zakwalifikowano jako „ściśle tajne", zaś blisko 50 – jako „tajemnice NATO". Zdobyte dane wojskowy zapisał na karcie pamięci. Włożył ją do pudełka po lekarstwach, które 30 marca przekazał rosyjskiemu agentowi. Za swoją „misję" otrzymał wcześniej 5 tys. euro. Włoski sąd ocenił działalność oficera jako skrajnie niebezpieczną. Przez ostatnie miesiące Biot co najmniej trzy razy przekazał rosyjskim służbom poufne dane – m.in. w zakresie sprzętu włoskiej armii oraz planów ćwiczeń NATO. Zgodził się też, że za mniejsze kwoty będzie udostępniał informacje o niższym ciężarze gatunkowym.

AGENTURA NIE PRÓŻNUJE

W raportach bezpieczeństwa większości krajów NATO wskazuje się na działalność szpiegowską Rosji jako główne zagrożenie.

FOT. METZEL MIKHAIL/TASS/FORUM

Konsekwencje skandalu

Władze Włoch zareagowały natychmiast i wydaliły z krajów dwóch rosyjskich dyplomatów – pracowników biura attaché wojskowego w Rzymie, specjalizujących się w lotnictwie i marynarce wojennej. Zaprotestowały również u rosyjskiego ambasadora, domagając się wyjaśnień. Dziennikarze przypominają, że Włochy nie widziały takiej afery szpiegowskiej od ponad trzech dekad, kiedy to w 1989 roku włoski kontrwywiad zdemaskował agentów sowieckiego KGB. Media zwracają uwagę również na fakt, że rosyjskie służby zwerbowały oficera z ponad 30-letnim doświadczeniem w armii. Walter Biot pracował ostatnio w departamencie ministerstwa obrony, zajmującym się opracowaniem polityki bezpieczeństwa narodowego i zarządzaniem częścią relacji sojuszniczych. Potwierdza to, że miał dostęp do tajnych dokumentów związanych z NATO.

Kolejna odsłona

Wejście Rosji w posiadanie tajnych danych na temat planowania obronnego, manewrów czy uzbrojenia to skrajnie niebezpieczna sytuacja dla NATO. Tym bardziej że ostatnie wydarzenia we Włoszech wpisują się w zakrojoną na szeroką skalę operację rosyjskiego wywiadu, nastawioną na ciągłe pozyskiwanie wrażliwych informacji. Latem ubiegłego roku w stanie Virginia aresztowano byłego żołnierza amerykańskich służb specjalnych Petera Debbinsa, który przez wiele lat przekazywał Rosji informacje na temat US Army oraz ułatwiał werbunek kolejnych agentów.

W grudniu ubiegłego roku agentów Kremla zdemaskowały służby w Niderlandach. Zajmowali się oni zdobywaniem informacji na temat nanotechnologii. Inwigilowali również branżę naukową. Obaj zdemaskowani byli pracownikami rosyjskiej placówki dyplomatycznej w Hadze. Z kolei w lutym bieżącego roku prokuratura w Karlsruhe skierowała akt oskarżenia przeciwko 55-letniemu Niemcowi Jensowi F. Mężczyzna miał udostępnić rosyjskiemu wywiadowi wojskowemu (GRU) plany budynków Bundestagu.

O rosyjskich szpiegach głośno było ostatnio także w Bułgarii. W grudniu 2020 roku wydalono jednego z attaché wojskowych. Z kolei w marcu bieżącego roku tamtejsze służby rozbiły siatkę agentów, na czele której stał były oficer bułgarskiego wywiadu wojskowego – 74-letni Iwan Iliew. Próbował utworzyć grupę osób mających dostęp do tajnych informacji o charakterze wojskowym dotyczących NATO, UE i samej Bułgarii. Jeden z sześciu aresztowanych szpiegów zeznał, że za ujawnianie danych mieli otrzymywać od Rosji nawet 3 tys. dolarów. Dzięki współpracy z prokuraturą i złożeniu wyjaśnień, jako jedyny został zwolniony za kaucją. Pozostała piątka decyzją sądu w Sofii pozostała w areszcie. Władze zdecydowały ponadto o wydaleniu z kraju dwóch rosyjskich dyplomatów. **GP**

STARE, SKUTECZNE **NUMERY**

Posiadanie agentów mających dostęp do tajemnic wojskowych to najtańszy sposób na szachowanie przeciwnika. Rosja ma w tej mierze wielkie osiągnięcia. Spektakularne wtopy wojskowych agentów we Włoszech, Francji czy w Bułgarii to, moim zdaniem, tylko nic nieznaczące incydenty. Rosja, a przedtem ZSRS, swoich najwybitniejszych i najbardziej niebezpiecznych agentów hodowała i hoduje zupełnie inaczej.

Przed II wojną światową wypatrywano w elitarnych szkołach wyższych dobrze rokujących lewicujących studentów i prowadzono ich jak po sznurku. Tak narodziła się słynna „Piątka z Cambridge", czyli pięciu najwybitniejszych agentów sowieckich w brytyjskich służbach specjalnych ze słynnym Kimem Philbym na czele. To oni w latach 1939–1951 przekazywali Kremlowi najważniejsze informacje i w dużej mierze wpływali na kierunki działań brytyjskich służb. Oczywiście kierunki podobające się Józefowi Stalinowi. Wciąż krążą też plotki, że w Niemczech sowieckim agentem, zwerbowanym w młodości, był wpływowy szef kancelarii Adolfa Hitlera – Martin Bormann.

Później, już w czasach schyłku ZSRS i Rosji, najskuteczniejsi okazywali się i okazują tzw. śpiochy, czyli agenci przerzucani do kraju docelowego w młodości. Tam daje się im nową tożsamość, pieniądze i kieruje w różne, ciekawe z punktu widzenia moskiewskich mocodawców, miejsca. Ten sposób działa do dzisiaj i myślę, że po amerykańskiej aferze małżeństwa Murphych z 2010 roku (Lidii i Władimira Guriewów), którzy kręcili się niebezpiecznie blisko ówczesnej sekretarz stanu USA Hillary Clinton, jeszcze niejeden taki „pasztet" wyjdzie na jaw. I to nie tylko w USA.

Igor Szczęsnowicz
albicla.com/IgorSzczesnowicz

PRZYSPIESZENIE JUŻ W TYM ROKU

CZY WZROST GOSPODARCZY ODROBI STRATY Z 2020 ROKU?

Mimo że informacje z pierwszej dekady kwietnia dotyczące wysokiej liczby zarażonych i zgonów w związku z COVID-19 nie napawają otuchą, to prognozy gospodarcze przewidują, że już w II kwartale wskutek luzowania obostrzeń PKB powinien wyjść na plus, a II półrocze przyniesie przyspieszenie.

Maciej **Pawlak**
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA
albicla.com/MaciejPawlak

Jednym z najważniejszych czynników, które pozytywnie zadecydują o wzroście naszego PKB w tym roku, jest rosnące tempo szczepień przeciwko koronawirusowi. Choć w pierwszych tygodniach tego roku nie było ono imponujące z powodu zbyt małych dostaw szczepionek w stosunku do tych zakontraktowanych, od marca sytuacja zaczęła się zmieniać na lepsze. Kolejne miesiące mają to tempo jeszcze zwiększyć. Wraz ze spodziewanym w następnych tygodniach kwietnia i maja słabnięciem fali pandemii powinno nastąpić otwieranie kolejnych segmentów naszej gospodarki. Choć zapewne nie będzie to w pierwszej kolejności dotyczyć takich branż jak gastronomia czy hotelarstwo. „Dodatkowe obostrzenia, o ile zostaną zniesione do końca kwietnia, nie wpływają już istotnie na całoroczną prognozę wzrostu PKB w 2021 roku" – pisali w końcu marca autorzy komentarza tygodniowego w ramach analiz makroekonomicznych BOŚ Banku.

Obniżanie prognoz dotyczących skali odbicia

To właśnie trzecia fala pandemii COVID-19 spowodowała istny wysyp na przełomie marca i kwietnia skorygowanych prognoz

FOT. ADOBE STOCK

SKUTKI MNIEJ DOTKLIWE

Skala negatywnego wpływu lockdownu wywołanego trzecią falą pandemii będzie zdecydowanie słabsza w porównaniu z sytuacją z 2020 roku.

W III kwartale powinien nastąpić wzrost w wysokości 2 proc., zaś pod koniec roku powyżej 6 proc.

instytucji światowych (m.in. Bank Światowy i międzynarodowe agencje ratingowe) i polskich (departamenty makroekonomiczne kolejnych banków), dotyczących wzrostu w tym roku naszego PKB. Choć na początku 2021 roku przeważały opinie o spodziewanym wzroście w granicach około 4 proc. (według najbardziej optymistycznego PKO BP – nawet około 5 proc.), trzecia fala koronawirusa i wprowadzenie w związku z tym kolejnych lockdownów wpłynęły na obniżenie prognoz. Między innymi Bank Światowy, agencja ratingowa S&P oraz Bank Gospodarstwa Krajowego obniżyły swoje prognozy o około 0,2–0,5 pkt procentowych do poziomu odpowiednio: 3,3 proc., 3,4 proc. i 4,4 proc. PKO BP zaś z 5,1 do 4,7 proc.

Jak czytamy w komunikacie S&P, w 2021 roku agencja ta „spodziewa się ożywienia gospodarczego w Polsce do wysokości 3,4 proc. PKB, co doprowadzi do poprawy sytuacji fiskalnej. W 2022 roku oczekuje przyspieszenia wzrostu PKB do 4,4 proc. w związku ze wzrostem popytu krajowego, znaczącymi dotacjami unijnymi i odbiciem w Europie”. Z kolei według MFW polskie PKB ma w 2021 roku wynieść 3,5 proc., a w 2021 roku 4,5 proc. Inflacja ma wynieść 3,2 proc. i 2,5 proc., a saldo obrotów bieżących kształtować się będzie odpowiednio na poziomie 2,0 proc. i 1,3 proc. PKB.

Trzecia fala większa niż zakładano

W rozmowie przeprowadzonej dla portalu filarybiznesu.pl Piotr Bujak, główny ekonomista PKO BP, przyznał, że „nasi eksperci także obniżyli prognozę polskiego PKB – (…) po jej skorygowaniu uważamy, że wzrost PKB wyniesie 4,7 proc.”. Według Bujaka odzwierciedla to niewielkie dostosowanie prognoz przede wszystkim do sytuacji w I i II kwartale bieżącego roku – ze względu na trzecią falę pandemii, która okazała się większa, niż wcześniej zakładano. – Uwzględniamy więc w naszej prognozie efekty ekonomiczne obecnej fali, ale jednocześnie jesteśmy bardziej optymistyczni niż wcześniej w odniesieniu do średniego trendu w kolejnych miesiącach. Podwyższyliśmy bowiem prognozę wzrostu PKB na 2022 rok: z 4,0 do 4,7 proc. (…) Do tego doszło do poprawy perspektyw światowej gospodarki – dodaje ekonomista.

Zdaniem analityków z jego banku, w podobnej wysokości co w bieżącym roku (4,7 proc.) należy się także spodziewać wzrostu PKB w 2022 roku, a w 2023 roku – nawet 5,0 proc.

Także Łukasz Tarnawa, główny ekonomista Banku Ochrony Środowiska SA (BOŚ Bank) w rozmowie z „GP” zwrócił uwagę, że odkąd zostały wprowadzone ostatnie restrykcje, skorygowano w BOŚ Banku prognozy dotyczące wzrostu PKB w tym roku: z 4 proc. do 3,6 proc. Przy czym w tej prognozie zakładano, że pod koniec kwietnia restrykcje pandemiczne zaczną być stopniowo znoszone. M.in. wówczas galerie handlowe powrócą do funkcjonowania w pełni, przy zachowaniu odpowiedniego reżimu sanitarnego. I że stopniowo w ciągu maja będą przywracane pozostałe usługi.

W gronie instytucji eksperckich i banków bodaj jako jedyny Polski Instytut Ekonomiczny (PIE) nie obniżył swoich prognoz co do wzrostu PKB Polski w tym roku. Według PIE, nawet jeśli wyniki w II kwartale bieżącego roku będą słabsze od dotychczasowych założeń, „prawdopodobne jest odrobienie strat w drugiej połowie roku”. W tej sytuacji PIE podtrzymał swoją prognozę wzrostu PKB w bieżącym roku – na poziomie 4,2 proc. „Spodziewamy się, że wynik w II kwartale będzie słabszy niż dotychczas zakładaliśmy (9 proc.), wciąż jednak będzie to wysoka wartość. Dostrzegamy szanse na odrobienie strat w drugiej połowie roku. Wzrost gospodarczy w II kwartale wykreują sektor przemysłowy i transport. Spodziewamy się, że produkcja przemysłowa będzie większa nawet o ponad 20 proc. r/r niż rok temu” – uważa PIE.

Nadrabianie strat i rozwój PKB w kolejnych latach

Zresztą odbicie w górę czeka od bieżącego roku całą światową gospodarkę. Międzynarodowy Fundusz Walutowy prognozuje, że po spadku globalnego PKB w wysokości -3,3 proc. w 2020 roku w nadchodzących latach nastąpi ożywienie. Wobec tego światowy PKB będzie wzrastał w tempie 6,0 proc. w 2021 roku i 4,4 proc. w 2022 roku. W ocenie MFW recesja w ubiegłym roku okazała się niższa od prognozowanej jeszcze w październiku 2020 roku „ze względu na przyspieszenie tempa wzrostu w drugiej połowie roku (po zniesieniu części ograniczeń) oraz adaptacji do nowego modelu pracy".

Tymczasem w Polsce, jak zaznaczył w wypowiedzi dla „GP" Dariusz Świniarski, zarządzający funduszami w dep. Funduszy Niepublicznych BPS TFI, skala negatywnego wpływu lockdownu wywołanego trzecią falą pandemii będzie zdecydowanie słabsza w porównaniu z sytuacją z 2020 roku. Co ciekawe, według eksperta „analiza szeregów czasowych opartych na danych wysokiej częstotliwości, jak np. płatności dokonywane za pomocą kart, zużycie energii czy intensywność ruchu drogowego, pokazują niewielką ujemną dynamikę w relacji r/r". – Ze względu na efekt niskiej bazy związany z okresem zamrożenia aktywności ekonomicznej podczas pierwszego lockdownu w marcu, kwietniu i maju 2020 roku spodziewam się wysokich rocznych dynamik produkcji przemysłowej i sprzedaży detalicznej w marcu bieżącego roku, co implikuje niewielki spadek PKB na poziomie około 1,5 proc. r/r w I kwartale 2021 roku – stwierdza ekspert.

Jego bazowy scenariusz zakłada, że obowiązujące obecnie restrykcje zostaną wydłużone, co przekłada się na ryzyko niedowiezienia imponującego wzrostu PKB w II kwartale około 9 proc. r/r, który wynika w dużej mierze z efektu niskiej bazy (-8,4 proc. r/r PKB w II kw. 2020). – Odłożony popyt konsumencki wraz z mocną produkcją przemysłową oraz odradzającymi się inwestycjami przełoży się w mojej ocenie na wypracowanie przez krajową gospodarkę około 4–4,3 proc. dynamiki PKB w 2021 roku – dodaje.

Przedsiębiorstwa się przystosowały

Zdaniem Seweryna Masalskiego, dyrektora inwestycyjnego w MM Prime TFI, obecny lockdown nie wydaje się bardzo obciążający dla gospodarki. Przedsiębiorstwa przystosowały się już do działania w trudnych warunkach. Praca w zakładach nie jest wstrzymywana. Świadczą o tym na przykład dane dotyczące zużycia energii elektrycznej w kraju.

– Poza powyższymi pomaga nam lepsza sytuacja na głównych rynkach eksportowych – zachodnie fabryki zgłaszają duży popyt na półprodukty, polskie meble i kuchenki są wciąż zamawiane. (…) Ostrożne prognozy zakładają wzrost w 2021 roku poniżej 4 proc. Bardziej optymistyczni analitycy PKO BP obniżyli prognozę do 4,7 proc., jednak w razie szybkiego spadku zarażeń i znoszenia ograniczeń prawdopodobnie znowu podwyższą oczekiwania ponad 5 proc. Faktyczny wzrost może być dosyć wysoki, chociażby ze względu na pozytywny wpływ na gospodarkę światową ogromnego programu stymulacyjnego w USA.

Łukasz Tarnawa z BOŚ Banku wyjaśnił „GP", że w II kwartale powinniśmy już odnotować bardzo solidne odbicie dynamiki PKB. – Wynika to z faktu, że rok temu spadek PKB był bardzo głęboki. Osiągnął wówczas poziom ponad -9 proc. Dlatego, niejako symetrycznie, w II kwartale bieżącego roku powinno nastąpić dynamiczne odbicie wzrostu w górę. Według naszych szacunków PKB powinien wówczas osiągnąć poziom powyżej 8 proc. w stosunku do II kwartału 2020 roku. Następnie oczekujemy od lipca kontynuacji wzrostu, wyjścia polskiej gospodarki z recesji. W III kwartale powinien nastąpić wzrost w wysokości 2 proc., zaś pod koniec roku – powyżej 6 proc. Łącznie, biorąc pod uwagę prawdopodobny spadek PKB w I kwartale bieżącego roku, o blisko 2 proc. W całym 2021 roku powinno to przynieść wzrost o 3,5–3,6 proc. **GP**

55 PROC. POLAKÓW BUDUJE DOM NA KREDYT

Średni koszt budowy w 2020 roku wyniósł w Polsce 485 tys. zł. Większość domów powstaje za pieniądze pochodzące z kredytów – wynika z „Raportu o Budowie Domów" serwisu Oferteo.pl. Polacy, jak tylko mogą, starają się ograniczyć koszty inwestycji. Aż 81 proc. decyduje się samodzielnie wykonać część prac wykończeniowych. Najczęściej jest to wniesienie mebli oraz malowanie ścian. Wyniki badania pokazały, że w ubiegłym roku budowa domu kosztowała Polaków średnio 485 tys. zł. W większości, bo aż w 55 proc. przypadków, pieniądze te pochodziły z kredytu hipotecznego.

POLACY ZA OPŁATĄ DEPOZYTOWĄ

Prawie 3/4 ankietowanych przez Instytut Pollster (74 proc.) poparłoby opłatę depozytową (kaucję) za butelki plastikowe i puszki aluminiowe po napojach, gdyby taka regulacja weszła w życie. 87 proc. deklaruje, że chętnie zaniesie puste opakowanie do sklepu, by odzyskać kaucję. Główne założenie systemu depozytowego to więcej recyklingu, mniej odpadów. Zamiast wyrzucić puste opakowanie po napoju do kontenera, można będzie je zwrócić w sklepie lub wrzucić do butelkomatu, otrzymując za nią zwrot kaucji. Opakowanie trafi do recyklera, a po obróbce – z powrotem do obiegu.

FOT. PIXABAY (2)

Powstał giełdowy Indeks Łukasiewicza INNOVATOR

NAJBARDZIEJ INNOWACYJNE FIRMY NA WARSZAWSKIM PARKIECIE

1 kwietnia bieżącego roku Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie oraz Sieć Badawcza Łukasiewicz oficjalnie przedstawiły informacje o pierwszym portfelu nowego indeksu. Indeks Łukasiewicza INNOVATOR to przedsięwzięcie, którego głównym założeniem jest promocja spółek giełdowych rozwijających swój potencjał w oparciu o wiedzę i kompetencje polskich naukowców. Publikacja indeksu rozpoczęła się 12 kwietnia.

Obecnie Indeks Łukasiewicza INNOVATOR obejmuje 14 innowacyjnych spółek notowanych na Głównym Rynku GPW oraz na rynku NewConnect, które współpracują z Łukasiewiczem. Jest wśród nich między innymi firma Budimex.

– Współpraca z Siecią Badawczą Łukasiewicz i wejście do indeksu giełdowego Łukasiewicza stanowi z naszej strony krok naturalny – mówi Michał Wrzosek, rzecznik prasowy Budimex SA, jednej z największych firm z Indeksu Łukasiewicza. – Prowadzimy obecnie 15 projektów badawczych i rozwojowych z firmami z indeksu Łukasiewicza. Wspólnie z Orlenem oraz Łukasiewiczem uczestniczymy m.in. w projekcie badawczym mieszanek mineralno-asfaltowych typu HiMA. W wyniku przeprowadzanych prac asfalty te będą miały trwałość analogiczną do konstrukcji i nawierzchni betonowych. Finał projektu – jeszcze w bieżącym roku.

Pierwszy portfel indeksu obejmuje 14 spółek giełdowych:	Rynek
AC S.A.	Główny
Budimex S.A.	
CCC S.A.	
Grupa Azoty S.A.	
Lubawa S.A.	
PGE Polska Grupa Energetyczna S.A.	
PKN ORLEN S.A.	
Polwax S.A.	
Tauron Polska Energia S.A.	
Vigo System S.A.	
XTPL S.A.	
4MASS S.A.	NewConnect
Blirt S.A.	
Scope Fluidics S.A.	

Zalety wykorzystania potencjału polskiej nauki dostrzega również Joanna Kasperska, dyr. zarządzająca spółki 4mass SA, obecnej w Indeksie Łukasiewicza INNOVATOR.

– Współpraca z Łukasiewiczem w istotny sposób wpłynie na dalszy rozwój naszej firmy. Współpracujemy z funkcjonującym w ramach sieci Łukasiewicz – Instytutem Chemii Przemysłowej m.in. przy projekcie opracowania innowacyjnego lakieru do paznokci – hybrydowego, światłoutwardzalnego, a także opracowania gamy 12 innowacyjnych produktów przeznaczonych do pielęgnacji dłoni i stóp.

Z oferty Łukasiewicza może skorzystać każda firma, niezależnie od wielkości i branży, w której funkcjonuje. Dzięki unikalnemu systemowi Wyzwań Łukasiewicza grupa naukowców w nie więcej niż 15 dni roboczych przygotowuje dla przedsiębiorcy propozycję opracowania skutecznego rozwiązania wdrożeniowego w ramach czterech kierunków działalności – transformacji cyfrowej, inteligentnej i czystej mobilności, zdrowia oraz zrównoważonej gospodarki i energii.

– Spółki giełdowe kooperujące z Łukasiewiczem wiedzą już, że działamy nadzwyczaj sprawnie i elastycznie. Inicjując wraz z Giełdą Papierów Wartościowych w Warszawie powołanie indeksu najbardziej innowacyjnych firm na warszawskim parkiecie, chcemy do współpracy z polską nauką zachęcić pozostałe firmy. Mamy nieosiągalny dla innych podmiotów na polskim rynku B+R zespół ponad 4,5 tys. naukowców i inżynierów oraz unikalną infrastrukturę badawczą – podkreśla Piotr Dardziński, prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz.

Marek Dietl, prezes Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, dodaje: – Wiele spółek giełdowych opiera swoje strategie konkurowania na rozwijaniu innowacyjnych produktów i usług. Chcemy te spółki pokazać inwestorom poprzez umieszczenie ich w nowym indeksie INNOVATOR.

Sieć Badawcza Łukasiewicz to trzecia pod względem wielkości w Europie i największa organizacja badawcza w Polsce. Przedsiębiorca może zdecydować się na kontakt z Łukasiewiczem m.in. przez formularz dostępny na stronie https://lukasiewicz.gov.pl/biznes. ■

ARTYKUŁ SPONSOROWANY, FOT. PIXABAY

Ryszard
Kapuściński
PREZES KLUBÓW „GP”

Spotkanie klubowiczów z Jarosławem Kaczyńskim online

Tuż przed świętami prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński spotkał się na portalu Albicla.com z członkami klubów „Gazety Polskiej”.

Spotkanie z prezesem Jarosławem Kaczyńskim na portalu Albicla.com prowadzili

Spotkanie, w którym uczestniczyło kilkuset członków klubów „GP”, prowadzili redaktorzy Katarzyna Gójska i Tomasz Sakiewicz, którzy w imieniu klubowiczów zadawali pytania. Wszyscy z niecierpliwością czekali na słowa prezesa Kaczyńskiego, laureata nagrody Człowieka Roku Klubów „Gazety Polskiej” 2020.

– Czasy są szczególnie ciężkie, tym bardziej więc to spotkanie jest dla mnie cenne. Mam nadzieję, że będę w stanie wlać w Państwa serca i umysły trochę nadziei i optymizmu – mówił na początku spotkania prezes PiS Jarosław Kaczyński. – Głęboko wierzę, że rację mają optymiści spośród lekarzy (oni się na tym najlepiej znają), że za kilka miesięcy będzie już po zarazie i rozpocznie się okres powrotu do tempa poprawy sytuacji w naszym kraju, które uzyskaliśmy przed wybuchem pandemii – dodał. Kontynuując swoją wypowiedź stwierdził, iż wierzy w to, że uda się wykorzystać wszystkie możliwości, które w tej chwili się rodzą, i że odporność, jaką pokazaliśmy, będzie trwała. Prezes PiS podkreślił, że siła, którą Polacy wykazali wobec pandemii, musi służyć dalej rozwojowi i umacnianiu się Polski we wszystkich dziedzinach. Fundamentem bardzo wielu dziedzin, zauważył, jest gospodarka. – Tę gospodarkę będziemy mieli szansę rozwijać naprawdę szybko – podkreślił prezes PiS. – Znają Państwo zapewne nazwę „Nowy Ład”. To skrótowe określenie całej polityki, zamysłu i konkretnego planu, który ma ująć całość w racjonalne ramy, gdzie różnego rodzaju elementy będą wynikały z siebie, będą się wzajemnie uzupełniały, wzmacniały i prowadziły do celu – mówił o programie gospodarczym Zjednoczonej Prawicy.

Na pytanie klubowiczów związane z rozprzestrzenianiem się na świecie agresywnej ideologii LGBT, powiedział: – Póki my rządzimy, to nam niczego nikt nie narzuci. Chcemy żyć w normalnym świecie, w którym kobieta jest kobietą, mężczyzna jest mężczyzną i nikt nie mówi o kobiecie jako o „osobie z macicą”. Jeżeli chcemy żyć w takim społeczeństwie, które odwołuje się do rzeczy oczywistych, trzeba wspierać naszą formację. My to gwarantujemy. Będziemy tego bardzo zaciekle i twardo bronić. Nigdzie w traktatach europejskich nie ma niczego takiego, co by nas miało skłaniać czy zmuszać, abyśmy przyjmowali te reguły, które rzeczywiście dzisiaj na świecie zaczynają dominować, są sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem i ograniczają radykalnie wolność, i to wolność ogromnej liczby ludzi, którzy są terroryzowani, żeby przyjąć tego rodzaju ideologię. Nie mamy zamiaru tego robić. W Polsce zarówno tradycja, ale także obowiązujące rozwiązania prawne chroniące kobiety na przykład przed przemocą domową – bo to jest problem, i ja tego w żadnym wypadku nie kwestionuję – one są dużo dalej idące niż w większości państw europejskich. Chodzi o to, żeby były naprawdę egzekwowane choćby przez te sądy, które z jednej strony są takie niesłychanie postępowe, lecz jeżeli chodzi o sprawy przemocy domowej, wyroki są skandalicznie wręcz łagodne. To dotyczy też na przykład pedofilii, gdzie te wyroki są również skandalicznie niskie. We wszystkich tych sprawach trzeba działać bardzo zdecydowanie i ostro. Twardo przestrzegać reguł. To są problemy realne. Inne problemy są wymyślone albo dotyczą jakichś promili ludzi. Przy pomocy propagandy można doprowadzić do tego, że nagle w USA okazuje się (w oparciu o badania, które mogą być oczywiście intencjonalnie robione), że 20 proc. młodych mężczyzn ma wątpliwości co do swojej tożsamości płciowej. Ale to jest wynik pewnego zaczadzenia, a nie sytuacja naturalna – podkreślił Jarosław Kaczyński. – Te wszystkie szaleństwa, bo to są szaleństwa, dzieją się w świecie, w którym istnieją twarde i jednocześnie silne w sensie gospodarczym i militarnym państwa czy całe cywilizacje, które to osłabienie, bo to oczywiście bardzo osłabia Zachód, wykorzystają.

redaktorzy Katarzyna Gójska i Tomasz Sakiewicz.

Wolność, demokracja to są niesłychanie ważne rzeczy – ocenił. – Niejeden raz w historii tak bywało, że inni próbowali narzucić nam rozwiązania, na które my nie chcemy się zgodzić. W ostatecznym rachunku, czasem po ciężkiej i bardzo długiej walce, wygrywaliśmy. Ale wierzę, że w pewnym momencie także na Zachodzie nastąpi otrzeźwienie – powiedział prezes PiS.

Pytany przez klubowiczów o działania mające wyjaśnić przyczyny katastrofy smoleńskiej czy zwrotu wraku tupolewa przez stronę rosyjską, powiedział: – Pozwolę sobie przestrzec przed jednym – nie należy tutaj myśleć rocznicami. Zbliżamy się w tej chwili do 11. rocznicy [katastrofy smoleńskiej], lecz to nie powinna być data, która determinuje moment ujawnienia prawdy. Prawdę można ujawnić wtedy, gdy już ją na pewno znamy i gdy nikt, kto myśli racjonalnie i odwołuje się do racjonalnych argumentów, nie będzie w stanie jej podważyć. To jest moment właściwy – on może być bliski rocznicy, to może być rocznica czy też zupełnie inna data. Rocznica jest datą dla uroczystości upamiętnienia, a jeśli chodzi o ujawnienie prawdy, to przede wszystkim ważna jest merytoryczna część tego całego procesu, który do tej prawdy prowadzi – podsumował prezes Prawa i Sprawiedliwości.

Dużo pytań dotyczyło kontynuacji reformy sądownictwa. – Reforma sądownictwa była omawiana przez komitet bezpieczeństwa, na którego czele stoję. Wydaje się, że to jest projekt bardzo dobrze przygotowany i racjonalny – zauważył Jarosław Kaczyński. – Jesteśmy państwem suwerennym i mamy święte prawo, żeby zreformować wymiar sprawiedliwości, który rzeczywiście w tej chwili działa fatalnie, co bardzo szkodzi polskiemu państwu, a przez to polskiemu społeczeństwu, i dlatego podejmiemy ten wysiłek. A o tym, jak będzie to wyglądało, zostaną Państwo na pewno poinformowani, ponieważ będzie to poprzedzone odpowiednią dyskusją – podkreślił. – Jeżeli chodzi o wszystkie reguły, które są związane z praworządnością, z bezwzględnym wymogiem niezawisłości sądownictwa, to wszystkie one będą całkowicie przestrzegane. Ale niezawisłość sądownictwa musi oznaczać tu także przestrzeganie prawa, przestrzeganie ustaw. Z tym jest bardzo różnie i to też będzie uwzględnione – dodał Jarosław Kaczyński.

Pytany, czy istnieje obawa, że rosyjska szczepionka na koronawirusa Sputnik V zostanie z powodów politycznych narzucona Europie i jaka będzie w związku z tym reakcja polskich władz, odpowiedział: – Nie widzę w tej chwili żadnej realnej możliwości narzucenia tego Europie, która w większości przed tym się broni. Natomiast Unia Europejska zawiodła, żeby nie powiedzieć – skompromitowała się, jeżeli chodzi o zakupy szczepionek. Te błędy, które popełniono przy zawieraniu umów, wołają o pomstę do nieba, to tak, jakby z jednej strony siedzieli negocjatorzy, a z drugiej strony dzieci. Tak to wyglądało i dzisiaj za to płacimy, bo przecież osób zaszczepionych mogło być w Polsce dużo, dużo więcej, niż jest obecnie. Czyli bylibyśmy dużo bliżej końca epidemii i bardzo wiele osób by ocaliło już nie tylko zdrowie, lecz także życie — mówił Jarosław Kaczyński.

Na zakończenie spotkania prezes PiS złożył członkom klubów „GP" życzenia świąteczne. – To są święta nadziei, święta odrodzenia, wiary w Zmartwychwstanie, to święta życia – i życzę Państwu, żeby w tym nastroju i z tą nadzieją te święta były obchodzone. Z ograniczeniami (trzeba ich przestrzegać), ale i z pełnym przeświadczeniem, że to, w co wierzymy – albo nawet jeżeli nie wierzymy, to przynajmniej przestrzegamy pewnych tradycji – jest dla naszej przyszłości, dla przyszłości dzieci, wnuków, przyszłych pokoleń, dla tych, których jeszcze w tej chwili nie ma wśród nas, bardzo ważne i rozstrzygające. Życzę Państwu błogosławionych świąt. I zdrowych. Nadzieja jest bardzo ważna! – takimi życzeniami prezes PiS Jarosław Kaczyński zakończył spotkanie online z członkami klubów „Gazety Polskiej" na portalu Albicla.com. **GP**

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

ZAPROSZENIA klubowe

Brzozów – obchody Dnia Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej – 81. rocznica ludobójstwa polskich oficerów i 11. rocznicy katastrofy smoleńskiej, 18 kwietnia, g. 12.15, Bazylika Mniejsza pw. Przemieniania Pańskiego w Brzozowie.

Sydney – 6. Rajd Katyń 1940/Smoleńsk 2010, w 101. rocznicę zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej 1920. Pełny program Rajdu na stronie: www.klubygp.pl

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP"

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP"

Ewa Wójcik
BIURO KLUBÓW „GP"

Ryszard Kapuściński
PREZES KLUBÓW „GP"

Grzegorz
Broński

Hindusi udusili Nepalczyka

Koszmar w restauracji

Właściciel nepalskiej restauracji nie mógł się dogadać z pracownikami z Indii. Konflikt narastał. Aż doszło do najgorszego. W świąteczny wieczór mężczyzna został uduszony.

W podwarszawskim Legionowie 37-letni Ishwora S. prowadził restaurację Everest. Niewielką, ale przynoszącą przyzwoity dochód. Ponieważ mężczyzna pochodził z Nepalu, to zarówno wystrój lokalu, jak i kuchnia nawiązywała do jego ojczystych stron. Chcąc zachować oryginalność, Nepalczyk zdecydował się także na zatrudnianie cudzoziemców przyjeżdżających do Polski z Azji.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia AD 2018 szef Everestu zdecydował się na otwarcie lokalu. Po wyjściu klientów jeszcze długo przebywał w restauracji, bo lubił osobiście wszystkiego dopilnować. Niestety, tego dnia nie wrócił do domu. Ani wieczorem, ani w nocy, ani nazajutrz… Oczywiście, bliscy próbowali się z nim skontaktować, ale cudzoziemiec nie dał żadnego znaku, co się dzieje. Takie zachowanie było czymś absolutnie niespotykanym – dlatego zaniepokojeni krewni formalnie zgłosili policji zaginięcie Ishwory S. Równocześnie na własną rękę prowadzili poszukiwania. Pomagali pracownicy restauracji. Niestety, ich działania nie przyniosły żadnego efektu. 29 grudnia kobieta spacerująca z psem zwróciła uwagę na zaparkowaną toyotę (samochód stał przy peryferyjnej ulicy Generała Roi). Zauważyła, że za kierownicą siedzi mężczyzna, ale nie daje żadnych oznak życia i nie reaguje na próby kontaktu. Dlatego powiadomiła odpowiednie służby. W aucie znaleziono zwłoki poszukiwanego Nepalczyka. Późniejsza sekcja wykazała, że mężczyznę zamordowano. Został uduszony. Policjanci już po wstępnych oględzinach podejrzewali popełnienie zbrodni. Ofiara miała bowiem liczne zadrapania i zasinienia na twarzy, a jej buty miały mocno pozdzierane czubki. To oznaczało, że nieprzytomny lub martwy był wleczony po ulicy. Prokuratura Rejonowa w Legionowie wszczęła śledztwo. Niemal od razu głównymi podejrzanymi stali się niektórzy pracownicy restauracji. Na drugi dzień po znalezieniu ciała zatrzymano trzech mężczyzn, obywateli Indii. „Dwóch z nich usłyszało zarzut popełnienia zabójstwa. Podejrzani złożyli obszerne wyjaśnienia, przy czym do popełnienia zbrodni przyznał się jeden z nich. Najbardziej prawdopodobnym motywem zabójstwa były nieporozumienia z pracodawcą. „Dwudziestosiedmiolatek oraz jego o rok starszy kolega planowali mord" – podała wówczas prokuratura. Trzeci mężczyzna szybko odzyskał wolność – najpierw jednak złożył kluczowe zeznania. Ze śmiercią Ishwora S. nie miał nic wspólnego, ale współlokator i kolega z pracy opowiedział mu, co się wydarzyło. Ten sam świadek widział też, jak tamtego wieczoru do restauracji weszło trzech mężczyzn: dwóch pracowników i ich znajomy.

Ishwora S. był wymagającym szefem i nie ukrywał niezadowolenia z pracy Hindusów. Dobitnie zwracał im uwagę, gdy popełniali błędy. Sanjeev K. nie mógł tego znieść i wielokrotnie groził, że pobije właściciela restauracji. Szukał też nowej posady, podobnie jak jego rodak Tapender S. Gdy powiedzieli Nepalczykowi, że rzucają pracę i przenoszą się do Łodzi, wybuchła awantura. Ishwora S., który podejrzewał próbę zniszczenia jego firmy, rzekomo zażądał zwrotu pieniędzy wydanych na legalizację pobytu obu pracowników. Oni nie zamierzali niczego oddawać. Tamtego dnia, czyli 26 grudnia 2018 roku, Sanjeev K. i Tapender S.

Zabił dwie osoby

ZBRODNIA JACOBA K.

Niemal w tym samym czasie, gdy doszło do zabójstwa w Legionowie, inny Hindus popełnił zbrodnię na Warmii i Mazurach. Jacob K. trafił do pracy w gospodarstwie agroturystycznym, ale nie potrafił się dogadać ani z szefami, ani z pozostałymi cudzoziemcami. Gdy został zwolniony, wpadł w szał i zabił dwóch mężczyzn.

Za kratkami...

POWYŻEJ SEJKA ZABÓJCÓW

Z danych Służby Więziennej wynika, że ostatniego dnia zeszłego roku w zakładach karnych i aresztach przebywało niemal 1300 obcokrajowców – przybyszów ze wszystkich kontynentów. Oczywiście, najwięcej pochodziło z krajów Europy Wschodniej. Wśród wszystkich osadzonych było 149 skazanych lub z zarzutami za zabójstwo.

poszli wieczorem do Everestu, bo wiedzieli, że szef będzie na miejscu, choć lokal był już zamknięty. Pobili Nepalczyka, udusili, a ciało wywieźli i zostawili w samochodzie.

Podczas pierwszego przesłuchania w prokuraturze Sanjeev K. nie przyznał się do winy, ale na posiedzeniu w sądzie, gdy decydowano o zastosowaniu aresztu tymczasowego, stwierdził, że to on dusił właściciela restauracji szalikiem, a Tapender S. trzymał ofiarę. Później po raz kolejny zmienił wersję wydarzeń i za wszystko obciążył rodaka. Tapender S. konsekwentnie odrzucał zarzuty o zabójstwo.

Po niemal tygodniu zatrzymano również towarzyszącego im mężczyznę. Saini A. zaprzeczył, aby miał cokolwiek wspólnego z mordem restauratora. W akcie oskarżenia prokuratura postawiła trzem Hindusom zarzut udziału w zabójstwie. W trakcie kilkunastu rozpraw przed Sądem Okręgowym Warszawa Praga żaden nie przyznał się do winy, ale składali obszerne wyjaśnienia. Po zakończeniu procesu Sanjeev K. został skazany na 10 lat więzienia, a Tapender S. ma spędzić za kratkami 8 lat. Natomiast Saini A. został uniewinniony. Wyrok jest nieprawomocny. Można się spodziewać apelacji zarówno oskarżyciela, jak i obrońców. **GP**

Sanjeev K. i Tapender S. poszli wieczorem do Everestu, bo wiedzieli, że szef będzie na miejscu, choć lokal był już zamknięty. Pobili Nepalczyka, udusili, a ciało wywieźli i zostawali w samochodzie.

Szukał alibi

CYNIZM MORDERCY

Obaj skazani Hindusi wcześniej nie byli karani. W Polsce przebywali legalnie, mają wyższe wykształcenie. Sanjeev K. okazał się jednak cynicznym mordercą. Na drugi dzień po zaginięciu Nepalczyka nawet udawał, że pomaga w poszukiwaniach. Równocześnie namawiał przyjaciółkę, aby zeznała, że z nią spędził tamten wieczór.

RYSOWAŁ **FILIPBĄK.PL**

POLSKI ELVIS PRESLEY? NIE. BOŻY ELVIS PRESLEY!

BĘDĄ POŚMIERTNE PŁYTY KRZYSZTOFA KRAWCZYKA

Na długo przed śmiercią, w luźnej rozmowie z przyjacielem, poprosił, by do trumny włożono mu mikrofon... „Jako katolik wierzę, że w królestwie w niebie będzie działo się jeszcze lepiej. Że będę mógł nie tylko na tej planecie zasłynąć, mówiąc nieskromnie" – powiedział Krzysztof Krawczyk.

Sylwia **Krasnodębska**
SZEF DZIAŁU KULTURA
albicla.com/SylwiaKrasnodebska

A teraz bardzo głośno wołam cię, / niczego nie żal, nie oglądam się. / Z zysków i strat kiedyś rozliczę się, / jeszcze nie dziś, jeszcze nie wołaj mnie" – śpiewa w utworze „Horyzont" na ostatniej, wydanej pół roku temu płycie o tym samym tytule. Menedżer Krzysztofa Krawczyka i jego przyjaciel, Andrzej Kosmala, mówi, że ta płyta jest podsumowaniem życia artysty. – Krzysztof właśnie przekroczył ten horyzont, ale wiemy, że życie ziemskie to tylko epizod – mówi Kosmala w rozmowie z „Gazetą Polską".

Oszałamiająca popularność

Na pytanie zadane na antenie Telewizji Republika, jak się czuje artysta, który podczas koncertu dostaje kilkuminutowe owacje na stojąco, odpowiedział: „Rośnie wtedy we mnie piękne uczucie, że jestem na swoim miejscu, że wykorzystuję talent, który dostałem od Wszechmogącego. Lubię się dzielić z ludźmi tym, co mam między czwartym a piątym kręgiem szyjnym, czyli głosem. I jak widzę, że to ma taki pozytywny oddźwięk, to czuję wtedy naprawdę ogrom szczęścia!".

Dorastał w rodzinie artystycznej. Jego rodzice – Lucyna i January Krawczykowie – byli aktorami i śpiewakami operowymi. Miał brata Andrzeja. Często mama zabierała dzieci do teatru, gdzie – jak wspominał Krawczyk – podglądał z bratem tancerki.

COVID ZABRAŁ MU RADOŚĆ

Stan zdrowia Krawczyka pogorszył się, jak zabrakło mu sceny. Covid pokonał w kilka dni, ale pandemia osłabiła mu zdrowie tym, że nie mógł pojechać na koncerty, przeżyć tych emocji, spotkać się z ludźmi.

Urodził się w Katowicach, potem rodzina przeprowadziła się do Białegostoku, później do Poznania, a w 1953 roku do Łodzi. Krzysztof uczył się gry na fortepianie i śpiewu w szkołach muzycznych. Na gitarze nauczył się grać sam. Gdy miał 16 lat, zmarł jego ojciec. Krzysztof na pogrzebie miał wykrzyczeć, że jeśli stracił ojca, to znaczy, że Boga nie ma. Brak wiary trwał jeszcze 20 lat. Artysta nawrócił się w 1982 roku pod wpływem swojej trzeciej żony, Ewy.

Nie bez powodu nazywa się go ojcem polskiego bigbitu. Zespół Trubadurzy, który współtworzył od 1963 roku, był obok Czerwonych Gitar najważniejszą kapelą bigbitową, ale i rockową. Hit „Przyjedź mamo na przysięgę" rozbił bank z nagrodami i popularnością nie tylko w Polsce, ale i w NRD, Związku Radzieckim czy Bułgarii. Od 1973 roku Krawczyk był artystą solowym. Jego popularność od lat 70. nie malała. Setki nagród, tysiące koncertów, miliony fanów. W sierpniu 1978 roku wystartował na Międzynarodowym Festiwalu Interwizji z utworem „Jak minął dzień". Nie wygrał. Na dodatek szef Radiokomitetu Maciej Szczepański objął go cenzurą, przez co Krawczyk zniknął z radia i telewizji. Dla fanów nie miało to najmniejszego znaczenia. Nagrody sypały się jak z rękawa. Kolejne płyty były rozchwytywane. Jednak walka z cenzurą zmęczyła artystę, który w 1979 roku postanowił wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. W USA oprócz koncertowania dorabiał jako barman i pracownik na budowach. Do kraju wrócił po sześciu latach. I znów rozkochiwał w sobie publiczność. „Za tobą pójdę jak na bal", „Pokochaj moje marzenia", „Ostatni raz zatańczysz ze mną" to utwory legendy żyjące z kolejnymi pokoleniami Polaków. Zaczął śpiewać przeboje Elvisa Presleya i Steviego Wondera. Karierę na moment zatrzymał ciężki wypadek. W 1988 roku, jadąc fiatem 125

FOT. PAP/PRZEMEK WIERZCHOWSKI

znad morza wraz z żoną i synem Krzysztofem, uległ wypadkowi. Jego chirurgiem okazał się muzyk, który jest autorem wspomnianego utworu „Horyzont" z ostatniej płyty piosenkarza. Na scenę Krawczyk wyszedł po ponad pół roku i od razu ruszył w trasę po Polsce i świecie. Został ulubieńcem Polonii australijskiej.

Kilka płyt naraz, kilka koncertów dziennie

W latach 90. znów wyjechał do Stanów. Po trzech latach wrócił i wystąpił w TVP z benefisem „30 lat minęło… Krzysztof Krawczyk i jego goście". Żonglował gatunkami – country, rock, muzyka religijna, jazz, swing, reggae, piosenki dla dzieci, ballady, ale też muzyka taneczna. Przez wiele miesięcy jego „Zaufaj sercu" czy „Rysunek na szkle" były hitami list przebojów disco-polo. W 1997 roku nagrał kasetę z pieśniami dedykowanymi Janowi Pawłowi II z okazji 50-lecia posługi kapłańskiej. Spotkał się z papieżem na Jasnej Górze. W 2000 roku zaśpiewał dla Jana Pawła II na placu Świętego Piotra w Watykanie. Andrzej Kosmala tak to wspomina: – Pamiętam, gdy razem podchodziliśmy do Ojca świętego i Krzysztof mówi: Ojcze święty, my niegodni… A Ojciec święty mu przerwał i powiedział: A dlaczego niegodni? – opowiada.

Nagrywał płyty z kolędami, pieśniami Maryjnymi, psalmami króla Dawida. Coraz częściej i coraz głośniej mówił o swojej miłości do Boga. I nie bał się wyrażać tego w muzyce. Ale nie obawiał się też współpracować z gwiazdami wielu gatunków i o różnej wrażliwości muzycznej – Muniek Staszczyk, Edyta Górniak, Norbi. Jego utwór z Edytą Bartosiewicz „Trudno tak" uratował niejedno małżeństwo. Covery jego utworów wykonywali m.in. T. Love, Aleksandra Szwed, Stachursky, Piotr Gąsowski, Natasza Urbańska czy Rafał Brzozowski.

Potrafił pracować równolegle nad kilkoma płytami. Nagrał w sumie ponad 120 albumów, w tym ponad 40 solowych, 28 krążków było złotych, 13 oblało się platyną... Trzy lata temu świętował 55-lecie kariery artystycznej. Pięć lat temu na antenie Telewizji Republika w programie „Repu-

CREDO

„Towarzyszy mi wewnętrzne przekonanie, że ktoś na górze uśmiecha się cały czas do mnie. Że ten niepojęty kreator czuwa. Jestem pełen podziwu dla Boga. Często mam ochotę śpiewać głośno »Alleluja« albo »Chwała Tobie Panie«. Bóg dodaje bardzo wiele siły. Dodaje mi wielkiej mocy. Jest kimś, komu można się wypłakać, poprosić, ale najpierw przepraszać".

blika Gwiazd" przyznał, że miewał czasem po cztery koncerty dziennie! Na pytanie, czy przez ponad 50 lat praca może niezmiennie ekscytować, odpowiedział: „Jeśli kocha się to, co się robi, to oczywiście że tak". Nie lubił określenia „król estrady". „Słowo król mi się nie do końca podoba. I nie mówię tego przez fałszywą skromność. Z tym królestwem to jest tak, że trzeba ciągle bronić jego granic. Mowa o królestwie wewnętrznym, które jest początkiem tego królestwa w niebie. Jako katolik wierzę, że tam się będzie działo jeszcze lepiej, że będę mógł nie tylko na tej planecie zasłynąć, mówiąc nieskromnie" – mówił w Telewizji Republika.

Zostawił niewydane jeszcze nagrania...

Menedżer i przyjaciel Krzysztofa Krawczyka, Andrzej Kosmala, w rozmowie z nami ujawnił, że udało się nagrać z artystą materiał na jeszcze trzy płyty. Pierwszy – to polskie wersje utworów Leonarda Cohena z ostatniego etapu jego życia, a więc z lat 2000–2004. Tłumaczem tekstów jest Daniel Wyszogrodzki. Projekt jest kontynuacją wcześniejszej płyty Krawczyka, na której piosenkarz śpiewał utwory kanadyjskiego muzyka. Krążek z 2015 roku zatytułowany był „Tańcz mnie po miłości kres. Piosenki Leonarda Cohena". Druga płyta, która czeka na wydanie, z pewnością wywoła duże zainteresowanie.

Nagrał ponad 120 płyt, w tym 40 solowych, 28 krążków było złotych, 13 oblało się platyną.

To projekt wspólnie nagrany z synem. Trzeci materiał stanowią polskie wersje ulubionego twórcy country Krawczyka – Johnny'ego Casha. Jak nieoficjalnie dowiedziała się „Gazeta Polska", płyta będzie miała tytuł „Człowiek w czerni". – Już myślałem, że z tą płytą nie zdążymy, bo stan zdrowia Krzysztofa się pogarszał. Na początku ubiegłego roku nagraliśmy pięć pierwszych piosenek i musieliśmy przerwać pracę. Kiedy dosłaliśmy mu kolejne tłumaczenia tekstów, to zadzwonił do mnie i powiedział, że te utwory są tak piękne, że mimo iż nie czuje się dobrze, przyjedzie następnego dnia do studia. Materiał nagrał w niecałe trzy dni – opowiada Andrzej Kosmala. Przyjaciel artysty przyznaje, że Krawczyk miał chore płuca, co jest częstą przypadłością śpiewaków, i cierpiał na dolegliwości kardiologiczne, co nie dziwi, zważywszy na jego pracowity tryb życia. – Stan zdrowia mu się pogorszył, jak zabrakło mu sceny. Covid pokonał w kilka dni, ale pandemia osłabiła mu zdrowie tym, że nie mógł pojechać na koncerty, nie mógł przeżyć tych emocji, nie mógł spotkać się z ludźmi. W ubiegłym roku mieliśmy zakontraktowanych 9 koncertów juwenaliowych. Na koncerty przychodziło po 20 tys. ludzi. Jeżeli Pan Bóg pozwoli, to zrobię wszystko, by zbudować legendę Krzysztofa. Mam nadzieję, że Krzysztof wstawi się za mną u Pana Boga – mówi Andrzej Kosmala. **GP**

FOT. PAP/TEODOR WALCZAK (2)

1%

KRS 0000309499

Pamiętaj o wpisaniu nr KRS **0000309499**

Pamiętaj o wpisaniu celu szczegółowego **NIEZALEŻNE MEDIA SWS**

Oblicz **1%**

I. INFORMACJA O DOCHODACH (PRZYCHODACH) WYKAZYWANYCH NA PODSTAWIE ART. 45 UST. 3c USTAWY

122. Kwota dochodów (przychodów) zł, gr

J. WNIOSEK O PRZEKAZANIE 1% PODATKU NALEŻNEGO NA RZECZ ORGANIZACJI POŻYTKU PUBLICZNEGO (OPP)

Należy podać numer wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego (numer KRS) organizacji wybranej z wykazu prowadzonego na podstawie odrębnych przepisów oraz wysokość kwoty na jej rzecz.

123. Numer KRS	Wnioskowana kwota	124.
0000309499	Kwota z poz. 124 nie może przekroczyć 1% kwoty z poz. 113 po zaokrągleniu do pełnych dziesiątek groszy w dół.	**oblicz 1%** zł, gr

K. INFORMACJE UZUPEŁNIAJĄCE

Podatnicy, którzy wypełnili część J, w poz. 125 mogą podać cel szczegółowy 1%, a zaznaczając kwadrat w poz. 126 wyrazić zgodę na przekazanie OPP swojego imienia, nazwiska i adresu wraz z informacją o kwocie z poz. 124. W poz. 127 można podać dodatkowe informacje, np. ułatwiające kontakt z podatnikiem (telefon, e-mail).

125. Cel szczegółowy 1%	126. Wyrażam zgodę
NIEZALEŻNE MEDIA SWS	☒

127.

Przekaż swój **1%** podatku na **STREFĘ WOLNEGO SŁOWA**

DZIĘKUJEMY!

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

GAZETA POLSKA · Gazeta Polska codziennie · niezależna.pl · NOWE PAŃSTWO · GAZETA POLSKA TV · REPUBLIKA · Albicla

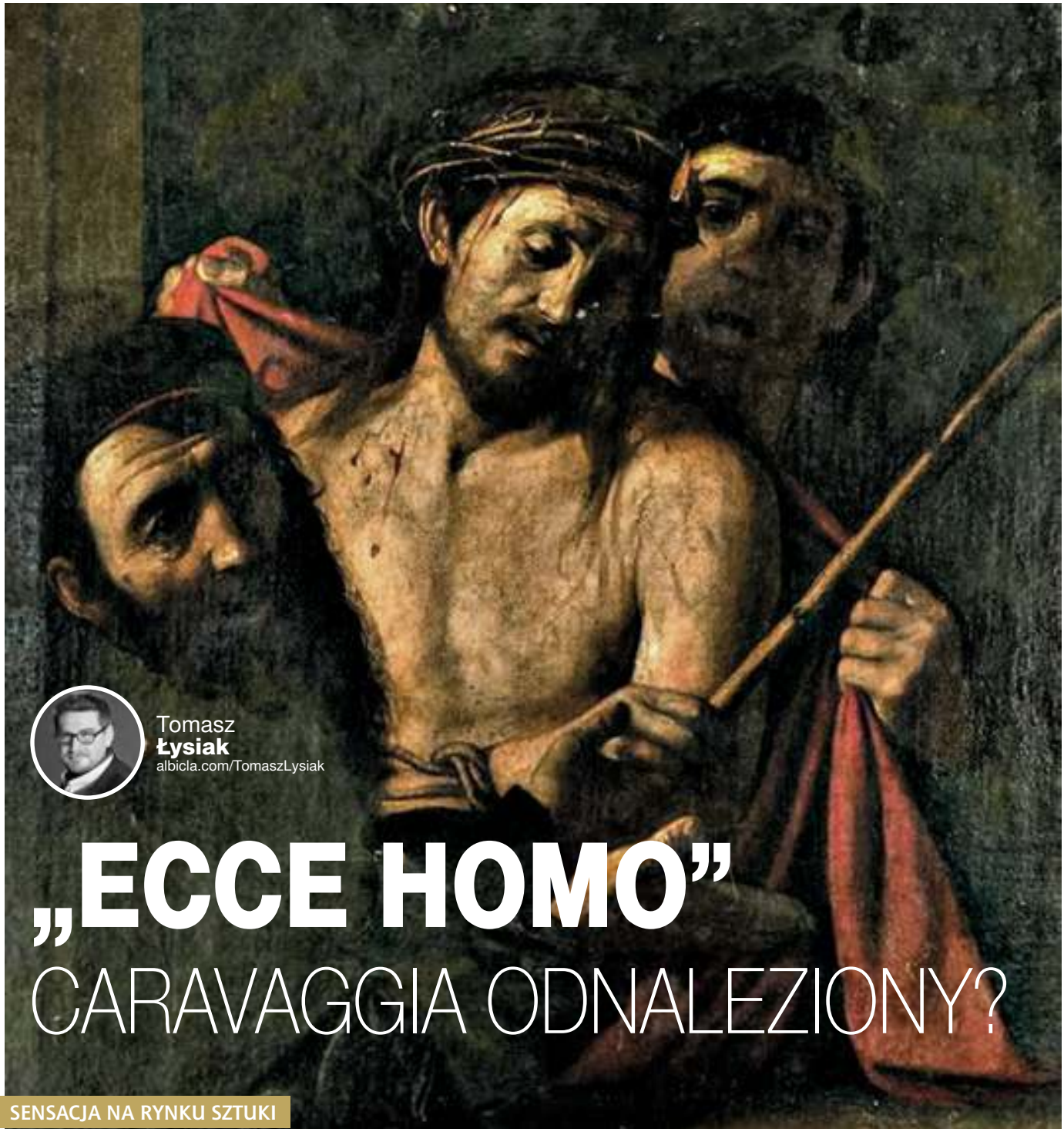

Tomasz
Łysiak
albicla.com/TomaszLysiak

„ECCE HOMO” CARAVAGGIA ODNALEZIONY?

SENSACJA NA RYNKU SZTUKI

Czy w Hiszpanii odnaleziono obraz Caravaggia? W ostatniej chwili, gdy padło podejrzenie, że to właśnie to dzieło kryje się za opisywanym w katalogu obrazem przypisanym uczniowi Ribery, dom aukcyjny Ansorena z Madrytu wycofał obiekt z aukcji. Włoski historyk sztuki Vittorio Sgarbi ujawnia szczegóły, podaje powody atrybucji, włoska prasa pisze o sprawie na czołówkach gazet, a tajemniczy właściciel... pewnie zastanawia się, za jaką kwotę teraz obraz sprzedać...

FOT. ARCHIWUM

To prawdziwa bomba na rynku sztuki. I swego rodzaju „giallo" („żółtym" nazywają Włosi historie kryminalne lub mające posmak sensacyjności). W czwartek 8 kwietnia, o godzinie 18, rozpoczęła się w Madrycie aukcja nr 409. W katalogu aukcyjnym pośród 1483 dzieł znalazło się jedno, które wzbudziło wielkie poruszenie wśród znawców sztuki na całym świecie. Hiszpanie w ostatniej chwili wycofali „Ecce Homo" z aukcji. Wszystko za sprawą włoskiego specjalisty Vittorio Sgarbiego, który gdy spojrzał na obraz wystawiony pod numerem 229 „La coronación de espinas" z „kręgu José de Ribery" (cena wywoławcza 1500 euro), nie miał wątpliwości – to Caravaggio. Czy tak jest w istocie? Inni eksperci, między innymi przywoływana przez dziennik „La Repubblica" specjalistka od Merisiego (tak brzmi prawdziwe nazwisko Caravaggia) Maria Cristina Terzaghi, także wskazują na tę atrybucję. Są też jednak głosy przeciwne.

Nie miałem wątpliwości

Wszystko zaczęło się od tego, że do Vittorio Sgarbiego odezwał się jego przyjaciel Antonello di Pinto, który na co dzień żyje między Lavello a Madrytem. Napisał on do Sgarbiego, że jakiś „magnat antykwariuszy" chce nabyć ten obraz za znaczącą sumę, co go zaintrygowało, więc postanowił sprawdzić dlaczego. Zaczął się przyglądać obrazowi nr 229 i doszedł do wniosku, że może to być „Mattia Preti lub inny malarz rzymski z około 1630 roku", po czym dodał: „Ale ja to ja, a to ty jesteś największym autorytetem w tej materii. Powiesz mi może, tak dla rozrywki, co o tym myślisz? Gdyby ów »magnat« kupił obraz, byłbyś gotów do wystawienia ekspertyzy? Oczywiście, że nazwisko malarza wymaga jednocześnie ekspertyzy Sgarbiego…". Podobno tajemniczy nabywca trząsł się z emocji, chcąc zdobyć dzieło. Gdy włoski historyk sztuki spojrzał na zdjęcie widoczne w katalogu, natychmiast zrozumiał dlaczego… Tak napisał w „Il Giornale": „Nie miałem wątpliwości. Nie chodzi o Mattia Pretiego ani o mistrza rodzaju Bartolomeo Manfrediego albo de Ribery, ani o kogokolwiek z »ortodoksów« kręgu Caravaggia, lecz… o niego samego. Caravaggio. Bez dwóch zdań. Uczucie jest natychmiastowe i wypływa z absolutnego uproszczenia obrazu oraz z jego brutalności – natychmiast czuć różnicę między »Ecce Homo« z Gallerii di Palazzo Bianco w Genui" (ten obraz, do czwartku 8 kwietnia 2021 roku, uważano za dzieło Caravaggia, notabene w otoczce wątpliwości).

Piłat oddaje Chrystusa ludowi

Obraz Caravaggia „Ecce Homo" ma swoją dobrze udokumentowaną historię. Wiadomo, że Michelangelo Merisi namalował go w 1605 roku na zlecenie kardynała Massimo Massimi. Dzieło znalazło się w 1631 roku w spisie inwentarzowym kolekcji Juana de Lezcano, ambasadora Hiszpanii przy Stolicy Apostolskiej, i zostało wycenione wówczas na wysoką kwotę 800 skudów. Nadal jednak znajdowało się na terytorium Italii, a konkretnie w Neapolu: wpisane w inwentarz dóbr Garcii de Avellanda y Haro, księcia Castrillo i wicekróla Neapolu od listopada 1653 do 11 stycznia 1659 roku. Opis był następujący: „Obraz Ecce Homo na pięć dłoni wielkości z żołnierzem i Poncjuszem Piłatem, który oddaje Chrystusa ludowi". Sam książę Castrillo, zaufany króla Hiszpanii Filipa IV, był w drugiej połowie XVII wieku znawcą i kolekcjonerem dzieł sztuki, zapewne admiratorem Caravaggia. Dowodem na to może być fakt, że posiadał inny jego obraz, a mianowicie „Salome z głową Jana Chrzciciela", co razem z „Ecce Homo" stanowiło swego rodzaju komplet. Oba dzieła powędrowały wraz ze swoim właścicielem do Hiszpanii w 1659 roku. Pierwsze z nich było w 1666 roku w rękach królewskich, a wreszcie trafiło do muzeum w Prado (gdzie znajduje się do dzisiaj, wraz z innym Caravaggiem – „Koronowanie koroną cierniową"). Losy drugiego obrazu nie były znane aż do teraz, gdy nagle stał się on obiektem pożądania kolekcjonerów i samego muzeum madryckiego.

> Już nie 1500 euro, lecz 150 mln euro może kosztować „Ecce Homo" mistrza Michelangelo Merisiego detto Caravaggio.

„To on!" – obwieściła Terzaghi

Co pozwala przypisać atrybucję Caravaggia obrazowi, który wyceniono na 1500 euro jako cenę wyjściową, a szacowaną końcową podano jako 2250–3000 euro? Sgarbi podaje wręcz samo pierwsze wrażenie, a nawet porównanie z obrazem z Genui – o ile genueńska wersja jest teatralna, w jakiejś mierze nieprawdziwa, o tyle tu mamy typową dla Caravaggia brutalność i prawdę. A do tego dochodzą charakterystyczne znaki, styl – widać to choćby po sposobie, w jaki pięść zaciska się na płótnie, widać to w twarzy Piłata czy w cieniu na twarzy Chrystusa. Podobnie argumentuje Maria Cristina Terzaghi, wskazując na podobieństwa z innymi obrazami. Twarz Piłata bardzo przypomina oblicze św. Piotra męczennika z „Madonny różańcowej", zaś czerwony materiał płaszcza Chrystusowego odmalowany jest identycznie jak na płótnie „Salome", zresztą właśnie z muzeum Prado. Według niej nie może być wątpliwości: „To dzieło ma głęboki związek z obrazami namalowanymi na początku pobytu Caravaggia w Neapolu". Terzaghi wybrała się, pomimo pandemii, do Madrytu, by na własne oczy przekonać się, z czym mamy do czynienia. „To on!" – obwieściła bez żadnego wahania. Nie wszyscy jednak zgodnym chórem potwierdzają wersję Sgarbiego czy Terzaghi. Znakomity badacz malarstwa neapolitańskiego z XVII wieku Nicola Spinosa nie zgadza się z taką atrybucją. Mówi, że istnieje podobieństwo z „Koronacją" z Prado, owszem, lecz obraz jest w istocie dziełem z kręgu Caravaggia, być może kogoś o „lepszej ręce" niż Ribera.

150 milionów euro

Vittorio Sgarbi twierdzi, że kiedy rozpoczął starania, by obraz kupić dla Włoch, i poinformował, że będzie brał udział w aukcji, antykwariusz, który dzieło wystawił, niespodziewanie je wycofał. „La Repubblica" pisze, że to za sprawą decyzji rządu Hiszpanii, który nakazał takie rozwiązanie, zaś chrapkę na kolejne wielkie dzieło mistrza ma oczywiście muzeum Prado w Madrycie. Inna wersja głosi, że to sam właściciel wycofał dzieło z aukcji, obawiając się, że jeśli cena pójdzie zbyt wysoko, jego sprzedaż za granicę zostanie zablokowana. A teraz cena skoczyła niebotycznie w górę. Już nie 1500 euro, lecz 150 mln euro może kosztować „Ecce Homo" mistrza Michelangelo Merisiego detto Caravaggio. **GP**

ZACISZE MELOMANA

★★★★★★

CZARODZIEJ HAMMONDA

Dr Lonnie Smith, BREATHE
Blue Note Records

Gdy nastoletni Lonnie Smith po raz pierwszy usłyszał organy Hammonda, odkrył w nich całe bogactwo dźwięków, a podarowany mu przez sprzedawcę z Buffalo instrument nie mógł trafić pod lepszy adres. W latach 60. muzyk dołączył do zespołu gitarzysty George'a Bensona, by wkrótce rozpocząć już solową karierę. Album „Breathe" to zapis fragmentów koncertu zarejestrowanego w nowojorskim „The Jazz Standard", na którym Smith świętował swoje 75. urodziny. Perkusję i gitarę wzbogaciła tu sekcja dęta, choć na pierwszym planie wciąż pozostaje magiczny dźwięk Hammonda. Perełką są dwa utwory nagrane z gwiazdą rocka Iggy Popem, w tym rewelacyjne „Sunshine Superman".

★★★★★★

INSPIRACJE PARYSKIE

Hilary Hanh, PARIS
Deutsche Grammophon

Ciekawe, choć nieoczywiste inspiracje paryskie, łączą najnowsze nagrania trzykrotnej laureatki Grammy, amerykańskiej skrzypaczki Hilary Hahn. Album otwiera „Poemat na skrzypce i orkiestrę" Ernesta Chaussona oraz bardziej znany koncert skrzypcowy Siergieja Prokofiewa, powstały wprawdzie w czasie gorących wydarzeń rewolucyjnych w Rosji, ale mający premierę kilka lat później, w Paryżu, w 1926 roku. Emocji nie brakuje także w napisanych specjalnie dla Hahn Serenadach Einojuhaniego Rautavaara. Solistce towarzyszy znakomita Orchestre Philharmonique de Radio France pod batutą Mikko Francka.

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { HISTORIA }

Marcin **Wolski** proponuje

★★★★★★

Papierowe królestwo

„BIBLIOTEKA SZALEŃCA"

Edward Brooke-Hitching
REBIS, POZNAŃ 2020

Czy jestem bibliofilem? Raczej pospolitym molem książkowym. Podobnie Edward Brook-Hitching, autor „Biblioteki szaleńca", nazwał się tym szaleńcem na wyrost, a w istocie jest kolekcjonerem osobliwości. Znajdziemy w tym dziele opisane książki, które nie były książkami sensu stricto, lecz stanowiły przekaz ryty w kamieniu, glinie, na złotych tabliczkach, malowany na naczyniach czy tatuowany na ludzkiej skórze. Równie fascynujący był środek, którym się posługiwano – szczególne miejsce zajmuje tu ludzka krew. Całkiem niedawno, na swoje 60. urodziny, Saddam Husajn, dyktator Iraku, nakazał sporządzić egzemplarz Koranu pisany jego własną krwią. Bywały księgi pisane atramentem sympatycznym, choć częściej zdarzały się dzieła po prostu szyfrowane. Szyfrował swoje teksty Juliusz Cezar, zaszyfrował pamiętniki w XVII wieku imć Samuel Pepys, a Leonardo da Vinci posługiwał się pismem lustrzanym. Czasem kod ograniczał się do użycia nieznanego języka, i wprawdzie hieroglify odczytano, ale już dysku z Fajstos (pismo linearne A) już nie. Sporo miejsca poświęca autor literackim mistyfikacjom, choć nie mówi o najsłynniejszej z nich, jaką były „Pieśni Osjana", i najbardziej znaczącym dziele w dziejach ludzkości – „Protokołach mędrców Syjonu". Nie mniej frapujące są opowieści o dziwacznych kolekcjach, leksykonach i dziełach dotyczących zjawisk nadprzyrodzonych, magii, alchemii, cudów czy demonologii. Oczywiście w zestawie nie zabrakło ksiąg największych (jak Biblia o wadze 75 kilogramów) i najmniejszych (2,5 mm na 3 mm), a także o najgłupszych tytułach, jak choćby „Kamienie milowe w historii betonu". Rzecz dla koneserów! **GP**

MIX Kulturalny

naucz się

PRZECHOWYWAĆ JEDZENIE

„Zbierz, przechowaj, zjedz" Johannesa Watterbacka i Theres Lundene to cenny poradnik uczący nas, jak przechowywać żywność, by nie traciła świeżości. Jak się okazuje, nie potrzeba kilku lodówek ani ziemnej piwniczki, tylko trochę sprytu…

sprawdź

CZY BĘDZIE OSCAR

Polacy trzymają kciuki za Dariusza Wolskiego, polskiego operatora nominowanego do Oscara za zdjęcia do filmu z Tomem Hanksem pt. „Nowiny ze świata". Gala odbędzie się 25 kwietnia i będzie to już 93. edycja słynnej filmowej imprezy.

★★★★★★

Państwo Smutni i wojna gangów

Czwarty sezon „Fargo" każdy szanujący się miłośnik tego serialu powinien obejrzeć. Ale nowicjuszów zdecydowanie odsyłam do jego pierwszej części.

„FARGO", CZWARTY SEZON

USA, 2020
Twórca: Noah Hawley

Krzysztof **Wołodźko**

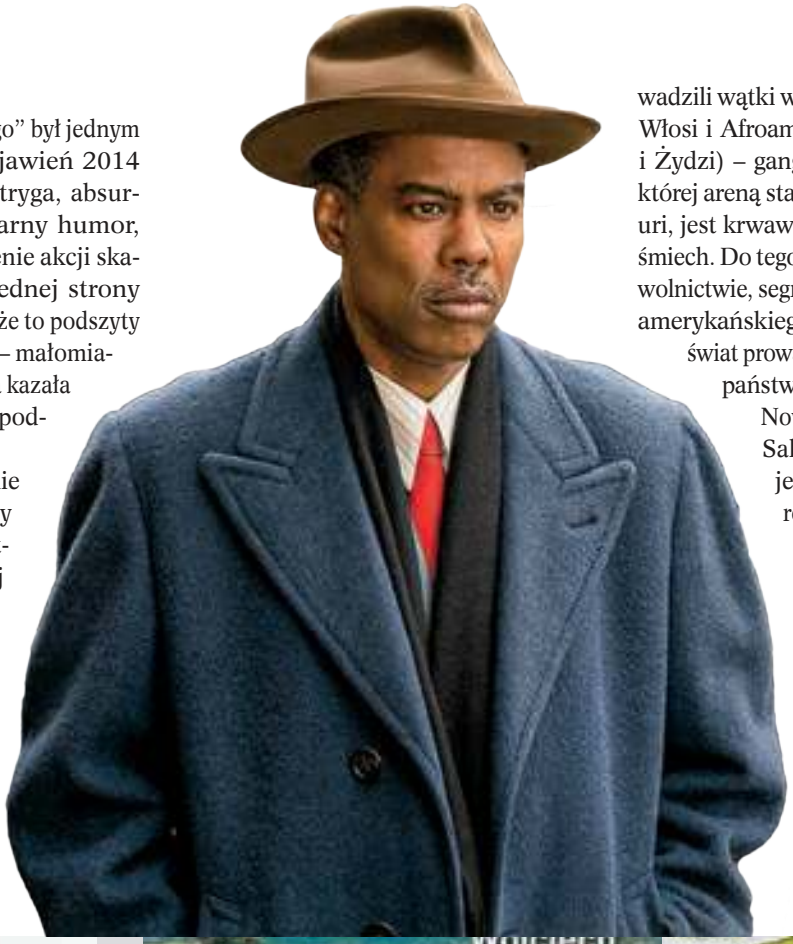

Pierwszy sezon „Fargo" był jednym z serialowych objawień 2014 roku. Misterna intryga, absurdalny, zwykle czarny humor, genialne prowadzenie akcji skazały serial na sukces. Z jednej strony widzowie mieli świadomość, że to podszyty groteską kryminał, z drugiej – małomiasteczkowa, amerykańska aura kazała pytać: czy tak nie wygląda podszewka świata?

Kolejne sezony „Fargo" nie dorównały pierwszemu – gdy widz spodziewa się, że wszystko może go zaskoczyć, trudniej o ekscytujące triki. To chyba największy kłopot z tego rodzaju hitami – im większe przynoszą nam zaskoczenie na początku, tym łatwiej padają ofiarą gry własną konwencją.

Twórcy czwartego sezonu zagrali ryzykownie. Wprowadzili wątki w duchu Black Lives Matter. Włosi i Afroamerykanie (a w tle Rosjanie i Żydzi) – gangsterska wojna 1950 roku, której areną stało się Kansas City w Missouri, jest krwawa, ponura i budzi nerwowy śmiech. Do tego dostajemy opowieści o niewolnictwie, segregacji rasowej i kłamstwach amerykańskiego snu. Przez tak ukazany świat prowadzi nas czarno-biała rodzina państwa Smutnych.

Nowy sezon ma swoje smaczki. Salvatore Esposito, który gra jedną z głównych mafijnych ról w „Gomorze" – w „Fargo" pojawia się jako Gaetano Fadda, nieobliczalny mafioso ze „starego kraju", utrapienie dla brata, który stara się rządzić „włoską rodziną" w Kansas City. Znakomita jest też Jessie Buckley w roli Oraetty Mayflower, pielęgniarki jak spod pióra Stephena Kinga. **GP**

FOT. MAT. PRAS., PIXABAY, FACEBOOK.COM/THELOVESHOWNYC,

posłuchaj

CAŁEGO CHOPINA

„Chopin. Utwory solowe i z orkiestrą" – Tatiana Shebanova to wydawnictwo płytowe z niemal wszystkimi dziełami mistrza. Shebanova, nieżyjąca już laureatka X Konkursu Chopinowskiego, choć była Rosjanką, mieszkała na stałe w Polsce.

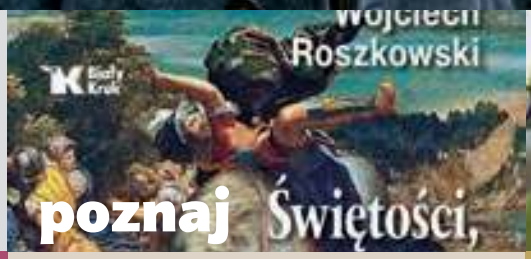

poznaj

HISTORIĘ CHRZEŚCIJAŃSTWA

Obecny kryzys jest zwiastunem upadku chrześcijaństwa – mówi W. Roszkowski, który w dwóch tomach opisuje historię tej religii. Pierwszy tom „Świętości, upadki i nawrócenia" do nabycia na sklep.gazetapolska.pl lub pod nr tel. 722 111 655.

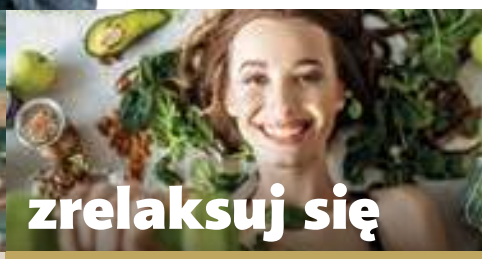

zrelaksuj się

Z „NIECODZIENNĄ GAZETĄ POLSKĄ"

Do weekendowego wydania „Gazety Polskiej Codziennie" dołączony jest magazyn „Niecodzienna Gazeta Polska". Na łamach dodatku m.in. Niecodzienna Lista Przebojów, cykl tekstów z dziedziny medycyny naturalnej i... doniesienia nt. UFO.

HENRYK POBOŻNY

OBROŃCA CHRZEŚCIJAŃSTWA

780. ROCZNICA BITWY POD LEGNICĄ

Niektórzy stawiali tę bitwę obok batalii Sobieskiego pod Wiedniem czy zwycięstwa Piłsudskiego nad bolszewikami w roku 1920. Inni doszukiwali się wątków sensacyjnych – sugerując, że Mongołowie użyli „gazów bojowych". W świetle przypadającej w tym roku 780. rocznicy bitwy pod Legnicą najsilniej wybrzmiewa jednak sprawa męczeńskiej śmierci księcia Henryka Pobożnego i jego wyniesienia na ołtarze.

Tomasz **Łysiak**
SZEF DZIAŁU HISTORIA
albicla.com/TomaszLysiak

Poświęciłem rodzinie śląskich Henryków dobrych kilka lat życia – przygotowując się najpierw do pisania powieści z okresu pierwszego najazdu tatarskiego, a potem uczestnicząc w założeniu w Legnicy Bractwa Henryka Pobożnego – stowarzyszenia, które pielęgnuje pamięć o księciu i jego małżonce Annie, a także prowadzi działalność wspierającą wyniesienie książęcej pary na ołtarze.

Fundament moralny

Dlaczego? To jedno z zasadniczych pytań, jakie postawić można, gdy myśli się o bohaterach przeszłości – co nimi kierowało, co powodowało, że przyjmowali taką, a nie inną postawę, że wybierali taką, a nie inną drogę życiową? Właściwie za każdym razem, gdy usiłuję odpowiedzieć sobie na pytanie, skąd fascynacja epoką, postacią, armią – wszystko sprowadza się do tego samego – odnalezienia podstawy fundamentu moralnego. Dlaczego książę Józef Poniatowski szedł do końca z Napoleonem? Dlaczego szwoleżerowie trwali przy Cesarzu aż do jego śmierci? Dlaczego powstańcy styczniowi, nie mając ku temu wielu racjonalnych podstaw, mimo wszystko chwycili za broń, bili się z Moskalami, choć już na wstępie było wiadomo, że to walka z góry przegrana? Dlaczego Romuald Traugutt był wierny krzyżowi aż do końca, aż do ostatniego pocałunku krucyfiksu pod szubienicą na stokach Cytadeli? Z jakiego powodu Piłsudski całe swoje życie, od dziecka aż do śmierci, poświęcił Polsce? Dlaczego młodzi Strzelcy poszli z nim na bój? Dlaczego bili się nasi chłopcy pod Monte Cassino? Co stało za tym, by po 1945 roku, bez najmniejszych szans na zwycięstwo, nadal trwać w oporze wobec Sowietów, ubeków i całej reszty komunistycznych oprawców? Takie same pytania postawić można, gdy myślimy o księciu Henryku i jego postawie w roku 1241. Co spowodowało, że postanowił walczyć z Tatarami? A bił się przecież nie tylko o piastowskie ówczesne ziemie (we współ-

FOT. WIKIPEDIA

ŚMIERĆ HENRYKA POBOŻNEGO

Jan Długosz przekazał, że książę walczył do końca na polu bitwy, został ugodzony w bok tatarską dzidą i zginął chwalebnie, broniąc się do ostatka z garstką rycerzy.

czesnym rozumieniu „za Polskę"), ale o cały chrześcijański świat.

Rozbić polskie oddziały

Uderzenie skierowane na Polskę było jedynie częścią większego planu strategicznego – podbicia Europy. Wojska Batu-chana idące na Węgry stanowiły główną siłę. Na południe, w stronę Bałkanów, poruszała się odrębna jednostka mongolska, a trzeci „cios" był wyprowadzony na ziemie piastowskie – tu głównodowodzącym był potomek Dżyngis-chana, Ordu, któremu w operacjach wojskowych pomagał Bajdar. Na teren Sandomierszczyzny Tatarzy wkroczyli zimą 1240/1241. To zresztą była jedna z zaskakujących dla Europy metod prowadzenia walki – właśnie zimą, gdy rycerstwo chowało się po zamkach i grzało przy ogniu, ani myśląc w takich warunkach prowadzić jakiekolwiek działania. Opowieść o bitwie pod Legnicą trzeba zawsze zaczynać od tego, kto tak naprawdę uderzył na ówczesne ziemie polskie i dlaczego. Armia mongolska w XIII wieku stanowiła niezwykle sprawne narzędzie wojenne – nowoczesnymi metodami i sposobem myślenia wykraczające daleko poza ówczesne, obowiązujące w europejskim świecie, standardy. By użyć przemawiającego do wyobraźni porównania – trochę tak, jakby na dziewiętnastowieczne (w sensie uzbrojenia i technik walki) europejskie państwa uderzyły pancerne zagony Hitlera – tak znaczna była różnica w technice, mobilności czy sile ognia.

Powód był jasny – ze strategicznego punktu widzenia chodziło Mongołom o zablokowanie możliwości przyjścia z pomocą Węgrom. Ordu miał powstrzymać Polaków przed reakcją. Nie zamierzał więc na stałe zdobywać miast, miał jedynie palić, plądrować, pustoszyć, brać jeńców i łupy oraz wymordować tyle ludności, ile się da, a także – co ważne – rozbić polskie oddziały.

Nowoczesna armia mongolska

Jak wyglądała machina wojenna Tatarów? Wojnę w państwie mongolskim prowadziła wyspecjalizowana grupa społeczeństwa, czyli żołnierze. Szkolono ich od dziecka w akademii wojennej, gdzie opanowywali perfekcyjną jazdę konną, strzelanie z łuku,

uczyli się też taktyki i strategii. Armia wzorowana była na rzymskim systemie dziesiętnym i w pewnej mierze można ją porównywać do legionów z czasów starożytnego Rzymu – istniał podział na „dziesiątki", „setki", „tysiące" i „legiony". Mongołowie mieli stopnie wojskowe, a nawet dystynkcje, system komend i dowodzenia, system stawiania obozów, a także specjalnie skonstruowany system formacji, zmienianych w zależności od potrzeby – w marszu czy na polu walki. Sygnaliści przekazywali (za pomocą chorągwi i strzał dźwiękowych) rozkazy i wojsko natychmiast zmieniało ustawienie. Każdy wojownik miał co najmniej dwa świetnie wyszkolone konie oraz dwa łuki – jeden do strzału na bliską odległość, drugi do ostrzału na dystans. I tak dalej, i tak dalej – reasumując: to, co wjechało z impetem na tereny ówczesnej Polski, to nie była zgraja dzikusów, ale znakomicie zorganizowana i brutalna armia. Armia z piekła rodem, armia okrutna – do środków walki należało bowiem wyrzynanie wszystkich, którzy ośmielą się stawić opór, stosowanie okrutnych tortur. Smutny los czekał pokonanych. Tych, których nie zabito, odsyłano na stepy jako niewolników.

Zły znak

Bitwa pod Legnicą rozegrała się 9 kwietnia 1241 roku. Zanim do niej doszło, echa krwawych starć pod Turskiem i Chmielnikiem docierały do księcia Henryka. Władca śląski postanowił czekać na wroga w najlepszej wówczas twierdzy – legnickiej. Tam gromadził siły, by walczyć z najeźdźcą. Słał listy do chrześcijańskiego świata z prośbą o pomoc. Nadciągnęli w niewielkiej liczbie krzyżowcy, a także Krzyżacy pod wodzą Mistrza Krajowego Poppona von Ostern. Byli też górnicy ze Złotoryi, ochotnicy przybywający na wezwanie księcia, którymi, wraz z krzyżowcami, dowodził Bolesław Dypoldowic. Oraz hufce wojska polskiego – sandomierskiego, krakowskiego i wielkopolskiego pod wodzą Sulisława, a także hufiec Opolczyków pod wodzą Mieczysława.

Gdy rankiem 9 kwietnia, po Mszy świętej w kościele mariackim, książę Henryk wyruszał na spotkanie z wojskami czeskimi Wacława I, wiatr zerwał dachówkę, która rozbiła się obok kopyt jego konia. Szmer poszedł wśród ludzi, że to zły znak. Tuż pod Legnicą, w miejscu zwanym Dobrym Polem, wojsko polskie zaskoczyli Mongołowie. Udało się jednak zorganizować szyki bitewne. Książę Henryk II ustawił swój odwód złożony z doborowego rycerstwa dolnośląskiego na wzgórku i stamtąd dowodził. Po drugiej stronie na wzgórku stanął Ordu i jego świta.

Przed bitwą Henryk Pobożny wygłosił do swego wojska mowę, rycerstwo zaśpiewało „Te Deum" – łaciński znak, symbol tego, że oto bitwę ze wschodnim najeźdźcą toczą połączone wojska polskie i europejskie, że obok wojów z Krakowskiego czy Wielkopolski do walki stają krzyżowcy i rycerze Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego.

To, co wjechało z impetem na tereny ówczesnej Polski, nie było zgrają dzikusów, lecz znakomicie zorganizowaną i brutalną armią bezlitosnych Mongołów.

Długoszowa kronika

Kilka razy zmieniała się w bitwie sytuacja, przechylając szalę zwycięstwa na jedną lub drugą stronę. W pewnej chwili, gdy wzdłuż rycerstwa opolskiego przejechał konny krzycząc: „Bieżajcie! Bieżajcie!", cały ów polski hufiec, nie widząc w pyle i zamieszaniu, co się dzieje, uwierzył okrzykowi i… uciekł. Prawdopodobnie był to podstęp Mongołów.

Gdy wydawało się, że zwycięstwo przechyla się na stronę tatarską, do ataku ruszył sam Henryk ze swoją jazdą. Tatarzy zaczęli uciekać i… Tu zaczynają się dwie zasadniczo różniące się między sobą, znane nam, narracje dotyczące dalszych wypadków. Jedna z nich jest zgodna z kroniką Długosza. Nasz dziejopis, notabene, właśnie w usta Henryka włożył – jak chce wielu – pierwsze zapisane w kronikach zdanie po polsku: „Gorze szą nam stało" (czyli „źle się nam stało") . W każdym razie według Długosza wtedy właśnie doszło do dziwnego zjawiska dymnego, które później interpretowano jako „atak gazowy". Kronikarz przekazał, że książę walczył do końca na polu bitwy, został ugodzony w bok tatarską dzidą i zginął chwalebnie, broniąc się do ostatka z garstką rycerzy. Kwestia samego „ataku gazem" to obszerny temat na inny artykuł – dość wspomnieć, że według brytyjskich opracowań, opartych znowu na źródłach perskich z owego okresu, wynika, iż Tatarzy często stosowali nie „gaz", lecz klasyczną zasłonę dymną, by schować się za nią w krytycznym momencie i ratować jakimś manewrem.

Męczeńska palma

Inną wersję śmierci Henryka i końca bitwy przekazuje zapis mnicha, który ukrył się pod pseudonimem C.de Bridia – to relacja, jaką z wydarzeń pod Legnicą zdobyli od samych Tatarów franciszkanie w 1245 roku, w trakcie wizyty w Kara-Korum. Nasz Benedykt Polak i Giovanni da Pian del Carpine wysłuchali bowiem wersji wroga. Po pierwsze, wynikało z niej, że faktycznie uderzenie Henryka mogło przechylić szalę na polską stronę, a tatarskie wojska rzeczywiście (a nie w sposób pozorowany) rzuciły się do ucieczki. A po drugie – co niezwykle istotne – franciszkanie dowiedzieli się o okolicznościach śmierci Henryka. Nie doszło do niej na polu bitwy, lecz w obozie Ordu, który nakazał Henrykowi, by ten oddał hołd poległemu mongolskiemu wodzowi. Następnie Tatarzy ścięli księciu głowę. Zginął za wiarę, za chrześcijańskie uniwersum, do końca bijąc się z najeźdźcą ze Wschodu. Jednak nie doczekał szybkiej kanonizacji – Kościół najpierw wyniósł na ołtarze jego matkę św. Jadwigę. Jeszcze długo wizerunki Henryka ozdabiano męczeńską palmą. Teraz czekamy, aby w diecezji legnickiej rozpoczął się proces beatyfikacyjny, dzięki któremu Polska zyskałaby w gronie świętych i błogosławionych nową piękną postać-symbol. **GP**

niedziela
w samo południe
12:00

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

Fiatem, „Batorym" czy Lux-torpedą?

Z „GAZETĄ POLSKĄ" KU NOWOCZESNOŚCI

Po odzyskaniu niepodległości na żelaznych szlakach II RP obok zwykłych pociągów zaczęły kursować zadziwiające swą prędkością Lux-torpedy, na szosy wjechały pierwsze samochody rodzimej konstrukcji – Ralf Stetysz i CWS T-1, a potem produkowany w kraju na włoskiej licencji Fiat 508. Na morza wypłynęły potężne polskie transatlantyki – „Piłsudski", „Batory" i „Sobieski", a w powietrze wzbiły się pierwsze samoloty polskiej konstrukcji – RWD. O tym niepowstrzymanym pędzie ku nowoczesności dowiadujemy się z nieprzeliczonych stronic międzywojennej „Gazety Polskiej", z której wyłania się obraz II RP jako kraju wynalazców, inżynierów i uczonych, przeobrażających jej oblicze śmiałą myślą i wytężoną pracą.

Agnieszka **Kowalczyk**

Powojenny stan kolei w Polsce nie napawał optymizmem. „Rozbite szyby zastąpione kawałkami dykty lub tektury, ściany i ławki brudne i zniszczone, […], drzwi chronicznie zacinające się lub niedomykające, ogrzewanie popsute, umywalnie stale bez wody – tak przedstawiał się »wzorcowy« wagon osobowy […], kiedy wydzieraliśmy szczupły i zniszczony tabor z rąk okupantów" – wspominał w „Gazecie Polskiej" Henryk Kleinert („GP" 11 XI 1938). Godny pożałowania widok przedstawiały też wyeksploatowane tory kolejowe, zużyte szyny i złącza grożące w każdej chwili pęknięciem, popalone stacje i magazyny oraz tysiące prowizorycznie naprawionych mostków, które groziły zawaleniem.

Od zużytych szyn do Lux-torpedy

Wbrew wszelkim trudnościom w okresie międzywojennym udało się przeprowadzić około 2500 kilometrów nowych linii komunikacyjnych, mających na celu zespolenie trzech odrębnych, pozostałych po rozbiorach, systemów kolejowych w jeden sprawny i integrujący różne regiony kraju. Polska kolej mogła się poszczycić m.in. otwarciem w 1933 roku wielkiej magistrali węglowej Śląsk–Bałtyk. Była to największa i najnowocześniejsza inwestycja transportowa II RP, która zespalała Górny Śląsk z centrum kraju i portem w Gdyni, a przy tym najdłuższa (ponad 500 kilometrów), jaka powstała w Europie przed wybuchem II wojny światowej. Rozmiary prac były zaskakujące – poprowadzono 20 mln 300 tys. metrów sześciennych torowiska, wyprodukowano 79 400 ton szyn ze złączeniami, a wzdłuż całej trasy wybudowano 42 nowe stacje kolejowe. Dziennikarzowi „Gazety Polskiej", jako jednemu z pierwszych pasażerów jadących nową magistralą, udało się wziąć w krzyżowy ogień pytań kierownika budowy, inżyniera Nowkuńskiego, który zdradził mu, jakie przeszkody trzeba było pokonać, aby doprowadzić całą rzecz do końca: „O, widzi pan ten wykop – wskazał ręką, gdy znaleźli się w pobliżu Babiego Dołu w okolicach Gdyni. – Tutaj trzeba było wykopać 419 tys. metrów sześciennych ziemi. Pod Kackiem napotkaliśmy glebę błotnistą, wskutek czego musieliśmy iść z naszymi robotami aż 16 metrów w głąb ziemi, usunąć błoto, na jego miejsce dać dobrą ziemię i na niej dopiero ułożyć 14-metrowy nasyp. Przez kilka miesięcy roboty prowadzono tu dniem i nocą bez przerwy […]" („GP" 5 III 1933).

Pod koniec lat 30, według danych „Gazety Polskiej", posiadaliśmy 5400 parowozów, 12 200 wagonów osobowych i 162 500 towarowych. Widomym symbolem postępu stała się słynna Lux-torpeda, którą można było przejechać z Krakowa do Zakopanego w dwie i pół godziny! Takie miano zdobył w II RP dalekobieżny wagon motorowy przeznaczony do jazdy po górskich szlakach. Pierwszy zakupiono w 1933 roku w austriackiej firmie Austro-Daimler-Puch, a kolejne produkowano w Fabryce Lokomotyw w Chrzanowie. Lux-torpedy zostały tak zaprojektowane, by mogły łatwo wchodzić w ostre łuki o małych promieniach. Miały opływowy kształt, jednakowy przód i tył, a kabiny maszynisty na obu końcach pojazdu. Mogły rozwijać ogromną jak na owe czasy prędkość 120 km/h, przenosząc w przestrzeni 72 pasażerów. Do samego wybuchu wojny po zakopiańskiej trasie mknęło ich osiem, a w sierpniu 1939 roku pędziły też na linii Poznań–Warszawa, po-

Transatlantyk „Batory" przy molo pasażerskim w Barcelonie, 1936

FOT. NAC

konując 300-kilometrową odległość w trzy godziny i osiem minut. Lux-torpedę prześcignął w 1934 roku inny motowagon, który wyszedł z fabryki Hipolita Cegielskiego i był w stanie osiągnąć prędkość 130 km/h. W chrzanowskiej fabryce skonstruowano natomiast pospieszny parowóz Pm36-1 z opływową, aerodynamiczną otuliną, który zdobył złoty medal na Światowej Wystawie w Paryżu, a podczas prób prędkościowych w Niemczech przekroczył szybkość 150 km/h.

Władcy oceanów

Po wybiciu się na niepodległość Polska musiała od podstaw tworzyć swoją flotę morską. W roku 1920 największą jednostką pływającą pod ojczystą banderą był 12-metrowy kuter rybacki „Gwiazda Morza", do którego jeszcze w tym samym roku dołączył trójmasztowy żaglowiec „Lwów". Sześć lat później minister przemysłu i handlu Eugeniusz Kwiatkowski powołał do istnienia przedsiębiorstwo krajowe Żegluga Polska, które w swych początkach dysponowało pięcioma frachtowcami o nazwach „Katowice", „Kraków", „Poznań", „Toruń" i „Wilno" oraz czterema statkami pasażerskimi kursującymi na szlaku Gdynia–Hel–Sopot–Gdańsk. Żegluga Polska pod auspicjami budowniczego okrętów, inż. Juliana Rummla, rozwijała się intensywnie – zakupiono trzy nowe statki przybrzeżne oraz okazałe jednostki towarowe – „Wisłę" i „Niemen". Polacy spełnili też swoje wielkie marzenie o otwarciu własnej linii transatlantyckiej wiodącej z Gdyni do Nowego Jorku z supernowoczesnymi transatlantykami – „Piłsudskim", „Batorym", „Chrobrym" i „Sobieskim".

Chrzest polskiego kolosa nad Adriatykiem

O pamiętnym wydarzaniu spuszczenia „Batorego" na wody Adriatyku opowiada korespondent „Gazety Polskiej", który na początku lipca 1935 roku zawitał do włoskiego Monfalcone, gdzie rodził się ów stalowy olbrzym. W warsztatach stoczni Cantieri Riuniti dell'Adriatico „ani śladu senności Południa" – tylko wrzawa i ruch, „huk i szum maszyn, młotów, kolosalnych dźwigów". Wszystkim udziela się atmosfera napięcia i oczekiwania, bo raptem za kilka godzin, o jedenastej w południe, „Batory" zanurzy się w morskich odmętach („GP" 6 VII 1935). Już teraz zdaje się jakimś mocarzem i władcą oceanicznych przestrzeni: „Rdzawoczerwony olbrzymi kadłub, z wysoko unoszącym się dziobem i rufą, wiszącą u skraju wody. Na dziobie herb ze stylizowanych skrzydeł husarskich. Na kadłubie powiewa już polska bandera i barwne kwiecie gali flagowej. […] Ciężar burt, wiszących kilkanaście metrów nad nami, przygniata swoją potęgą […], białe napisy »Batory« napawają nas dumą" („GP" 6 VII 1935).

Nadchodzi moment rozpoczęcia uroczystości. Całe ekipy przystępują teraz do burzenia rusztowań, rozbijają w proch stosy desek krępujących morskiego kolosa. Przed jego dziobem, na wysokości piętrowego domu, wznosi się trybuna oczekująca na honorowych gości. Na czele delegacji polskiej stoi matka chrzestna okrętu, Jadwiga Barthel de Weydenthal – zasłużona działaczka niepodległościowa, która powie: „Dziś flota polska wzbogaciła się o nowy statek. Będzie on się nazywał »Batory« i wspólnie ze swoim starszym bratem imieniem »Piłsudski« będzie miał zaszczyt roznosić po szerokim świecie sławę Rzeczypospolitej…". Z drżących rąk dyrektora włoskiej stoczni matka chrzestna bierze srebrną siekierkę, którą za chwilę wprawi w ruch gigantyczny kadłub trans-

Polski parowóz Pm36-1, nazwany „Piękną Polką”, zdobył Grand Prix na Paryskiej Wystawie Sztuki i Techniki (1937)

atlantyku. „Krótki błysk srebra, ledwo dostrzegalne uderzenie po druciku. […] I w tejże chwili rdzawy kolosalny dziób zaczyna uciekać w stronę morza. […]. Orkiestra gra hymn polski i włoski. Ryczą syreny i gwizdki. Radosne okrzyki tłumów zlewają się z tym wszystkim w jeden wielki hymn pracy i zwycięstwa, hymn okrętu, który odnalazł swój żywioł” („GP” 6 VII 1935). Jadwiga Barthel przekazuje dyrektorowi Towarzystwa Gdynia-Ameryka złoty ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, mającej czuwać odtąd nad pasażerami „Batorego”, który swą służbę będzie pełnił do 1969 roku. W czasie swoich 222 rejsów przewiezie 270 tys. osób, a w trakcie 59 wojennych podróży przetransportuje kolejne 120 tys., nie mówiąc o 75 kursach wycieczkowych z 30 tys. rozradowanych poszukiwaczy morskich przygód. Nic więc dziwnego, że zyskał przydomek „Lucky Ship” – „Szczęśliwy statek”.

„Dar Pomorza” opływa świat

Wśród najsłynniejszych polskich okrętów okresu międzywojennego znalazł się również „Dar Pomorza” – trójmasztowy żaglowiec, zakupiony w 1929 roku dzięki ofiarności polskiego społeczeństwa dla Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni. Przeszedł do historii jako pierwszy polski statek, który opłynął kulę ziemską z udziałem 104 śmiałków pod egidą kapitana Konstantego Maciejewicza (16 IX 1934 – 3 IX 1935).

„»Dar Pomorza« poszedł w podróż naokoło świata” – obwieszczała wszem wobec „Gazeta Polska”, oddając pierwsze wrażenia i pierwsze przeżycia marynarzy, którzy ledwo minąwszy Kopenhagę, przez dziesięć długich dni zmuszeni byli stawać w zapasy z porywistym, wciąż zmieniającym się wiatrem, i lawirować aż do samego Morza Północnego, posuwając się zygzakowatą linią między Anglią, Danią, Niemcami a Holandią. Pokonawszy szczęśliwie kanał La Manche, wypłynęli wreszcie na pełny ocean, skąd rozchodziły się wielkie szlaki na wszystkie strony świata. Zasłużony odpoczynek czekał ich dopiero w porcie Santa Cruz na Wyspach Kanaryjskich („GP” 29 X 1934).

Pod koniec listopada zarzucili kotwicę na styku Stanów Zjednoczonych i Republiki Panamskiej, gotowi do przepłynięcia słynnego kanału oddzielającego obie Ameryki i pokonania trzech śluz ułożonych tarasowato nad poziomem wody. Na jeziorze Gatun spotkali się niespodziewanie z jachtem „Zjawa II”, należącym do polskiego podróżnika, harcerza Władysława Wagnera, który wyruszając przed dwoma laty z Gdyni, dopłynął do Brazylii, a stamtąd do Colon. Ta morska podróż poważnie nadwyrężyła jego stateczek, tak że nie było mowy o kontynuacji eskapady. Wagner nie zaniechał jednak planu okrążenia kuli ziemskiej i po sprzedaży swego wysłużonego druha kupił na wpół zbudowany jacht, własnoręcznie go wykończył i tym dwumasztowcem kontynuował podróż swojego życia, z której relację zamieścił później w „Gazecie Polskiej”. Teraz młode wilczki z „Daru Pomorza” naprawiały i porządkowały jego „Zjawę” – czyściły ją, myły, układały balast, chłonąc morskie opowieści Wagnera i od czasu do czasu zerkając na wygrzewającego się w słońcu potężnego aligatora.

Szlak wodny okrętu wiódł teraz przez Hawaje w kierunku Japonii. Do Jokohamy dopłynęli w pierwszych dniach marca, potem czekała na nich Osaka i Nagasaki, gdzie spotkali się z ojcem Maksymilianem Kolbe. Dalej to już Szanghaj, Hongkong i Singapur, a jeszcze dalej – Indonezja i Australia. Przeskok przez Ocean Indyjski zwiastował tygodniowy odpoczynek w Port Louis na

Polski samochód osobowy Ralf Stetysz

wyspie Mauritius. W drugiej połowie czerwca dobili do afrykańskiej przystani w Durbanie, a następnie, posuwając się wzdłuż Przylądka Dobrej Nadziei, wypłynęli na Atlantyk. W lipcu znaleźli się na Wyspie św. Heleny, by potem po przecięciu równika zamknąć wreszcie tę okołoziemską pętlę. Sierpień to powrót na wody Europy, a w końcu i na wody ojczystego Bałtyku.

Pokonawszy 39 tys. mil, „Dar Pomorza" 3 września o godzinie 11 zacumował przy nabrzeżu Gdyni. „Gazeta Polska" z radością donosiła: „Zwyciężył. […] Wrócił po roku walki z falami taki, jak wyszedł: biały, czysty, upiększony galą flagową, spokojny i majestatyczny". […] Wiele portów po raz pierwszy widziało naszą banderę, naszą pracę i nasze osiągnięcia w zdobywaniu morza" („GP" 5 IX 1935). Gdy przybili do portu, na pokład wkroczył premier Walery Sławek, by dokonać uroczystego przeglądu statku, wypolerowanego na błysk, lśniącego nowością urządzeń, statku, po którym, o dziwo, paradowały dostojnie kolosalne żółwie z wysp Galapagos. „Dar Pomorza" nieraz jeszcze miał wprawić Polaków w zdumienie. Podczas swojej służby na morzu odbędzie łącznie 102 rejsy szkoleniowe, przepłynie pół miliona mil morskich, co stanowi odległość równą około 25 rejsom dookoła świata, a na jego pokładzie wyszkolonych zostanie 13 384 przyszłych marynarzy.

Na czterech kółkach

W latach 1924–1938 liczba samochodów osobowych na rodzimych szosach wzrosła z 7500 do 26 tys., a w 1939 roku jeździło już po nich 42 tys. aut, z czego 15 tys. stanowiły ciężarówki, autobusy i taksówki. Konstruktorem pierwszego polskiego samochodu – CWS T-1 – był wybitny inżynier i wynalazca Tadeusz Tański, który swego dzieła dokonał w latach 1922–1924 przy wsparciu specjalisty Roberta Gebeau i zdolnego inżyniera Stanisława Panczakiewicza. Ten ostatni zasłynął z kolei jako współautor projektu motocykla „Sokół" oraz twórca powojennego auta ciężarowego Star 20 i autobusu Star 50.

CWS T-1 został tak wymyślony, że po zdemontowaniu dało się go na nowo złożyć za pomocą jednego tylko klucza szczękowego, bo wszystkie śruby i nakrętki miały ten sam rozmiar, z wyjątkiem świec zapłonowych. Nawet rozrząd i skrzynia biegów składały się z zestawu takich samych kół zębatych. Wszystko to spowodowało, że CWS T-1 okrzyknięty został arcydziełem polskiej inżynierii. W sumie warsztaty opuściło około 800 pojazdów tego typu. Wachlarz oferowanych modeli był imponujący. Znajdziemy wśród nich czterodrzwiowy torpedo z otwartym nadwoziem, siedmioosobową karetę, dwudrzwiową berlinę, fałszywy kabriolet i lekką ciężarówkę w wersji pick-up bądź w postaci furgonetki, a nawet pojazdy przystosowane do potrzeb wojskowych ze skrzynką na granaty, z uchwytem na karabiny czy pneumatycznym sygnałem dźwiękowym.

W 1932 roku model CWS T-1 zastąpił Fiat 508, który produkowany był na włoskiej licencji w Fabryce Samochodów Osobowych i Półciężarowych w Warszawie. Zaglądając w 1938 roku na stoisko Fiata podczas wielkich Targów Poznańskich, wysłannik „Gazety Polskiej" z optymizmem donosił o jego zaletach, dzięki którym niewątpliwie podbił polski rynek motoryzacyjny: „Zdał on egzamin w rękach amatora czy sportowca, wykazał się wartościami w ciężkiej służbie w wojsku, gdzie używany jest masowo pod nazwą Łazik". Trudno było oderwać wzrok od Fiata 1100 wyposażonego w nowoczesny

FOT. NAC (2)

silnik górnozaworowy o pojemności 1090 centymetrów sześciennych i mocy 32 koni mechanicznych. Ten nowy pojazd, nazwany Balillą, „cieszył się niewątpliwym powodzeniem, również ze względu na bardzo luksusowe wykończenie i obszerniejsze od Fiata 508 wnętrze”. Z magnetyczną siłą przyciągał do siebie Fiat 500, mający postać „małej dwuosobowej karetki popularyzującej się w Polsce coraz bardziej”. „Gazeta Polska” z entuzjazmem donosiła, iż „nowoczesne rozwiązanie techniczne tego Baby Caru sprawia, że mimo miniaturowych kształtów wóz wykazuje duże zalety w najcięższych warunkach drogowych. Mały silnik […] odznacza się dużą oszczędnością spożycia paliwa. Fiat 500 jest rasową maszyną do sportu i turystyki” („GP” 15 V 1938).

Nie można też zapomnieć o jednym z pierwszych samochodów polskiej konstrukcji, jakim był Ralf Stetysz – przystosowany do pokonywania krajowych dróg znaczonych straszliwymi wybojami. Stanowił on dzieło hrabiego Stefana Tyszkiewicza, inżyniera-wynalazcy, który w Boulogne pod Paryżem założył własną fabrykę rolniczo-automobilowo-lotniczą. Ten wielki miłośnik motoryzacji w 1924 roku rozpoczął pracę nad konstrukcją samochodu własnego pomysłu, w efekcie czego rok później powstał pojazd osobowy wykorzystujący amerykański silnik firmy Continental. Pierwszy swój tryumf Ralf Stetysz święcił w Międzynarodowym Salonie Samochodowym w Paryżu, zyskując renomę wysokiej klasy pojazdu „kolonialnego”. Startował nawet w ósmym Rajdzie Monte Carlo, zdobywając nagrodę za komfort jazdy i doskonałe przystosowanie do podróży. W 1928 roku hrabia Tyszkiewicz spełnił swe wielkie marzenie i przeniósł całą produkcję Stetysza z Paryża do Warszawy. Przeznaczył na ten cel cały swój majątek, a jego żona sprzedała nawet broszkę z 86-karatowym szmaragdem. Stetysz zrobił furorę jeszcze w tym samym roku na Targach Poznańskich. Zafascynowani nim zwiedzający „podziwiali tę piękną maszynę za jej solidne wykonanie i bijącą w oczy prostotę”. Do tego wszystkiego cena samochodu była zadziwiająco niska, więc od razu złożono na niego szereg zamówień. Dobra passa przerwana została rok później, gdy warszawską fabrykę Tyszkiewicza strawił pożar, a produkcji nigdy już nie wznowiono. Ogień pochłonął 27 prawie ukończonych pojazdów i sześć już gotowych. Uratowano tylko jeden z nich, który potem wziął udział w Rajdzie Monte Carlo. W świat wyszło ogółem 200 egzemplarzy tego legendarnego reprezentanta krajowej motoryzacji.

Rozwój polskiego automobilizmu nabrał rozpędu w połowie lat 30., a w akcję popularyzacji tego nowego środka transportu włączyła się „Gazeta Polska”, zachęcając swych czytelników do obejrzenia Państwowych Zakładów Inżynierii w Warszawie, gdzie produkowano pojazdy na licencji zagranicznej, lecz z polskich półfabrykatów.

Skrzydlaci ludzie Polski międzywojennej

Początki II RP to zarazem początki polskiego lotnictwa. W trudnej powojennej rzeczywistości nie brakowało wśród Polaków pionierskich, niespokojnych dusz, którym marzyło się opanowanie przestworzy na podniebnych maszynach własnego pomysłu. Z pasją zgłębiali arkana aerodynamiki, szkolili się w pilotażu i konstrukcjach lotniczych, próbując swoich sił jako budowniczowie pierwszych polskich szybowców i awionetek oraz jako nieustraszeni piloci, gotowi bić światowe rekordy w najbardziej prestiżowych zawodach. Ci najzdolniejsi i najbardziej zdeterminowani, wśród których prym wiedli studenci Politechniki Warszawskiej, skupili się wokół Centralnych Warsztatów Lotniczych, gdzie zaledwie kilka miesięcy po odzyskaniu wolności zaczęto budować pierwsze samoloty. Do legendy polskiego lotnictwa przeszła maszyna RWD, która swe miano wzięła od pierwszych liter nazwisk jej twórców – Stanisława Rogalskiego, Stanisława Wigury i Jerzego Drzewieckiego.

Podniebny tryumf Polaków

W sierpniu 1932 roku „Gazeta Polska” obwieszczała, że pilot Franciszek Żwirko i inżynier Stanisław Wigura odnieśli niekwestionowane zwycięstwo w Challenge'u – Międzynarodowych Zawodach Samolotów Turystycznych. Podczas tej wielkiej olimpiady

Pilot Franciszek Żwirko (z prawej) i konstruktor lotniczy

lotniczej oceniano poziom techniczny maszyn, próby osiągnięcia maksymalnej prędkości oraz lot okrężny wokół Europy, wiodący przez Niemcy, Polskę, Czechosłowację, Austrię, Jugosławię, Włochy, Szwajcarię, Francję, Holandię, Danię i Szwecję. Biorący udział w tym słynnym rajdzie dookoła Starego Kontynentu lecieli nad morzem i łańcuchami górskimi na wysokości do 2700 metrów. Według podanych w „Gazecie Polskiej” informacji z berlińskiego lotniska wystartowało 41 samolotów, które miały pokonać w ciągu sześciu dni drogę powietrzną liczącą ponad 7300 kilometrów. Zawodnicy wzbijali się w przestworza zawsze wraz ze wschodem słońca, a swój dzienny lot kończyli, gdy świat ogarniał zmrok. Po wylądowaniu musieli jeszcze „tu i tam opatrzeć maszynę” i po krótkim, kamiennym śnie startowali na nowo, by pokonać wyznaczoną na każdy dzień trasę: Berlin–Rzym (2497,4 km), Rzym–Paryż (2464 km), Paryż–Berlin (2401,2 km).

Kolejne dni wyścigu mijają zawodnikom lotem błyskawicy. Z gry wypada 16 samolotów i zarazem 32 ludzi: wszyscy Włosi, część drużyn niemieckich, czeskich, szwajcarskich i francuskich, a także jedna załoga kapitana Orlińskiego. Pozostałe cztery polskie zespoły pomyślnie pokonują przed-

Stanisław Wigura przed samolotem RWD-4, 1930

FOT. NAC

ostatni odcinek, lądując przed czasem w Staaken pod Berlinem. Wśród szczęśliwców są Żwirko i Wigura – obaj promieniejący radością, choć wyczerpani do granic możliwości sześciodniowymi akrobacjami, w tym widowiskowymi skokami przez taśmę. Znalazłszy się w Staaken, przez cały czas myślą o wytrzymałości motoru, prawdziwego serca maszyny – byle nie zawiódł podczas kolejnej próby prędkości. Nie tracąc ani chwili, udają się więc do hangaru, by przygotować samolot do ostatniej konkurencji, decydującej o tym, kto w Europie stanie się królem przestworzy. Faworytem jest przecież Niemiec Wolf Hirth, „oczko w głowie całego Berlina". Przy jego maszynie pracowała jeszcze długo w nocy specjalna ekipa mechaników fabrycznych.

Żwirko startuje jako pierwszy, a tuż za nim Hirth, Robert Fretz, Fritz Morzik i Otto Cuno. Emocje sięgają zenitu. W trzy minuty potem polski pilot przelatuje nad lotniskiem Tempelhof, zrzuca woreczek meldunkowy na punkt kontrolny i mknie na wschód, w stronę Frankfurtu nad Odrą i Kirchhein, skąd kieruje się ku mecie. Wszyscy wstrzymują oddech… Przychodzą pierwsze meldunki: „Żwirko prowadzi, Poss tuż za nim. Hirth z najsilniejszym motorem zaczyna następować na pięty… Wysuwa się Morzik i szwajcarski porucznik Fretz. Pomiędzy tą piątką rozgrywa się walka" („GP" 29 VIII 1932). Na lotnisku Tempelhof dziesiątki tysięcy ludzi w najwyższym napięciu czekają na zwycięzcę, głowa przy głowie, wszyscy wpatrzeni w niebo, z bijącym sercem wsłuchani w słowa płynące z głośników. Różnica punktów między rywalami nie jest duża, o zwycięstwie zdecydują nie minuty, ale sekundy. „Żwirko prowadzi dalej" – relacjonuje telefonicznie specjalny wysłannik „Gazety Polskiej" – „Hirth minął Possa. Jest coraz bliższy Żwirki. Z czasów przelotów wynika jednak, że Żwirko zwiększa szybkość i wykorzystuje maszynę do ostatnich granic. Za Hirthem leci Morzik i Fretz. Reszta już się w tej chwili nie liczy. Ostatni kwadrans był chyba kwadransem najdłuższym. Oczy zdają się wyskakiwać z orbit… Wszyscy wpatrują się w południową stronę lotniska. Jeżeli tam, nad kominami, ukaże się samolot o górnych płatach – zwycięży Żwirko, jeśli z chmur wynurzy się dolnopłat – puchar zostanie w Berlinie. Wreszcie na horyzoncie zjawia się punkt. 10 000 ust wymawia nazwisko Żwirki – wyraźnie już widać srebrzysty górnopłat polski. Zwycięstwo! […] Żwirko na wysokości 10 metrów przelatuje oszalałym pędem przez linię mety, wystrzela w górę i ląduje" („GP" 29 VIII 1932). Zostawia daleko w tyle typowanego na zwycięzcę Hirtha, któremu do mety zabrakło dosłownie pięciu kilometrów. Niezawodny, zdawałoby się, silnik niemieckiej maszyny, z takim pietyzmem skonstruowany przez jego brata Helmutha Hirtha – tym razem nie wytrzymał. Słynny niemiecki lotnik w otoczeniu współczujących mu szczerze rodaków wydawał się niewzruszony, ale jego brat konstruktor płakał…

A Żwirko? Żwirko tryumfował – uśmiechał się, gdy niesiono go na rękach, gratulował Morzikowi i Possowi, wreszcie, stając przed mikrofonami, zwrócił się do tłumów ze swoim charakterystycznym wileńskim akcentem, z łagodnym spokojem i flegmatyczną uprzejmością.

A szalejący z radości Polacy? Trudno opisać, co działo się w ich sercach i co wtedy czuli, bo było to polskie zwycięstwo – „zwycięstwo polskiej maszyny, polskiego konstruktora, polskiego pilota, polskiego robotnika i polskiego materiału. Triumf siły polskich nerwów, mięśni i woli – tryumf polskiego ducha" („GP" 29 VIII 1932). Ta lotnicza olimpiada z udziałem Żwirki i Wigury nie była jedynie wyścigiem, w którym liczy się wyłącznie szybkość. Oceniano wszystko – warunki techniczne startu i lądowania, osiąganą prędkość, bezpieczeństwo, wyposażenie wewnętrzne, a nawet komfort w kabinie. Niezależnie więc od osobistych zasług porucznika Żwirki zwycięstwo w wyścigu Challenge było wspólnym dziełem Polaków.

* * *

W nieustannym marszu ku nowoczesności pejzaż Polski zmieniał się z dnia na dzień. „Nie masz już, nie masz lubej wioski, gdzie kwitły krokusy i poezja – pisał o współczesnych sobie czasach Kornel Makuszyński – są asfalty i neony, i Murzyn czasem nawet się zdarzy… Wrzawa orkiestr bucha w noc i ryczą auta. A to dopiero początek…". **GP**

PARTNER ALBUMU:

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

ZBRODNIA to niesłychana!

Z WIKTORIAŃSKIEJ KRONIKI KRYMINALNEJ

Rosyjski autor kryminałów, Boris Akunin, zwykł umieszczać w swych książkach następująca dedykację: „Pamięci wieku XIX, kiedy to literatura była wielka, wiara w postęp – bezgraniczna, a zbrodnie popełniano i wykrywano ze smakiem, tudzież elegancją".

Łukasz **Czarnecki**

Czy w czasach królowej Wiktorii zbrodnie naprawdę popełniano ze smakiem? No cóż, raczej trudno o wyrafinowany gust posądzać Kubę Rozpruwacza, seryjnego mordercę prostytutek w londyńskiej dzielnicy biedoty Whitechapel w 1888 roku. Tożsamość zabójcy do dziś pozostaje nieznana, a on sam poczynał sobie z takim poczuciem bezkarności, że słał nawet listy do prasy! Jego okrucieństwo wywołało histerię nad Tamizą, a równocześnie było błogosławieństwem zarówno dla wydawców gazet, którzy zyskali „gorący temat" na wiele miesięcy, jak i autorów groszowych powiastek grozy, tzw. penny dreadfull, zawdzięczającym zbrodniarzowi niewyczerpane źródło inspiracji. Ponura sława Kuby Rozpruwacza sprawiła, że stał się on twarzą całego wiktoriańskiego półświatka. Nawet dzisiaj większość mieszkańców zachodniego świata zna jego imię, ale w XIX-wiecznej Anglii grasowali też inni przestępcy, a ich okrucieństwo i brawura były takie, że niektórym Rozpruwacz mógłby z zachwytu postawić kufel piwa w londyńskim pubie.

Morderczy sklepikarz

Królowa Wiktoria zasiadła na tronie imperium brytyjskiego 20 czerwca 1837 roku. Półtora miesiąca przed uroczystościami koronacyjnymi odbyła się egzekucja Jamesa Greenacre'a – mordercy, którego brutalna zbrodnia zaszokowała mieszkańców Londynu. Greenacre przyszedł na świat w 1775 roku w farmerskiej rodzinie. Po przeprowadzce do stolicy prowadził sklep, dał się też poznać jako zaangażowany członek lokalnej społeczności. O szacunku, jakim darzono go w najbliższej okolicy, świadczy choćby fakt wybrania go na członka rady parafialnej. Mniej piękny obraz ujrzałby ten, kto zerknąłby za zamknięte drzwi domu owego „prawego obywatela". James żenił się trzykrotnie. O losie jego pierwszych dwóch żon nic nam nie wiadomo, ale możemy uznać, że nie był zbyt ciekawy, jeśli weźmiemy pod uwagę, że trzecia z kolei pani Greenacre zmarła wskutek „pożegnalnego pobicia", jakiego dopuścił się jej mąż przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Tam chwytał się różnych zajęć, wszedł także w czwarty związek małżeński. W międzyczasie w Londynie wierzyciele, przed którymi umknął na drugi brzeg Atlantyku, zajęli jego pozostawiony w kraju majątek.

W 1835 roku Greenacre wrócił do Londynu (co się stało z jego amerykańską połowicą, nie wiadomo) i zajął się na powrót prowadzeniem interesów. Na te ostatnie potrzebował jednak gotówki.

Postanowił więc zdobyć ją w uświęcony w kręgach brytyjskich dżentelmenów tamtej epoki sposób: bogato się żeniąc. Jego wybór padł na bezdzietną wdowę Hannah Brown, która dysponowała znacznym jak na owe czasy kapitałem wynoszącym 400 funtów. Rozpoczęły się przygotowania do ślubu, datę wyznaczono na Boże Narodzenie 1836 roku. W Wigilię przyszły pan młody zaprosił oblubienicę do swego domu i korzystając z pomocy kochanki, zamordował kobietę. Ciało ofiary porąbali na kawałki i popakowali do worków, które rozrzucili w różnych punktach Londynu. Tajemnicze pakunki szybko wzbudziły zainteresowanie przechodniów, gdyż wypływająca z nich krew barwiła otaczający je śnieg na czerwono. Kiedy zabójstwo wyszło na jaw, policja nie miała najmniejszych wątpliwości co do sprawcy. Funkcjonariusze wpadli do mieszkania Greenacre, aresztując go dosłownie w ostatniej chwili, bo ten szykował się do ucieczki

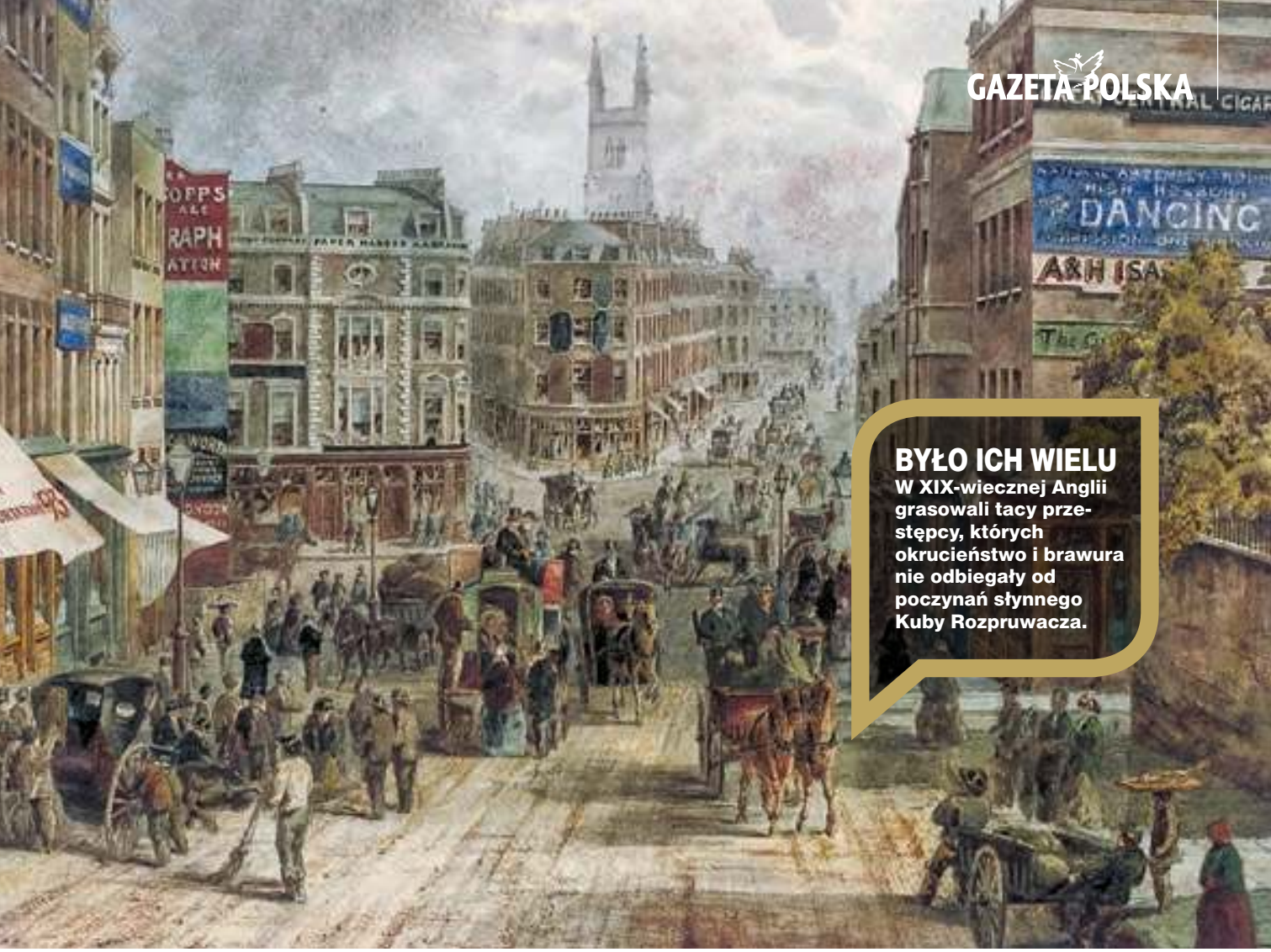

BYŁO ICH WIELU
W XIX-wiecznej Anglii grasowali tacy przestępcy, których okrucieństwo i brawura nie odbiegały od poczynań słynnego Kuby Rozpruwacza.

FOT. WIKIPEDIA

do Kanady. Morderca stanął przed trybunałem w kwietniu 1837 roku. Jego proces okazał się olbrzymią sensacją, spragnieni dreszczyku emocji gapie nie mieścili się na widowni sali sądowej. Wyrok mógł być tylko jeden – śmierć.

Skaczący Jack atakuje

Następny przypadek znalazł swój początek w dziwnym epizodzie z września 1837 roku. Późnego jesiennego wieczoru pewien śpieszący do domu spacerowicz mijał cmentarz położony w Barnes Common na południowych obrzeżach Londynu. Nagle zza cmentarnego muru wyskoczyła przerażająca postać o świecących się na czerwono oczach, wielkim nosie i długich palcach z żelaznymi szponami. Stwór, zanosząc się demonicznym śmiechem, wylądował przed zszokowanym dżentelmenem, który rzucił się do ucieczki. Następnego dnia całą przygodę zaraportował policji. Tymczasem upiorny skoczek ponownie dał o sobie znać. Tym razem zaatakował 17-letnią Polly Adams, z której za pomocą swych pazurów zerwał ubranie. Zaledwie miesiąc potem jego ofiarą padła kolejna młoda kobieta – Mary Stevens. Napadł na nią w parku, złapał w ramiona, po czym rechocząc lubieżnie, zaczął obmacywać szponiastymi palcami. Dziewczyna zeznała na policji, że dotyk napastnika był lodowaty. Wkrótce posypały się wiadomości o kolejnych incydentach, a że robiącego nadludzkie susy i wedle części świadków ziejącego błękitnym ogniem jegomościa trzeba było jakoś nazwać, przylgnął do niego przydomek Skaczący Jack. Wiktoriański przodek Batmana na swoje ofiary najczęściej wybierał młode kobiety, na które znienacka spadał i łapał w ramiona. Jego charakterystyczną cechą oprócz świecących się na czerwono oczu i długiego nosa był okrutny śmiech, jakim się zanosił. Z miejsca swych wybryków oddalał się potężnymi susami, z których niektóre liczyły po kilka metrów. Zdesperowani stróże porządku, opierając się na opisach świadków, wysnuli przypuszczenie, iż Skaczący Jack posługuje się w swym niecnym procederze butami z przymocowanymi do podeszwy sprężynami, które umożliwiają mu wykonywanie owych skoków. Spróbowano nawet w celu zweryfikowania teorii zbudować takie urządzenie, ale próby jego praktycznego wykorzystania skończyły się wyłącznie obrażeniami testerów.

Demoniczny skoczek wciąż pojawiał się to tu, to tam, potrafił ni z tego, ni z owego wyskoczyć przed jadący drogą powóz i spłoszyć konie. W 1845 roku na jego koncie pojawiła się ofiara śmiertelna – młodziutka prostytutka, którą upiór najpierw niespodziewanie zaatakował, a potem wrzucił do studzienki kanalizacyjnej.

Kim był Skaczący Jack? I czy w ogóle istniał? A może był tylko efektem zbiorowej histerii, tak jak jego amerykański

kuzyn z krainy miejskich legend – Diabeł z New Jersey? Od prawie 180 lat trwają próby ustalenia tego, co naprawdę działo się nad Tamizą w połowie XIX wieku. I nie tylko wówczas, bo skaczące straszydło pojawiać się miało przez całą epokę wiktoriańską, a nawet kilkanaście lat po jej zakończeniu! Teorii jest mnóstwo, wedle jednej z bardziej fantastycznych (aczkolwiek pozostających w kręgu prawdopodobieństwa) za całe zamieszanie odpowiedzialny był zbiegły z cyrku kangur, a całą resztę wykonała ludzka wyobraźnia. Solidnym kandydatem na Skaczącego Jacka wydaje się też Henry de la Poer Beresford, markiz Wateford, ekscentryczny XIX-wieczny sportsmen arystokrata, słynący z zamiłowania do robienia okrutnych dowcipów. Jakim cudem jednak wykonywał owe ogromne susy? I czy miał naśladowców, którzy idąc w jego ślady, odpowiadali za późniejsze doniesienia o straszydle, napływające na policję i do prasy już po śmierci markiza? Zagadka wciąż pozostaje nierozwiązana.

Dzieci zabijają matkę

Na zakończenie naszej kryminalnej podróży zostawiłem sprawę, która ze wszystkich opisanych tu zbrodni jest chyba najbardziej szokująca. W lipcu 1895 roku opinią publiczną Wielkiej Brytanii wstrząsnęła niesłychana wiadomość. Martwa matka dwójki synów – 13-letniego Roberta i 12-letniego Nataniela – została znaleziona przez jej szwagierkę Emily Coombes. Kobietę zasztyletowano w jej własnej sypialni. Najbardziej szokująca była jednak informacja dotycząca zbrodniarzy – morderstwa dokonały bowiem dzieci ofiary!

Skaczący Jack znęcał się nad swoimi ofiarami dla zabawy. Ale dlaczego bracia Coombes zabili swoją matkę?

Obu małoletnich zabójców natychmiast przewieziono do więzienia i wkrótce ruszył proces. W jego trakcie wyszło na jaw, że Robert był fanem groszowej literatury sensacyjnej. W pokoju chłopca znaleziono dużą liczbę brukowych powieści opisujących różnorakie krwawe zbrodnie. W efekcie przez Anglię przetoczyła się dyskusja na temat ewentualnego zakazu wydawania tego typu publikacji. Różnej maści „autorytety" grzmiały na łamach prasy, oskarżając autorów groszowych powieścideł i artykułów w brukowcach o wszelkie zło.

Proces młodocianych morderców zakończył się we wrześniu 1895 roku. Nataniela oczyszczono z zarzutów, a jego brata uznano za winnego, ale niepoczytalnego. Dzięki temu uniknął więzienia i trafił do szpitala psychiatrycznego (biorąc po uwagę ówczesne standardy panujące w tego typu instytucjach, różnica nie była aż tak wielka), skąd wypuszczono go dopiero siedemnaście lat później.

Epilog

Powyższe przykłady jasno dowodzą, że postawiona przez rosyjskiego pisarza teza, iż w XIX wieku zbrodnie popełniano z klasą, nie wytrzymuje konfrontacji z faktami. W czasach królowej Wiktorii przestępcy byli równie brutalni jak dzisiaj. Również pobudki, jakimi się kierowali, były niskie. James Greenacre zabił dla pieniędzy, Skaczący Jack – kimkolwiek był – zwyczajnie znęcał się dla zabawy nad swymi ofiarami, doprowadzając je do poważnych urazów psychicznych lub śmierci, zaś bracia Coombes... Tu stoimy chyba wobec zagadki jeszcze bardziej mrocznej niż tożsamość upiora o świecących oczach: co działo się w głowach dwójki dzieci, które brutalnie zamordowały własną matkę? **GP**

FOT. WIKIPEDIA.

Co dalej?

JAKIE LUKI W SŁUŻBIE ZDROWIA UJAWNIŁA EPIDEMIA

W marcu minął rok od ogłoszenia w Polsce stanu epidemicznego. 12 miesięcy temu nikt nie podejrzewał, że najgorsze przyjdzie dopiero rok później. Na początkowe obostrzenia społeczeństwo zareagowało ze zrozumieniem, w pełni akceptując i wspierając działania władz. Na analizę przyczyn, dlaczego po roku jesteśmy w szczycie zachorowań i zgonów, przyjdzie jeszcze czas, gdy sytuacja zostanie opanowana.

Leszek Czupryniak

Bez wątpienia rządzący mają maksymalną dobrą wolę, by zahamować przyrost zachorowań i podtrzymać kręcące się koła gospodarki. Odrębną kwestią są kompetencje (ale być może w naszym kraju nie ma lepszych majstrów od budowania samolotu w locie – a tym jest realizowana z marszu walka z epidemią), udział czynników, nad którymi nie udało się mieć pełnej kontroli (dostawy szczepionek) oraz postawa dużych grup społecznych, nieufnych władzy i kwestionujących faktyczne istnienie epidemii (tych poprosimy o modlitwę za red. Piotra Semkę) i sens szczepień. Kompilacja tych wszystkich elementów doprowadziła nas do obecnej sytuacji. Nadzieja na poprawę jest – szczepionek ma być bardzo dużo, a akceptacja dla poddania się szczepieniom szybko rośnie. Z historii powszechnej wiemy, że epidemie trwały dwa lata, ale nigdy nie prowadzono tak masowych i szybkich szczepień, można spodziewać się zatem opanowania wirusa w ciągu najbliższych 6 miesięcy.

Kadry przede wszystkim

Najważniejsze pytanie obecnie to: co dalej? W największym stopniu dotyczy ono organizacji ochrony zdrowia. Bardzo duża liczba zgonów w trakcie epidemii nie wynika tylko, a może nawet głównie nie wynika, z ciężkiego przebiegu COVID-19, ale z nagłej utraty ciągłości diagnostyki medycznej i terapii przez tysiące osób z chorobami przewlekłymi albo nowo występującymi dolegliwościami. W oczywisty sposób nie sprawdziła się w warunkach epidemii dotychczasowa struktura ochrony zdrowia, nikt nie spodziewał się aż tak dramatycznego braku personelu ani sprzeciwu wobec działań rządu, w tym i programu szczepień, całych grup społecznych, w tym części lekarzy, pielęgniarek i studentów medycyny.

Konieczne są zmiany

Mamy ten jeden moment od 1989 roku, gdy zdruzgotana ochrona zdrowia może zostać w krótkim czasie przeorganizowana w system dużo bardziej efektywny. Ale co powinno być zrobione? Największe problemy są dwa: dostęp do diagnostyki i leczenia oraz brak kadr medycznych wszystkich szczebli – od sekretarek medycznych (już nikt nie pamięta, jak Łukasz Szumowski zapowiadał wprowadzenie ich rzesz do systemu ochrony zdrowia?) przez opiekunki medyczne i pielęgniarki po lekarzy specjalistów. I chyba od tego trzeba zacząć. Kadry można znacząco zwiększyć w ciągu 5–6 lat. Jak? Jak zawsze jedną metodą. Zawody medyczne muszą być bardzo atrakcyjne finansowo, a szkolenie maksymalnie dostępne (co nie znaczy uproszczone). Widać obecnie doskonale, że ślepo realizowane od 1999 roku zalecenia unijne, dotyczące edukacji pielęgniarek (bo „proces boloński" i podobne bzdety), prowadzące m.in. do likwidacji szkół pielęgniarskich było błędem (wiedzieliśmy to jako lekarze już wtedy). Niezbędne jest też kształcenie licznego personelu pomocniczego, który również powinien być atrakcyjnie wynagradzany. Obecnie w szpitalach stoją puste łóżka, bo nie ma przede wszystkim pielęgniarek, a wojewodowie wykonują nerwowe ruchy, próbując zmusić personel medyczny z różnych placówek do pracy w szpitalach tymczasowych – bezskutecznie.

Odbudować narodową służbę zdrowia

Poprawa dostępności badań i leczenia też nie wymaga kanclerskiej głowy – przeniesienie maksymalnej liczby procedur ze szpitali do lecznictwa otwartego, czyli poradni, zniesienie limitów na świadczenia zdrowotne (to tradycyjnie nie mieści się w głowie sterujących ochroną zdrowia), urealnienie finansowania szpitali, odrębne finansowanie badań laboratoryjnych – tylko to szybko przyniesie poprawę i jest zarazem niezbędne, bo po pandemii odrabianie zaległości w leczeniu chorych niekowidowych będzie ogromnym problemem, znacznie przekraczającym kowidową rzeczywistość.

No dobrze, to jak wiadomo, co zrobić, to dlaczego tego nikt nie robi? Bo potrzebna jest tęga polityczna głowa do podjęcia tych decyzji i równie tęgie pieniądze. Jak już obronimy tarczami narodową gospodarkę, pora zbudować narodową ochronę zdrowia. Udało się kraj odbudować po wojnie, i to w warunkach komunizmu, na pewno damy radę i w tej kwestii.

Największe problemy są dwa: dostęp do diagnostyki i leczenia oraz brak kadr medycznych wszystkich szczebli. ■

Felieton powstał w ramach współpracy przy programie walki z cukrzycą.

Nad Biebrzę wróciło życie

RAPORTY I BADANIA

Jacek
Liziniewicz
albicla.com/JacekLiziniewicz

CIEKAWOSTKI
O BIEBRZAŃSKIM PARKU NARODOWYM

To największy polski park narodowy. Utworzony 9 września 1993 roku, ma powierzchnię 592,23 km², czyli trochę ponad 59 tys. ha.

NAZWA OD BOBRA

Nazwa rzeki pochodzi od słowa bóbr w języku litewskim. Biebrza pojawia się w dokumencie z 1358 roku, w którym książę Kiejstut opisuje granicę pomiędzy Litwą i dystryktem Grodzieńskim a ziemią księcia Siemowita Mazowieckiego.

ARCHEOLOGICZNE STANOWISKA

Wykopaliska potwierdzają, że co najmniej od XII wieku na tym terenie mieszkają ludzie zajmujący się hodowlą zwierząt. A w Górze Strękowej znaleziono m.in. 29 srebrnych monet arabskich wybitych w okresie panowania dynastii z X w. n.e.

Mija rok od pożaru Biebrzańskiego Parku Narodowego. W dniach 19–26 kwietnia rozprzestrzeniający się ogień pochłonął ponad 5,5 tys. ha cennych przyrodniczo terenów. Po 12 miesiącach okazuje się, że przyroda nad Biebrzą poradziła sobie bardzo dobrze, a w ramach badań na obszarach spalonych odkryto chrząszcza nienotowanego w Polsce od 80 lat.

FOT. PIXABAY

POLUB NAS /GazetaPolskaPL

Tą akcją gaśniczą przez kilka dni żyła cała Polska. Nie był to największy pożar od czasów tragedii w Kuźni Raciborskiej, gdzie ogień strawił ponad 9 tys. ha, a gaszenie kosztowało życie dwóch strażaków. Od tamtej pory zmieniła się epoka i wydawało się, że po inwestycjach w Straż Pożarną i systemy przeciwpożarowe nie powtórzy się atak żywiołu na podobną skalę. To poczucie bezpieczeństwa szybko jednak rozwiał ogień w Biebrzańskim Parku Narodowym.

Przyczyną susza

Wszystko zaczęło się 19 kwietnia. Nie ustalon, jak dokładnie doszło do pożaru, ale główne podejrzenie padło na człowieka i proceder wypalania łąk. To nadal jednak tylko hipoteza, bo prokuratura nie była w stanie ustalić, kto dokonał podpalenia. Potencjalnych informatorów nie skłoniła nawet hojna nagroda w wysokości 110 tys. zł. Śledztwo po kilku miesiącach zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawców. Faktem jest jednak, że na terenie Biebrzańskiego Parku Narodowego mamy od kilku lat ogromny problem z suszą. Pod tym względem rok 2020 był jednym z rekordowych, a ilość wody dramatycznie odbiegała od średnich z ostatnich dekad. To sprawiło, że pożar szybko się rozprzestrzeniał, co wiązało się przeprowadzeniem ogromnej akcji gaśniczej. W ciągu tygodnia w akcji brało udział 370 zastępów Straży Pożarnej i ponad 1085 strażaków PSP i OSP. Do tego doszły inne służby, w tym Wojska Obrony Terytorialnej, saperzy, Straż Graniczna, policja, leśnicy, wolontariusze i inni. W sumie ponad 1,5 tys. osób było zaangażowanych w gaszenie, przepracowały one 11 300 roboczogodzin. Dla takiej armii ludzi trzeba było zorganizować wsparcie logistyczne, w które włączyły się lokalne samorządy, harcerze i zwykli mieszkańcy. Kluczową rolę odegrało gaszenie z powietrza, a szczególnie helikoptery, które w szybkim tempie są w stanie dokonywać zrzutów wody. To właśnie te maszyny sprawdziły się tu najlepiej, co jest jednym z podstawowych wniosków z akcji gaśniczej. Za działania z powietrza zapłaciły Lasy Państwowe, a kwota ta sięgnęła 2 mln zł. O skali akcji gaśniczej może świadczyć też zużycie paliwa. Tutaj z kolei na wysokości zadania stanął PKN Orlen, który dostarczył strażakom 6 tys. litrów benzyny i 12 tys. litrów oleju napędowego. 26 kwietnia 2020 roku około godz. 17.00 uznano, że pożar został ugaszony.

Na terenie Biebrzańskiego Parku Narodowego mamy od kilku lat ogromny problem z suszą. Pod tym względem rok 2020 był jednym z rekordowych, a ilość wody dramatycznie odbiegała od średnich z ostatnich dekad.

Jakie straty?

Spłonęło około 10 proc. BPN. W dniach pożaru główne media nadały ton dotyczący skali tragedii, do jakiej doszło w BPN.

BIEBRZAŃSKIE SIANOKOSY

Mistrzostwa Świata w Koszeniu Bagiennych Łąk dla Przyrody „Biebrzańskie Sianokosy" odbywają się na tym terenie od kilkunastu lat. Łąki i trzcinowiska trzeba kosić, by zachować ich wyjątkowy charakter.

BATALION W LOGO

Najbardziej charakterystycznym ptakiem lęgowym dla obszaru jest batalion i to on znajduje się w logo instytucji. Inne to m.in.: wodniczka, bekasik, dubelt, kszyk, kulik wielki, biegus zmienny, żuraw, puchacz, orlik krzykliwy, sowa błotna.

ZATRZĘSIENIE ŁOSI

BPN jest jednym z najlepszych miejsc w Polsce do obserwacji łosi. Te największe parzystokopytne mają tutaj wyjątkowe warunki i zdaniem badaczy stanowią odrębną subpopulację. Żyje tu około 1400 osobników.

FOT. ANDRZEJ SIDOR/FORUM (D); PIXABAY, YOUTUBE, WIKIPEDIA

W budowaniu tej narracji brali udział również aktywiści ekologiczni, którzy byli na miejscu, kręcili filmiki i straszyli w swoim stylu. Przyrodnicy i naukowcy zauważyli jednak szansę wynikającą z tak ogromnej skali zjawiska. Instytut Badawczy Leśnictwa, decyzją ówczesnego ministra środowiska Michała Wosia, wdrożył projekt badawczy terenów Biebrzańskiego Parku Narodowego. Miano przede wszystkim oszacować straty związane z pożarem. Ogień dotknął bowiem wiele terenów, które były chronione dyrektywą siedliskową, w tym miejsca, gdzie rośnie sasanka otwarta i leniec bezpodkwiatkowy. Dodatkowo pożar strawił miejsca gniazdowania i bytowania rzadkich ptaków, takich jak wodniczka. Spodziewano się, że pożar znacznie wpłynie na środowisko i bioróżnorodność. Wnioski po pierwszym roku badań są jednak wyjątkowo zaskakujące. Naukowcy z IBL-u przebadali wpływ pożaru m.in. na małe ssaki (nie stwierdzono, by większe ssaki czy ptaki ucierpiały). Jak ustalono, nornice i myszy zaczęły wracać na tereny spalone już dwa miesiące po katastrofie. „Struktury wieku i płci w populacji nornika północnego zasiedlającego tereny spalone i niespalone nie różnią się między sobą. Ponadto, tereny spalone charakteryzowały się wyższą różnorodnością gatunkową drobnych ssaków. Śmiertelność w populacji nornika północnego na terenach spalonych i niespalonych w sezonie rozrodczym była podobna i wynosiła 30%" – czytamy w raporcie z badań. Jedynym czynnikiem stresogennym dla drobnych ssaków była aktywność drapieżników. W miejscach spalonych ptaki mogły łatwiej dostrzec potencjalną ofiarę. To jednak nie wpłynęło na populację. Co ciekawe, duże zmiany zaszły w świecie roślin. Na spalonych obszarach badacze znaleźli więcej gatunków roślin niż było ich w latach poprzednich. Dla tego typu krajobrazu, jaki jest nad Biebrzą, duże znaczenie ma fakt, że pożar dotknął krzewy, co mogło przełożyć się na wzrost bioróżnorodności. Taki efekt jest znany z literatury i innych badań naukowych. Na razie jednak eksperci badający Biebrzę są ostrożni. Aby móc stwierdzić, że pożar zmienił krajobraz pozytywnie, potrzeba długich badań. To, że po pożarze park eksplodował życiem, było widać już latem ubiegłego roku, ale trzeba zbadać długofalowy wpływ ognia.

Niespodzianka

Podczas badań w BPN złapano w pułapkę chrząszcza Lepturalia nigripes, który jest wyjątkowo rzadki w Europie.

BOGACTWO RYB

W wodach Biebrzy żyje około 36 gatunków ryb, na przykład szczupak, sum, węgorz, a także typowe dla pogórza – kleń i brzana. Łowienie tu ryb nie jest wykluczone, ale trzeba wcześniej postarać się o licencję w siedzibie parku.

TURYSTYKA

Teren Biebrzańskiego Parku Narodowego jest szeroko dostępny dla turystów. Są tu zarówno szlaki rowerowe, jak i piesze. Szczególną popularnością cieszą się spływy kajakami i barkami. To jedna z większych atrakcji turystycznych.

TWIERDZA OSOWIEC

Te carskie budynki miały kiedyś ogromne znaczenie strategiczne. Dzisiaj na ich terenie działa m.in. Muzeum Twierdzy. Wejście jest możliwe tylko w zorganizowanych grupach i z przewodnikiem.

Gość po 80 latach

Prawdziwym hitem jest jednak odkrycie entomologów. Podczas badań złapano w pułapkę chrząszcza Lepturalia nigripes, który jest wyjątkowo rzadki w Europie. Jak czytamy w raporcie, w Polsce, jak dotąd, istnieją zaledwie cztery udokumentowane stwierdzenia występowania tego gatunku. Najstarsza obserwacja pochodzi z 1898 roku z Siennicy koło Mińska Mazowieckiego, zaś kolejne trzy – z lat 30. XX wieku z Puszczy Białowieskiej. Ostatnie doniesienia z naszego kraju pochodzą z 1936 roku, z obszaru dawnego Nadleśnictwa Zwierzyniec. Teraz chrząszcza odkryto w Biebrzańskim Parku Narodowym. Chrząszcz ten jest gatunkiem związanym z przestrzeniami spalonymi. „Gatunki pirofilne posiadają receptory wrażliwe na substancje powstające podczas spalania drewna, a także na temperaturę, co pozwala im wykrywać osłabione i/lub zabite przez pożar drzewa z odległości wielu kilometrów, a następnie je zasiedlać. Rzadkość występowania pożarów, związana z dążeniem do ich ograniczania w warunkach Europy Środkowej, skutkuje zanikiem środowisk dogodnych dla chrząszczy pirofilnych. To z kolei sprawia, że większość z nich należy do gatunków rzadko spotykanych czy wręcz zagrożonych (…). Warto w tym miejscu dodać, że dla ochrony L. nigripes, a także innych organizmów pirofilnych, w niektórych krajach Europy stosuje się pożary kontrolowane, polegające między innymi na wypalaniu części zrębów w lasach. Wydaje się, że takie zabiegi powinny być brane pod uwagę przy tworzeniu planów ochrony przyrody również w Polsce, zwłaszcza na terenach chronionych, jak rezerwaty czy parki narodowe” – czytamy w raporcie. Czasami więc i ogień może przynieść życie. Warto się o tym przekonać, odwiedzając dolinę Biebrzy. **GP**

TRADYCYJNA ORYLKA

Orylka, czyli spław drewna rzeką, istniała tu od średniowiecza do 1939 roku. Spławiacze, czyli oryle, mieli swoje sposoby na łowienie ryb, łowiectwo i przygotowanie potraw. Uchodzili za zaczepnych wyrzutków społecznych.

TRZCINY I TRAWY

Ubiegłoroczny pożar był jednym z większych w historii. Najprawdopodobniej było to związane z wypalaniem traw – znanym sposobem gospodarowania ziemią. Dzisiaj w Polsce jest to zabronione, ale ludzie nadal to robią.

FOT. ANDRZEJ SIDOR/FORUM (D), RDLP KATOWICE, PIXABAY, WIKIPEDIA

PRZYRODNICZY FLASH

NOWY NACZELNY LEŚNIK

9 kwietnia minister środowiska powołał Józefa Kubicę, obecnego dyrektora katowickiej dyrekcji LP, na stanowisko pełniącego obowiązki dyrektora generalnego Lasów Państwowych. Józef Kubica był dyrektorem RDLP w Katowicach od maja ubiegłego roku. Wcześniej pracował jako inżynier nadzoru w Nadleśnictwie Świerklaniec. Kubica, absolwent Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, pracuje w Lasach Państwowych od 1978 roku. Zastąpił on na stanowisku dr. Andrzeja Koniecznego.

UWAGA NA ŻABY

W kilku miejscach w parkach narodowych Biebrzańskim i Białowieskim rozpoczęły się akcje ratowania płazów, by nie ginęły pod kołami samochodów w trakcie wiosennych wędrówek do miejsc rozrodu. Ustawiono płotki, które zabezpieczają płazy przed wejściem na drogi. Tak zatrzymane są bezpiecznie przenoszone na drugą stronę asfaltowych dróg.

Stefan
Czerniecki
CZERNIECKI.NET

ZASTRZYK (NA) WYSOKOŚCI

NIEBEZPIECZNA

Annapurna jest „najniebezpieczniejszą górą świata". Spośród wszystkich 130 osób, które próbowały wspiąć się na jej szczyt, żywych powróciło 77.

ULUBIONA GÓRA BOGINI KALI

„Największą trudnością było trafienie igłą w tętnicę. Zastrzyk udał się dopiero po 35. próbie. Wszystkie zabiegi wymagały olbrzymiej precyzji i Oudot wykonał je znakomicie, a trzeba pamiętać, w jak prymitywnych warunkach były robione" – tak o pierwszej w historii wysokogórskiej akcji ratowania życia z użyciem strzykawki pisała w 1950 roku światowa prasa.

Nazywali się Maurice Herzog i Louis Lachenal i byli członkami wyprawy francuskich himalaistów. Ówczesne media nazywały ich „najlepszymi z najlepszych". „Najlepszymi", bo tylko tacy mogli mieć jakiekolwiek szanse przetrwania w pierwszym w historii zwycięskim starciu człowieka z ośmiotysięcznikiem. Żadnemu z ludzi nie udało się nigdy stanąć na takiej wysokości.

Francuzi znaleźli się tu troszkę „przez przypadek". Planowali wejść na pobliski szczyt Dhaulagiri, który w klasyfikacji najwyższych szczytów świata przeskakuje Annapurnę o trzy pozycje. Jednak dojście pod ścianę „Białej Góry" bez dokładnych map topograficznych (do 1949 roku Nepal był zamknięty dla obcokrajowców, a alpiniści z konieczności posługiwali się niedokładnymi indyjskimi mapami) przerosło możliwości Francuzów. Ze znalezieniem drogi pod Annapurnę było nieco łatwiej. Wystarczyło znaleźć lodowiec, który spływał po północnym zboczu góry. A i tak szukanie trasy zajęło francuskim himalaistom ponad dwa tygodnie. Pomimo początkowych przeciwności Francuzi weszli na szczyt. Okupili to jednak poważnymi odmrożeniami. Na skutek załamania pogody w trakcie ich zejścia Herzog stracił wszystkie palce u rąk i nóg. Lachenal miał ciut więcej szczęścia – stracił „tylko" palce u kończyn dolnych. Mogło być jednak znacznie gorzej. Do bazy zeszli wychłodzeni i wycieńczeni. Przed poważniejszymi konsekwencjami brawurowej akcji uchronił ich wspomniany lekarz wyprawy, Jacques Oudot. To on podjął się niespotykanej dotychczas na taką skalę i w tak ekstremalnych warunkach akcji ratowania życia, podając wspinaczom dotętnicze zastrzyki acetylocholiny. Zrobiona kilka tygodni później na paryskim lotnisku Orly czarno-biała fotografia przedstawiająca członka ekspedycji Terray'a wynoszącego z samolotu na rękach Lachenala z zabandażowanymi kikutami dłoni i stóp stała się jednym z najbardziej poruszających zdjęć w całej historii himalaizmu. Bo i taka była Annapurna roku 1950. Ona jedna i dwóch śmiałków stawiających kroki na jej najwyższym punkcie. Jednak tylko jeden z nich miał okazję zobaczyć jeszcze za życia, co stało się z „ich" górą po latach (Lachenal odszedł z tego świata pięć lat po swym wyczynie, wpadając do 25-metrowej szczeliny we francuskim lodowcu Vallée Blanche podczas ekstremalnego zjazdu na nartach). Herzog umarł 9 lat

CIEKAWOSTKI:

Na Ziemi znajduje się 14 szczytów, których wysokość przekracza 8000 metrów n.p.m. Co ciekawe, jeśli zastosować wariant brytyjski (w Wielkiej Brytanii oraz w całym Commonwealth wysokość gór podaje się w stopach i za wartość przełomową uznaje się 25 000 stóp, odpowiadające 7620 metrom), lista najwyższych gór świata wydłuża się o dodatkowe 25 szczytów.

Ośmiotysięczniki zlokalizowane są tylko w dwóch pasmach. 10 z nich znajduje się w Himalajach, a 4 w Karakorum. 5 z nich to tzw. ośmiotysięczniki wysokie, których wierzchołek położony jest na wysokości ponad 8400 m n.p.m. (Mount Everest, K2, Kanczendzonga, Lhotse i Makalu).

Na ośmiotysięcznikach warunki są tak ekstremalne, że w okolicach szczytowego pułapu przyjęło się mówić o tzw. strefie śmierci, w której organizm ludzki nie jest w stanie przetrwać dłużej niż kilka dni.

Z Annapurną wiąże się także początek dziejów „himalaizmu sportowego". W 1970 roku angielska wyprawa himalaistów stanęła przed wyzwaniem pokonania 750 metrów różnicy południowej ściany Annapurny. Dokonali tego tam i z powrotem w ciągu jednego dnia, bez tlenu, przy wielkim wietrze i w trudnej ekspozycji. Wcześniej spędzili na Annapurnie niemal miesiąc.

FOT. STEFAN CZERNIECKI

Miejscowi szanują majestat Annapurny. U jej stóp prowadzą zwyczajne życie.

temu – w grudniu roku 2012. Zdążył zatem na własne oczy przekonać się, do czego doprowadziła komercjalizacja Himalajów. A zwłaszcza trekkingowego szlaku do Sanktuarium Annapurny. – Kiedyś spotkałem tu pewnego amerykańskiego turystę. Powiedział, że czuje się, jak na swoim Manhattanie. Zapytaliśmy, czemu. A on na to: „No bo wkoło wszystko wysokie, a w dole hałaśliwy tłum" – wspomina spotkanie z Annapurną Wojciech Lewandowski, polski himalaista. I faktycznie. Szlaki w pobliżu dziesiątego co do wysokości szczytu świata biją dziś rekordy popularności. Słynna himalajska pętla wokół Annapurny otwiera większość programów nepalskich biur podróży. Trasę pokonuje się często przy użyciu jeepów 4x4. W tumanach kurzu, z obsługą na drodze, włączając w to noclegi i wyżywienie w himalajskich schroniskach. A sama Annapurna? Pod względem ekologicznym jest dziś bardziej zagrożona niż najbardziej chyba pożądany szczyt świata, Mount Everest.

Annapurna, czyli „pożywienie bogini Kali" (w nepalskim sanskrycie „anna" oznacza właśnie „pożywienie", zaś „purna" to mniej więcej tyle, co „wypełniona", bądź… przydomek dla hinduskiej bogini czasu i śmierci, Kali). Określenie „pożywienia bogini śmierci" nabiera sensu, gdy przyjrzymy się statystykom opublikowanym w Księdze Guinnessa, według której to właśnie Annapurna jest „najniebezpieczniejszą górą świata". Spośród wszystkich 130 osób, które próbowały wspiąć się na jej szczyt, żywych powróciło zaledwie 77. Wskaźnik śmiertelności dla Annapurny wynosi aż 41 proc. Ostatnią pojedynczą ofiarą Annapurny był Hiszpan Iñaki Ochoa de Olza, który zmarł w wyniku obrzęku płuc i mózgu 23 maja 2008 roku. Ale Annapurna pokazała ponownie swoje ponure oblicze – już w październiku 2014 roku wskutek serii lawin śmierć poniosło 39 osób znajdujących się na zboczu góry. Bogini Kali znów była głodna... **GP**

Jaki los czeka tę groźną górę?

Tutejsze szlaki biją rekordy popularności.

NOWA ERA POLSKIEGO TENISA

Leszek **Galarowicz**

IGA ŚWIĄTEK I HUBERT HURKACZ, CZYLI NASZE WIELKIE NADZIEJE

Hubert Hurkacz osiągnął życiowy sukces i zwyciężył w Turnieju ATP rangi Masters 1000 w Miami. Tym samym poszedł śladami Agnieszki Radwańskiej, która wygrała ten turniej 9 lat temu. Kilka miesięcy wcześniej pierwszy triumf w wielkoszlemowym French Open odniosła Iga Świątek. Jest szansa, że ich sukcesy nie będą tylko jednorazowym osiągnięciem, lecz początkiem jeszcze większych karier polskich tenisistów. Czy doczekamy się gwiazdy na miarę lidera bądź liderki światowych rankingów?

Na spektakularny sukces w polskim tenisie czekaliśmy pięć lat. Ostatni odniosła Agnieszka Radwańska w 2015 roku. W finale WTA Finals pokonała Petrę Kvitową. Triumf w turnieju, w którym występują najwyżej sklasyfikowane zawodniczki światowego rankingu jest jednym z największych sukcesów w karierze krakowianki. Najbardziej utytułowana polska tenisistka była też finalistką turnieju na kortach Wimbledonu w 2012 roku. Decydujący pojedynek przegrała z Amerykanką Sereną Williams. Agnieszka Radwańska jeszcze dwukrotnie znalazła się w najlepszej czwórce na kortach, ale za każdym razem uznawała wyższość rywalek. W XXI wieku sukcesy w singlu osiągał też Jerzy Janowicz, który w roku 2013 dotarł do półfinału prestiżowego Wimbledonu. W ćwierćfinale pokonał innego Polaka, Łukasza Kubota. Rok wcześniej Jerzy Janowicz został finalistą turnieju ATP 1000 w Paryżu. Sukcesy, przede wszystkim w grze deblowej, odnosił Łukasz Kubot, który triumfował w Australian Open w 2014 roku oraz trzy lata później w Wimbledonie. W poprzednim stuleciu najbardziej utytułowanym polskim tenisistą był Wojciech Fibak, który wystąpił m.in. w finale Turnieju Masters w Houston, czterokrotnie dochodził do ćwierćfinałów turniejów wielkoszlemowych. Triumfował też w grze deblowej w Australian Open.

To idzie młodość

W ich ślady podążyła Iga Świątek. Przed rozpoczęciem zeszłorocznego French Open nie było eksperta, który stawiałby na 19-letnią Polkę. Kiedy w imponującym stylu odprawiała kolejne rywalki bez straty seta, sen o triumfie w turnieju Wielkiego Szlema stawał się coraz bardziej realny. Do końca paryskiej imprezy Polka nie oddała już ani jednego seta. Tenisowy świat rozpływał się w zachwytach nad stylem jej triumfu. Warszawianka została okrzyknięta królową paryskiej cegły.

Kilka miesięcy po jej spektakularnym zwycięstwie największy sukces w swojej karierze osiągnął Hubert Hurkacz, który w turnieju w Miami pokonał Włocha Jannika Sinnera. Polak triumfował w turnieju najbardziej prestiżowym po cyklu Wielkiego Szlema i ATP Finals, choć znaleźli się „życzliwi", którzy umniejszają jego sukces, wymieniając listę nieobecnych w Miami:

BRAWO, HUBERT!

„Mam nadzieję, że i ja, tak jak Iga Świątek, będę mógł stanowić inspirację dla innych. Jestem dumny z bycia Polakiem i cieszę się ze wsparcia, które otrzymuję" – powiedział Hubert Hurkacz.

Rafaela Nadala, Novaka Djokovicia czy Rogera Federera. Pochwały dla polskiego tenisisty płyną z różnych stron. Jednym z tych, którzy od początku wierzyli, że wygra on turniej w Miami, jest Wojciech Fibak. Utytułowany tenisista zwraca uwagę na atuty 24-latka – regularność i świetną grę w obronie. Inni eksperci podkreślają pozostałe atuty: spokój, opanowanie i mocną psychikę młodego tenisisty.

Wielki talent i ambicja

Bez wątpienia jest duża szansa, aby oboje pięli się w górę światowego rankingu, choć nie należy oczekiwać, że zaczną wygrywać turniej za turniejem. Dziś zajmują miejsca w drugiej dziesiątce rankingów ATP i WTA, ale mają szanse znaleźć się w pierwszej dziesiątce. Eksperci uznają ich za przyszłość światowego tenisa. Maciej Drabikowski z portalu Polski-Tenis.pl jest przekonany, że „Iga Świątek i Hubert Hurkacz mają nie tylko wielki talent, ale są bardzo ambitnymi i pracowitymi tenisistami. Nie satysfakcjonują ich szesnaste pozycje w światowych rankingach. Z pewnością w przyszłości zagoszczą w ścisłej czołówce. Już w tym roku do końca będą walczyli o udział w turniejach Masters – dla ośmiu najlepszych zawodników. Jeśli będą ich omijać kontuzje, to tenisowych kibiców będą cieszyli przez długie lata".

Ostatni wielki sukces w tenisie odniosła Agnieszka Radwańska w 2015 roku.

Przełom w polskim tenisie

Sukcesy obojga młodych tenisistów nie są efektem przypadku, ale przełomu, który dokonał się w rodzimym tenisie 15 lat temu, kiedy rozpoczęły się kariery sióstr Radwańskich, Łukasza Kubota, Mariusza Fyrstenberga i Marcina Matkowskiego, Michała Przysiężnego, Marty Domachowskiej czy Jerzego Janowicza. Korzystali oni z ogromnego finansowego wsparcia w ramach PZT Prokom Team i dzięki tym pieniądzom mogli zaryzykować i rozpocząć udział w dużych turniejach, a przede wszystkim jeździć po świecie i zbierać punkty do rankingów WTA i ATP. Zwraca na to uwagę Tomasz Dobiecki, rzecznik prasowy Polskiego Związku Tenisowego. To, co się wydarzyło w ostatnich latach w polskim tenisie, określa jako efekt śnieżnej kuli, który przyczynił się do rozwoju takich talentów jak Iga Świątek czy Hubert Hurkacz. – Oni wszyscy (nie tylko Aga i Łukasz) pokazali, że polscy tenisiści mogą osiągać największe sukcesy na świecie, co miało wpływ na rozwój talentów kolejnych młodych zawodników, czyli m.in. Igi Świątek czy Huberta Hurkacza. Ale też Kamila Majchrzaka czy Kacpra Żuka, którzy lada chwila mogą też być w pierwszej setce ATP. Tu działa efekt wzajemnego napędzania się, bo jeśli ktoś, kogo się zna od czasów juniora i z kim się nieraz grało, osiąga sukcesy, to dodatkowo mobilizuje – dodaje rzecznik. Sukcesy Radwańskiej, Kubota, Fyrstenberga i Matkowskiego czy Janowicza spowodowały zainteresowanie tenisem sponsorów. Od dwóch lat Sponsorem Strategicznym PZT jest Grupa Lotos. W tym roku, w jakiejś części właśnie dzięki sukcesom Świątek, Hurkacza, Żuka, Majchrzaka, Magdy Linette i paru innych, ale dzięki wsparciu sponsorów, w 95. Narodowych Mistrzostwach Polski w Bytomiu będzie rekordowa pula nagród – ponad 700 tys. zł.

Kiedy w 2018 roku Agnieszka Radwańska kończyła karierę, eksperci wieszczyli chude lata polskiego tenisa. Okazało się, że obawy ich były płonne, bo Magda Linette i Hubert Hurkacz zwyciężali w turniejach WTA 250 czy ATP 250 już w 2019 roku, a spektakularny triumf Igi Świątek na paryskich kortach przyszedł w 2020 roku. Wkrótce potem życiowy sukces dołożył Hubert Hurkacz, który powiedział: „Mam nadzieję, że i ja, tak jak Iga Świątek, będę mógł stanowić inspirację dla innych. Jestem dumny z bycia Polakiem i cieszę się ze wsparcia, które otrzymuję". Wojciech Fibak wierzy, że oboje mogą zajść bardzo wysoko w światowym rankingu. – Od wielu lat wierzę w możliwości Igi Świątek i Huberta Hurkacza. Jestem orędownikiem ich talentu i wierzę, że osiągną wyższy ranking i przebiją się do światowej dziesiątki, a nawet piątki, oraz że staną się ambasadorami Polski na świecie – puentuje. **GP**

FOT. SPEED MEDIA/ZUMA PRESS/FORUM, SMG/ZUMA PRESS/FORUM

KOLOROWA TRADYCJA

Robert **Kilen**

JAK HISTORIA kształtuje barwy samochodów

W polskiej komedii „Miś" pojawia się refleksja na temat tradycji. „Tradycja to jest ludu śpiewanie, to jest ojców mowa, to jest nasza historia". Tradycji się nie ustala. Ona sama się kształtuje i istotne jest, by ją pielęgnować. Nie bez powodu o tym wspominam. Tradycja to także część dzisiejszej motoryzacji, która kształtowała się wraz z jej rozwojem. 14 kwietnia w 1929 roku odbył się pierwszy wyścig o Grand Prix Monako. Obecnie impreza zaliczana jest do mistrzostw Formuły 1. Pochwalę się, że miałem okazję przejechać fragment ulicznego toru Circuit de Monaco, który tworzą dziś ulice Monte Carlo i osiedla La Condamine. Trasa prowadzi przez wiele zakrętów, jest pofałdowana, niekiedy przemyka ulicznymi przesmykami, przez co uznawana jest za jedną z najtrudniejszych torów Formuły 1. Lecz wówczas, w 1929 roku, z pewnością nikt nie wyobrażał sobie, że wyścig zorganizowany przez prezydenta Automobile Club de Monaco, producenta papierosów Antony'ego Noghes'a, stanie się w przyszłości jedną z najsłynniejszych aren wyścigowych. Pierwszy wyścig o Grand Prix Monako wygrał William Grover-Williams w samochodzie Bugatti. Do dziś team „Williams" kojarzy się z wyścigami Formuły 1. Tę tradycję, jak widać, także łatwo można powiązać z przeszłością. Podobnie jak tradycyjne kolory samochodów. I to właśnie jest clue. Williams, notabene Brytyjczyk francuskiego pochodzenia, jechał w Monako zielonym bugatti. Ów charakterystyczny zielony kolor (tzw. Shamrock green) nadwozia stał się rozpoznawalnym znakiem Wyspiarzy w sportach samochodowych. Dziś nazywany jest brytyjską zielenią wyścigową. Dlatego na przykład znawcy motoryzacji kupując land rovery, mini czy jaguary zamawiają je w kolorze zielonym. I to mimo że dziś firmy te do Brytyjczyków już nie należą. Inne państwa także mają swoje charakterystyczne kolory wyścigowe. Włosi to rossa corsa – intensywna czerwień. Dlatego właściciele ferarri zwykle chcą ten samochód w tym kolorze. Chociaż tak naprawdę tę barwę wywalczył dla Italii Fiat w pucharze Gordona Bennetta (Grand Prix Francji) w 1907 roku. Z tej włoskiej tradycji wyłamuje się Lamborghini, które tradycyjnie jest żółte, a nie czerwone. Ale już na przykład auta Alpine, marki nie tak dawno wskrzeszonej przez Francuzów, często pojawiały się w materiałach prasowych w kolorze niebieskim. A ów kolor, Bleu de France, czyli francuski błękit, gościł na wyścigówkach Peugeota, Alpine, Talbota i innych w początkach XX wieku. Dwa wyjątki to Citroën i Renault. Cytryny malowano na czerwono-biało, a renówki na żółto i czarno. Dlatego, być może, wspomniany błękit nie kojarzy się tak mocno z francuskimi szybkimi autami jak czerwony z włoskimi czy zielony z brytyjskimi. Pora na Niemcy. Hrabia Zborowski, pomysłodawca tego, żeby każdy kraj miał swoją wyścigową barwę, ustalił, że niemieckie samochody powinny być malowane na biało. Jednak nie wszystkim producentom to się spodobało. W latach 30. zespoły Mercedes-Benz i Auto Union (dla uproszczenia dzisiejsze Audi) nie używały tradycyjnej niemieckiej białej farby. Samochody nie były w ogóle malowane, dlatego „gołe" srebrne elementy karoserii dały początek określeniu Silver Arrows (srebrne strzały). Do dziś szybkie mercedesy często są srebrne. Choć zdarzały się wyjątki. Na przykład 200-konny mercedes-benz SSKL z doładowaniem, w którym Rudolf Caracciola wygrał wyścig Mille Miglia w 1931 roku, został nazwany Białym Słoniem, przecież nie dlatego, że był srebrny. Jedynie BWM hołduje tradycji niemieckiej bieli. Auta teamu BMW Sauber były głównie białe. Podobnie samochody ścigające się w latach 60. ubiegłego wieku. Skąd więc w Polsce moda na czarne BMW? Nie wiadomo. Lecz na pewno nie ma to nic wspólnego z motoryzacyjną tradycją. Czarny powinien być raczej ford, bo każde dziecko przecież wie, że Henry Ford oferował model T właśnie w tym kolorze. Ale to oczywiście niewiele miało wspólnego ze sportem. Decydowały o tym względy finansowe, bo wówczas czarny lakier samochodowy był najtańszy. Przyznam się, że mijając na drodze kogoś w białej beemce zastanawiam się czasem, czy wie, o co chodzi z tą tradycją, czy też wybrał kolor „bez dopłaty"? **GP**

FOT. MAT. PRAS.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

GAZETA POLSKA

Jan
Przemyłski
albicla.com/JanPrzemylski

KOSMOS NIEZDROWY DLA SERCA

DALEKIE PODRÓŻE POZAZIEMSKIE OSŁABIĄ LUDZKI ORGANIZM

Szczegółowe badania przeprowadzone przez NASA wykazały, że długotrwały wpływ stanu nieważkości powoduje skurczenie i osłabienie mięśnia sercowego. Najnowsze ustalenia mogą stanowić przeszkodę dla projektów związanych z długimi lotami kosmicznymi, m.in. na Marsa. Naukowcy głowią się teraz, jak rozwiązać ten problem.

Pewne jest już, że ludzkość stanie się kiedyś gatunkiem międzyplanetarnym. W ciągu następnych kilku dekad na Marsie, ale też na naszym naturalnym satelicie, czyli Księżycu, mają powstać bazy, w których zamieszkają przyszli kolonizatorzy. Technologia pozwalająca na to przedsięwzięcie jest już prawie gotowa. Jednak okazuje się, że największą przeszkodą w przeprowadzce na inne ciała niebieskie może być... ludzki organizm. Dowodzą tego badania naukowców z NASA wykonane na bliźniakach. Chodzi o eksperyment przeprowadzony na przełomie 2015 i 2016 roku, w którym wzięli udział emerytowani astronauci, identyczne bliźniaki Scott i Mark Kelly. W celach naukowych pierwszy z nich spędził na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS) nieprzerwanie 340 dni, z kolei drugi pozostał na Ziemi, żeby można było porównać, jakie zmiany zaszły w ich organizmach. W tym czasie obaj zbierali różne dane na swój temat: m.in. pobierano im krew, mocz, badano funkcje organizmu. Eksperyment, którego oficjalne wyniki uzupełniono kilkanaście dni temu, wykazał, że długotrwałe doświadczanie stanu nieważkości spowodowało obkurczenie mięśnia sercowego Scotta. Organ ten zazwyczaj pompuje krew z dużą mocą, ponieważ musi zmagać się z siłą grawitacji. Jeśli przyciągania nie ma, serce nie pracuje tak ciężko, przez co słabnie.

Astronauta biegał na specjalnej bieżni i wykonywał ćwiczenia oporowe, mimo to jego serce zmalało.

Naukowcy sądzili, że specjalny plan treningowy i regularne ćwiczenia (sześć dni w tygodniu) na orbicie pomogą przeciwdziałać temu zjawisku. Finalnie okazało się, że nie są one tak skuteczne, jak początkowo zakładano. Na szczęście po kilku miesiącach od powrotu na Ziemię serce Scotta wróciło do normalnych rozmiarów.

Warto zaznaczyć, że badania ekspertów z NASA wykazały również niewielkie uszkodzenia DNA, które najprawdopodobniej wynikają z ekspozycji na promieniowania kosmiczne.

Rozwiązanie powyższych problemów jest kluczowe, jeżeli chcemy myśleć o dalekich podróżach kosmicznych. **GP**

FOT. ADOBE STOCK

PLASTUSIOWY KOMENTARZ

Barbary Pieli

GAZETA POLSKA

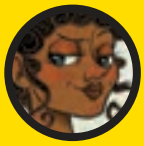

TEKST I KONCEPT
HELENA TROJAŃSKA

KRÓL LEW (SALONOWY)

GAZETA POLSKA

Oburzająca krzyżówka Piotra Lisiewicza

Chamówa, której dopuścili się w rocznicę zbrodni z 10 kwietnia 2010 roku Donald Tusk, Leszek Miller i stacja TVN, zainspirowała Państwa do wymyślenia niektórych haseł w dzisiejszej krzyżówce. Obok tej tematyki trochę bieżących tematów związanych z głupotami wygadywanymi przez opozycję. Nagrodą główną jest dziś film „Legiony" na płycie DVD.

Hasło krzyżówki sprzed tygodnia to ZABÓJCA Z KREMLA, nagrody przyznam za tydzień. Dziś wyróżnienia za krzyżówkę wielkanocną sprzed dwóch tygodni, z hasłem PUSTY GRÓB. Nagrody główne, czyli książki prof. Grzegorza Kucharczyka „Katedra i uniwersytet. O kryzysie i nadziei chrześcijańskiej cywilizacji", otrzymują Stanisław Marchewka z Mykanowa oraz Stanisław Świder z Chabówki. Niespodzianki trafiają do Laury V. Sanchez z Kani, Grażyny Zając z Przebieczan, Julianny Miąsek z Warszawy i Marka Blandzi z Pleszewa.

Przypominam, że w naszej krzyżówce nagród nie losujemy. Rozwiązanie to hasło krzyżówki (tworzą je litery z kratek oznaczonych cyferkami w prawym dolnym rogu). Oprócz hasła podać trzeba OBOWIĄZKOWO propozycję haseł (wyrazów) do kolejnej krzyżówki wraz z opisem oraz Państwa adres. Ci z Państwa, którzy podadzą prawidłowe hasło krzyżówki i najciekawsze pomysły do krzyżówek kolejnych, mogą wygrać dwie nagrody główne i cztery niespodzianki. Nagrody można więc wygrywać wielokrotnie, decydują nadesłane pomysły. Koniecznie podawajcie nam Państwo swój adres, na który mamy wysłać upominki. Przypominam też, że rozwiązania krzyżówki dotrzeć muszą do nas do wtorku na e-mail krzyzowka@gazetapolska.tv.

ILUSTRACJA TREVOR

Piotr **Lisiewicz**
albicla.com/PiotrLisiewicz

Regulamin konkursu dostępny na stronie www.gazetapolska.pl

PODAJ HASŁO

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11

BIJ SIĘ O NAGRODY

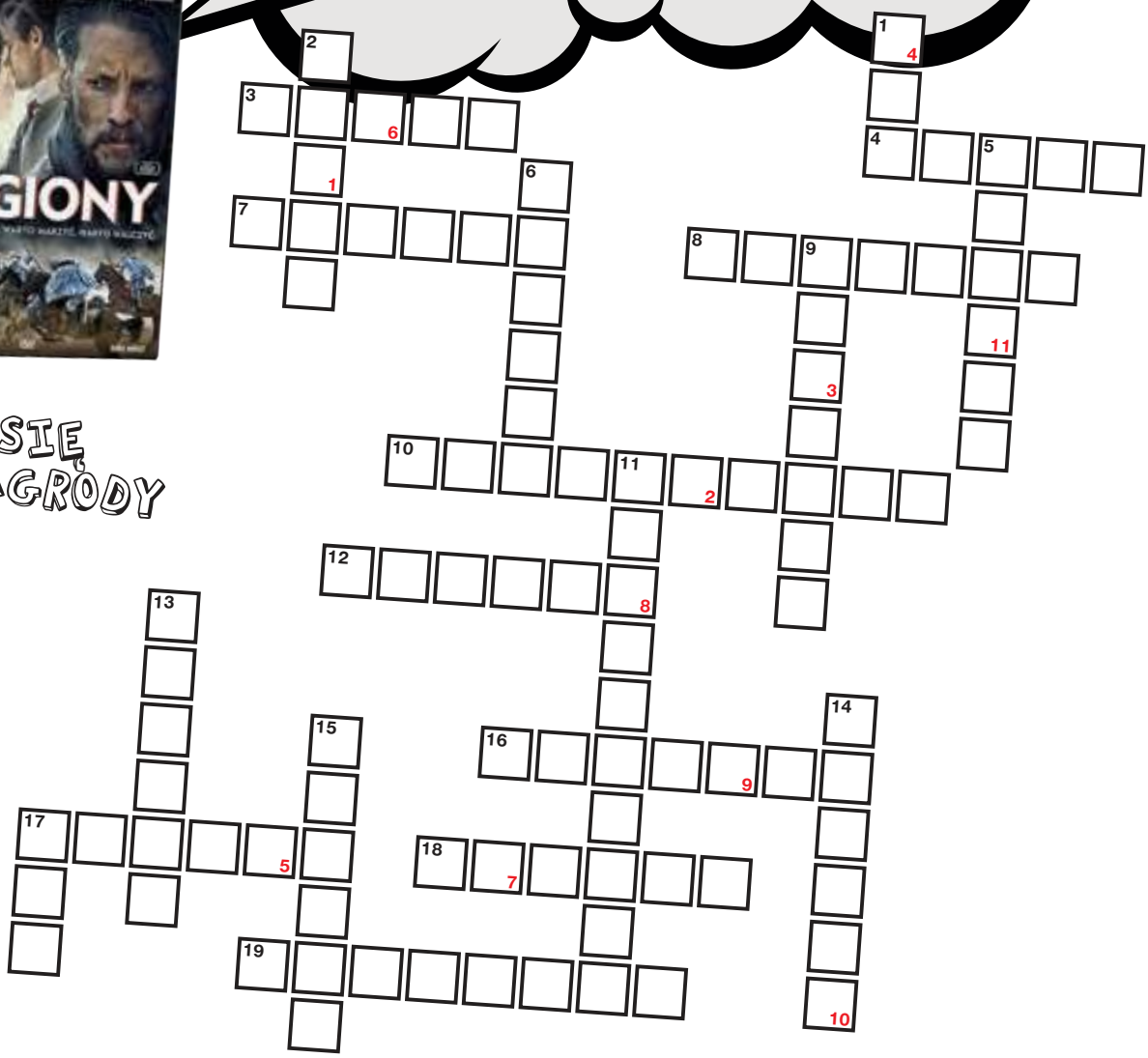

POZIOMO

3. Jak wygra wybory, zlikwiduje studia teologiczne i historyczne
4. Nazwał Putina bandytą
7. Były premier i finansowany przez Związek Sowiecki aparatczyk PZPR, który próbował przebić brednie Tuska o Smoleńsku
8. Autor wiersza „Guziki"
10. Internetowy ściek hejtu
12. Kraj europejski, którego władca był odpowiedzialny za śmierć wielu milionów mieszkańców Konga
16. Rymuje się z łajno. Kanalia, która usiłowała zakłócić smoleńskie uroczystości
17. Reżyser znakomitego filmu „Smoleńsk"
18. Na ten kraj też Niemcy napadli, ale on właśnie wystawił im za to rachunek
19. Niedoszły ksiądz, który twierdzi, że kościoły to są tylko budynki jak każde inne budowle, i nawołuje do ich zamknięcia

PIONOWO

1. Z tej służby wywodzi się 70 proc. osób sprawujących kluczowe stanowiska w Rosji
2. Żeby przebić najdłużej panującego cara Rosji Iwana IV Groźnego, musiałby rządzić jeszcze pięć kadencji
5. Patron Centralnej Szkoły Prawniczej, powołanej do życia w 1948 roku, której spadkobiercą jest obecna najwspanialsza kasta
6. Inne określenie karalucha albo pogardliwie o zaborcy zza Odry
9. Imię ostatniego Prezydenta RP na Uchodźstwie, który spoczął w Panteonie Wielkich Polaków w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie
11. Twórca ruchu oazowego zamordowany przez SB, przeciwko upamiętnieniu którego głosowało ugrupowanie Hołowni
13. Jego przylot to pierwszy zwiastun wiosny
14. Autor muzyki do filmu „Smoleńsk"
15. Stan USA, w którym ma być nauczana sprawiedliwa, antyrasistowska matematyka
17. Duże zwierzę pociągowe kojarzone niekiedy z mecenasem Giertychem

Listy

OKŁADKA: TREVOR. FOT.:ADOBE STOCK

Balcerowicz nie rozumie

Pomyśleć, że kiedyś uważałem go za dobrego ekonomistę. Okazało się, że to kompletny idiota i wciąż daje kolejne dowody swojego kretynizmu. 500+ to wcale nie program pomocy rodzinom, ale przede wszystkim pobudzenia gospodarki przy pomocy wzrostu popytu wewnętrznego. Duże kraje mogą sobie na takie działania pozwolić, pod warunkiem że robi się to ostrożnie i z głową. [...]

zubenelgubenupi

„Osiągnięcia" ekonomisty

Ów specjalista dwukrotnie w III RP się „wykazał" – za pierwszym razem za rządów Mazowieckiego (starsi pamiętają te czasy i jego „reformy"), drugim razem za czasów AWS, kiedy twierdził, że Polska jest „tygrysem Europy", potem zaś, aby (jak to mawiał) „gospodarka się nie przegrzała", schładzał gospodarkę. Skończyło się to upadkiem partii o nazwie Unia Wolności (do której przynależał) i bodajże 2-proc. poparciem AWS w następnych wyborach. Najdobitniej działalność p. Balcerowicza podsumowywał śp. A. Lepper.

Anonim

Antypolskie siły

Nie narzekajmy na Polskę, tylko na tych, którzy nadal usiłują czynić zło perfidnymi metodami, w tym w walce o władzę. Siły antypolskie okopały się w różnych układach, systemach i szaleńczo bronią swych pozycji, przy wsparciu nieprzychylnych nam sił zewnętrznych. To jest główna przyczyna ich bezkarności. Bądźmy konsekwentni, ale i rozsądnie cierpliwi.

Anonim

Groteskowa miałkość

Czasami błędy zdarzają się również ludziom przyzwoitym. W takiej sytuacji przyznają się do błędu i przepraszają. Ludzie pyszni mówią, że w błędzie są wszyscy inni. Czasami brną w swoich błędach bez końca i stają się nawet groteskowi, jak nie przymierzając Lechu (wart śmiechu) Wałęsa. Hołownia też już jest groteskowy, chociaż na ten moment wart co najwyżej pożałowania. Ciekaw jestem, czy doprowadzi się do fazy śmiechu, jak Lechu czy Rychu (Petru).

Piotr

Urabiacze

Fundacje niemieckich głównych nurtów politycznych prowadzą w Polsce większą działalność intelektualną w dziedzinie polityki niż wszystkie polskie partie razem wzięte: sama tylko Fundacja Adenauera ma do dyspozycji od 100 do 200 milionów euro rocznie na badania, ekspertyzy, prace naukowe, wydawnictwa, organizacje sympozjów czy kongresów. Dzięki takim środkom można kształtować poglądy i urabiać mieszkańców takich państw jak Polska, Czechy czy Litwa. Podatni na urabianie są zwłaszcza studenci zachłyśnięci „nowoczesnym" światopoglądem Zachodu. Robi się to tym łatwiej, że wraz z gwałtownym wzrostem liczby studentów spada ich poziom intelektualny i zdolność do samodzielnego myślenia.

Anonim

ŚCIĘTO 9 TYSIĘCY DRZEW W WARSZAWIE

I żaden „ekolog", „obrońca Ziemi" czy inny fanatyk nie przywiązał się choćby do jednego drzewa, jak to było w Puszczy Białowieskiej! Widocznie są drzewa i drzewa, zależnie od mądrości etapu opozycji.

Greenpiss

Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl

redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska

kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Piotr Nisztor, Hubert Kowalski, Grzegorz Wierzchołowski, Kaja Bogomilska, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), Bohdan Urbankowski, Marcin Wolski, historia Tomasz Łysiak (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, obrona narodowa Igor Szczęsnowicz (kier.), Konrad Wysocki, Jacek Liziniewicz (Środowisko), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), Grzegorz Broński (Kryminalni), Ryszard Kapuściński (kluby), stali felietoniści Ryszard Czarnecki, Tadeusz P. Płużański, Jan Pospieszalski, Michał Rachoń, Jerzy Targalski, Tomasz P. Terlikowski, Dawid Wildstein

projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński

nadzór graficzny i foto Mariusz Troliński (kier.), Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Maciej Kiełkucki

sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o., Wyszków

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.

Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13:
Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483;
Ewa Wójcik, tel. 505 942 224
e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy:
e-mail reklama@gazetapolska.pl,
tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji:
e-mail promocja@gazetapolska.pl,

GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl

GAZETA POLSKA

1. Na której nizinie leży najniższy punkt Europy (depresja położona 28 m p.p.m.)?

2. Która cieśnina łączy Ocean Atlantycki z Morzem Śródziemnym?

3. Ten archipelag znajdujący się na Morzu Bałtyckim składa się z około 6,5 tys. wysp, z czego tylko 60 jest zamieszkanych. O jakie wyspy chodzi?

4. Największym półwyspem europejskim jest...

5. Ile państw leży w Europie?

6. Które tureckie miasto leży po obu stronach cieśniny Bosfor, zatem na dwóch kontynentach – w Europie i Azji?

7. Jak się nazywa i gdzie się znajduje największe jezioro Europy?

FOT. WIKIPEDIA

ODPOWIEDZI:
1. NADKASPIJSKIEJ, 2. GIBRALTARSKA
3. ALANDZKIE, 4. ...PÓŁWYSEP SKANDYNAWSKI, 5. 47
6. STAMBUŁ, 7. ŁADOGA W ROSJI

PRENUMERATA

Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: 605 900 002
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW IBAN: PL)

Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: 722 111 655
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

FELIETON

{ WRZUTKA }

Marcin
Wolski
albicla.com/MarcinWolski

ŻYCIE **NA MIĘKKO**

Opinię publiczną zaszokowały doniesienia na temat praktyk stosowanych w szkołach artystycznych. Padają ciężkie słowa o upokorzeniu, pogardzie, terrorze psychicznym, ale w gruncie rzeczy wszystko koncentruje się wokół zjawiska tzw. fuksowania, przypominającego osławioną „falę" w wojsku. Młody człowiek poddawany jest bezwzględnej obróbce pedagogów i starszych kolegów. Czasem ma to charakter zwykłego znęcania się, częściej stanowi element rytuału inicjacyjnego. Co ciekawe, takie zjawisko nie jest wynalazkiem sowieckim. Np. pod nazwą faggingu istniało w szkolnictwie brytyjskim, gdzie aż do końca ubiegłego wieku normalną praktyką było, że młodsi uczniowie – często z rodzin szlacheckich – służyli w charakterze ordynansów vel lokajów starszym kolegom. Uważano, że najpierw należy człowieka złamać, aby ukształtować go na nowo. W przypadku aktora idea była podobna – student musiał pozbyć się wstydu, oporów, aby móc wcielać się potem przekonywająco w dowolną postać. Nowa epoka uznaje tego rodzaju zachowania za niedopuszczalne. Wahadło poleciało w drugą stronę, wszystko ma zapewnić komfort życia indywidualnego człowieka – ze szkół znika przymus. Wymagania, stopnie czy kary okazują się zbyt stresujące, tak jakby edukacja nie miała m.in. hartować do dorosłego życia, w którym stres będzie czymś normalnym. Owa przyjazność ogarnęła również wojsko. W USA pilotami mogą być kobiety w ciąży, a w wojsku służą transseksualiści, jeśli mają ochotę. Nikt nie pyta – bo nawet nie wolno – jaki będzie to miało wpływ na sprawność obronną, kiedy o życiu i zwycięstwie decydują ułamki sekund, odruchy, a nie rozważania na temat słuszności rozkazu. Bardziej od twardej szkoły życia boję się słodkiego świata rozkosznej wolności, gdzie dowolna mniejszość może sterroryzować większość, a hasła indywidualnej wolności – sparaliżować skuteczną walkę, nawet z pandemią. **GP**

Wahadło poleciało w drugą stronę, wszystko ma zapewnić komfort życia indywidualnego człowieka – ze szkół znika przymus.

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }

Tomasz
Łysiak
albicla.com/TomaszLysiak

POŻEGNANIE **KSIĘCIA FILIPA**

Z Windsoru popłynęła wiadomość, która zelektryzowała świat: „Z głębokim smutkiem Jej Wysokość Królowa ogłosiła śmierć swojego ukochanego męża, Jego Królewskiej Wysokości Księcia Filipa, Księcia Edynburga. Jego Królewska Wysokość odszedł spokojnie dziś rano na zamku Windsor". To jedna z tych śmierci, przy których zwykło się mawiać: „Oto skończyła się pewna epoka". Oraz jedna z tych śmierci, które zaskakują dlatego, że o pewnych postaciach myśli się podświadomie, iż w jakiejś mierze są wieczne, nieśmiertelne. Dopiero Anioł Śmierci przypomina, że każdemu z nas czas upływa jak piasek przesypujący się przez palce. Jednak w tej śmierci jest rzecz znamienna: to rzeczywiście jeden z tych „ludzkich pomników" dawnej, tradycyjnej epoki, jakie się jeszcze do naszych czasów zachowały. Tym pomnikiem są w ogóle monarchia brytyjska, angielska korona oraz oczywiście postać samej królowej Elżbiety. Być może właśnie kwestie ostatnich skandali związanych z wypowiedziami medialnymi młodego pokolenia jeszcze bardziej podkreślają i uwidaczniają, jak bardzo obecny czas jest już zdegenerowany, zepsuty, pozbawiony oparcia w dawnych wartościach – nazwijmy je ogólnie „mieszczańskimi", „wiktoriańskimi". To, co widzowie znakomitego serialu „The Crown" mogli oglądać jako obraz życia na królewskim dworze, w mniejszej skali (i zaznaczając, że toutes proportions gardées) było doświadczeniem starszego pokolenia, dla którego dobre wychowanie, kindersztuba, szacunek wobec kobiet, dbałość o ubiór, o własną godność, swego rodzaju zdrowa purytańska uwaga skupiona na tym, by nie epatować nagością, wulgarnością, niepotrzebnym erotyzmem – były po prostu składnikami świata. Ten, kto te zasady – pielęgnowane właśnie przez rodziny królewskie, arystokrację i szlachtę – łamał, skazywał się na życie na marginesie. Teraz ten dawny margines stał się czymś powszednim, a marginalna stała się dawna, zwykła, mieszczańska moralność. W tym sensie śmierć księcia Filipa jest dla mnie jednym z kolejnych symboli odchodzenia tego staroświeckiego, pięknego świata. **GP**

Śmierć księcia Filipa jest dla mnie jednym z kolejnych symboli odchodzenia staroświeckiego, pięknego świata.

OKONIEM

Katarzyna
Gójska
albicla.com/KatarzynaGojska

FELIETON

BEZCZELNE WYNURZENIA

W związku z 11. rocznicą tragicznej śmierci polskiej delegacji pod Smoleńskiej w mediach, które od pierwszych chwil po tym dramatycznym wydarzeniu dziarsko siały dezinformację, ukazały się wspominkowe artykuły o tym, jak ich autorzy nigdy nie zapomną owych straszliwych chwil. Dziennikarz portalu Onet pisał o łzach Tuska, rozbiciu Kraśki itp. Nie wiem, jakie emocje targały wymienionymi i innymi podczas strasznych kwietniowych dni sprzed jedenastu lat, wiem jednak doskonale, że nawet jeśli były wśród nich smutek czy żal, to nie przeszkadzały im one aktywnie uczestniczyć w rozsiewaniu rosyjskiej propagandy, kilka tygodni później wprost atakować ofiary, a samemu ówczesnemu premierowi dwoić się i troić, by realizować interes Federacji Rosyjskiej, a przy okazji zapewne i własny. Przyznam szczerze, iż takie wynurzenia kłamców i manipulatorów, a bardzo często także siewców nienawiści i pogardy wobec tragicznie zmarłych, ich rodzin i tych, którzy w cichej modlitwie starali się upamiętniać choćby śp. Prezydenta Rzeczypospolitej, oceniam jako odrażające. Powiem zupełnie wprost: ludzie po szyję unurzani w kłamstwo smoleńskie, w lżeniu uczestników Marszy Pamięci dostrzegający artystyczny happening, powinni w tym dniu – 10 kwietnia – milczeć. Jeśli nie potrafią przepraszać. Każdy 10 kwietnia jest także rocznicą ich hańby. Każdy, kto uczciwie przez ponad dekadę śledził informacje dotyczące wyjaśniania przyczyn tragedii spod Smoleńska, wie – musi wiedzieć – że ówczesne władze RP pod przewodnictwem Donalda Tuska uczestniczyły w kryciu prawdziwego przebiegu zdarzeń. To nie spekulacje czy domniemanie, to już dobitnie udowodniony fakt. Polski rząd pozbył się wszelkich kompetencji w sprawie zbadania przyczyn śmierci znamienitych obywateli naszego kraju z głową państwa na czele. Bezczelnie krył niszczenie dowodów, zakłamywanie odczytów czarnych skrzynek, zmieniał raporty biegłych tak, by korespondowały z propagandą zaordynowaną przez MAK. By dodać wiarygodności moskiewskiej wersji zdarzeń, był gotów brutalnie pomawiać ofiary – a w tym wszystkim miał oddanych pomocników: ogromną część mediów. **GP**

Powiem zupełnie wprost: ludzie po szyję unurzani w kłamstwo smoleńskie, w lżeniu uczestników Marszy Pamięci dostrzegający artystyczny happening, powinni w tym dniu – 10 kwietnia – milczeć. Jeśli nie potrafią przepraszać. Każdy 10 kwietnia jest także rocznicą ich hańby.

GAZETA POLSKA

Michał
Rachoń
albicla.com/michalrachon

W mediach opublikowano opatrzoną zdjęciem informację o tym, że prezydent Andrzej Duda rozmawiał z królem Jordanii. Jordania to kluczowy z wielu powodów kraj w skomplikowanych relacjach na Bliskim Wschodzie. I państwo bardzo ważne z punktu widzenia międzynarodowego bezpieczeństwa.

WIELKIE KŁAMSTWA MAŁYCH KABLARZY

FELIETON

Ale polski świat mediów nie zainteresował się powyższym aspektem sprawy. To, co poruszyło wszystkich – od szeregowego dziennikarza koncernu Axel Springer aż po byłego przewodniczącego Rady Europejskiej i szefa EPL, innego byłego premiera, ważnych polityków i w zasadzie wszystkie mainstreamowe redakcje w Polsce, to rzekomo niepodłączony kabel w telefonie prezydenta. Jeden z internautów wrzucił do sieci zdjęcie z rozmowy, na którym pomylił przełącznik dzwonków w stacjonarnym telefonie prezydenta z gniazdem linii telefonicznej. Na jego wpis odpowiedział rzecznik prezydenta mówiąc, że telefon jednak był podłączony. Wydawałoby się, że ta krótka wymiana tweetów kończy sprawę. Okazało się jednak inaczej. Dziennikarz Onetu Kamil Dziubka uznał, że wpadł na trop wielkiej afery. Ze wszystkich dział odpalił, że telefon nie mógł być podłączony, bo on porównał zdjęcie aparatu z instrukcją i z niej wynika, że rzecznik kłamie. W ślad za wpisem Dziubki na portalu pojawił się tekst: „Prezydent dzwonił z niepodłączonego telefonu? Analizujemy konstrukcję aparatu". Kiedy największy w Polsce portal internetowy publikuje tego rodzaju informacje, sprawa nabiera innego znaczenia. To już nie jeden internauta, któremu coś się pomyliło, lecz organizacja medialna z wielomilionowymi zasięgami, z zatrudnioną masą ludzi, których jedynym zadaniem w pracy jest weryfikowanie informacji i publikowanie ich. Jednak nikt z tych ludzi nie zauważa tego, co jest faktycznie na zdjęciu. Kabel telefoniczny. Jest, ale mniej widoczny, bo nikt nie zaznaczył go kółkiem, żeby ułatwić pracę, pożal się Boże, dziennikarzom portalu. Publikacja zgodnie ze stadnym instynktem polskiego półświatka medialnego została powielona w kolejnych milionach wyświetleń przez wszystkie mainstreamowe serwisy internetowe w Polsce. Po tym, jak internet został zalany tą bzdurą, do gry weszli politycy totalnej opozycji, przystępując do politycznej konsumpcji tego dania. Rechot rezonował w tweetach Katarzyny Lubnauer (potem tweet skasowała), a do obrzucania błotem włączyli się inni – były premier Marek Belka oraz naczelny troll polskiego Twittera, Donald Tusk. Za sprawą ordynarnego kłamstwa przez pół dnia polski świat polityki zajmował się sprawą kabla. W tym samym czasie na rosyjsko-ukraińskiej granicy zbierają się wielotysięczne rosyjskie wojska. Polski minister spraw zagranicznych prowadzi dyplomatyczne rozmowy w Kijowie, Rosja do spółki z sojusznikami próbuje wkręcić Europę w swoją wątpliwą szczepionkę, a w Polsce zarejestrowano prawie tysiąc ofiar COVID-19. Każda z tych spraw ma potencjalnie istotny wpływ na życie polskich obywateli, ale to kabel, a w zasadzie przyprawianie za jego pomocą „gęby" prezydentowi, stało się tematem numer jeden. Medialny przemysł III RP ma na koncie tysiące takich akcji. Tylko w zeszłym tygodniu powielano bzdury na temat strat Orlenu, szczepień w Rzeszowie czy o Niemcach odejmujących sobie szczepionki od ramion, żeby mogli zaszczepić się Polacy. Wszystko zgodnie z doktryną Palikota: kłamać na potęgę, bo tylko tak można wygrać. Jednak te w gruncie rzeczy małe łgarstwa mają olbrzymią wagę z innego powodu: dokładnie na tej samej zasadzie budowane są kłamstwa w sprawach fundamentalnych. Na początku tygodnia nasi konkurenci z „Sieci" poinformowali, że kolejna, czwarta instytucja – laboratorium włoskiej policji potwierdziło, że na wraku samolotu, który 11 lat temu eksplodował nad Smoleńskiem, znaleziono ślady materiałów wybuchowych. W tym samym czasie na antenie TVP1 w magazynie śledczym Anity Gargas opublikowano relację świadka, który twierdzi, że 11 lat temu państwo polskie i polskie wojsko były przygotowane do wyjazdu do Smoleńska w celu prowadzenia śledztwa i sprowadzenia wraku do Polski. A także, że polski rząd został poinformowany o prawnych możliwościach załatwienia tej sprawy. O umowie z roku 1993 wiemy od 11 lat, o materiałach wybuchowych od 10, kiedy Cezary Gmyz opublikował tekst „Trotyl na wraku Tupolewa". W jednej i drugiej sprawie mamy masę informacji, jednak tak samo jak w kwestii kabla konglomerat mediów III RP wraz z politykami odpowiedzialnymi za to, co wówczas się wydarzyło, konsekwentnie kłamał. Ich siła była przez lata tak duża, że jeszcze dziś oczywiste wnioski dotyczące materiałów wybuchowych czy oddania wyjaśniania sprawy Smoleńska w rosyjskie ręce są przedmiotem rechotu. Rechotu medialno-politycznych specjalistów od kabla. Ludzi i całych środowisk, które w sprawach wielkich i zasadniczych łgają dokładnie tak samo bezczelnie jak w sprawach małych. **GP**

sklep.gazetapolska.pl

Sklep Niepodległego Polaka

UWAGA! NOWOŚĆ

75,00 zł*

Twarda oprawa

HISTORIA CHRZEŚCIJAŃSTWA. ŚWIĘTOŚCI, UPADKI I NAWRÓCENIA,

TOM 1 OD NARODZIN JEZUSA DO UPADKU KONSTANTYNOPOLA

Wybitny historyk i pisarz **prof. Wojciech Roszkowski**, twórca takich bestsellerów jak „Świat Chrystusa", „Roztrzaskane lustro" i „Bunt barbarzyńców", w żadnym wypadku nie zgadza się z opiniami, że kryzys ten jest zwiastunem ostatecznego upadku Kościoła. Autor dowodzi, że Kościół od swego zarania zmagał się z rozmaitymi wyzwaniami i konfrontowany był z przeróżnymi zagrożeniami, inicjowanymi od środka i z zewnątrz. A przecież jednak zawsze znajdował siły oraz sposoby, by kryzys pokonać i kontynuować swoją misję. Zwyciężał mocą i aktywnością swoich wyznawców; przez karty tej książki przewijają się najwięksi z nich.

Żeby mieć argumenty, trzeba posiąść wiedzę. Żeby skutecznie bronić Kościół, trzeba poznać jego historię. Najlepiej taką, która wyszła spod pióra wybitnego pisarza i przekonanego wyznawcy, a nie zdeklarowanego lub zamaskowanego wroga. Ten ostatni bowiem zawsze będzie posługiwał się manipulacją, udając „obiektywnego" badacza w celu siania wątpliwości. W ten sposób powstało wiele błędnych stereotypów na temat życia Jezusa i funkcjonowania Kościoła na przestrzeni dwudziestu wieków. Z takimi stereotypami rozprawia się Autor tej książki. Drugim z powodów powstania dwutomowej, bogato ilustrowanej historii chrześcijaństwa, zatytułowanej znamiennie „Świętości, upadki i nawrócenia", był kryzys, jaki obecnie dotyka Kościół w świecie.

65,00 zł*

Twarda oprawa

KATEDRA I UNIWERSYTET.

O KRYZYSIE I NADZIEI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ CYWILIZACJI

Prof. Grzegorz Kucharczyk to jeden z najbardziej błyskotliwych polskich erudytów i publicystów, autor wielu głośnych książek. W dobie demolowania humanistyki przez postnowoczesnych „naukowców", i to na czcigodnych uniwersytetach, Autor nie boi się powiedzieć wprost, że mamy do czynienia z czystą głupotą. Rozjaśnia umysły i wykazuje marność fundamentów zgenderyzowanej nauki. Utopijny gmach budowany na takich fundamentach w pewnym momencie musi runąć z hukiem – oczywiście na nasze głowy.

Kto nie wierzy w Boga, uwierzy we wszystko – ta myśl nigdy nie była bardziej prawdziwa niż w XXI wieku. Ileż to osób po odrzuceniu Boga gotowych jest zaakceptować każdy zabobon, najbardziej złudną utopię, z gruntu niewiarygodną manipulację myślową. Dlatego coraz głośniej mówi się o wielkim kryzysie zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji – znanej kiedyś pod dumną nazwą Christianitas – albo zgoła o jej upadku. Znakiem najwyższego przejawu kultury zachodniej były dwa pojęcia stanowiące tytuł tej książki: katedra i uniwersytet, czyli wiara i rozum. To właśnie symbioza katedry i uniwersytetu doprowadziła cywilizację zachodnią do jej największych osiągnięć. W rozdzieleniu wiary i rozumu Autor upatruje zasadniczej przyczyny obecnej degrengolady nauki, ale i słabości Kościoła. Opisuje ten proces na przestrzeni wieków na przykładzie zarówno całej Europy, jak i Polski.

* Do ceny **należy doliczyć koszt dostawy – 10 zł**

Informacje: **+48 722 111 655**